REPORTAŻ

Maciej Wasielewski

Jutro przypłynie królowa

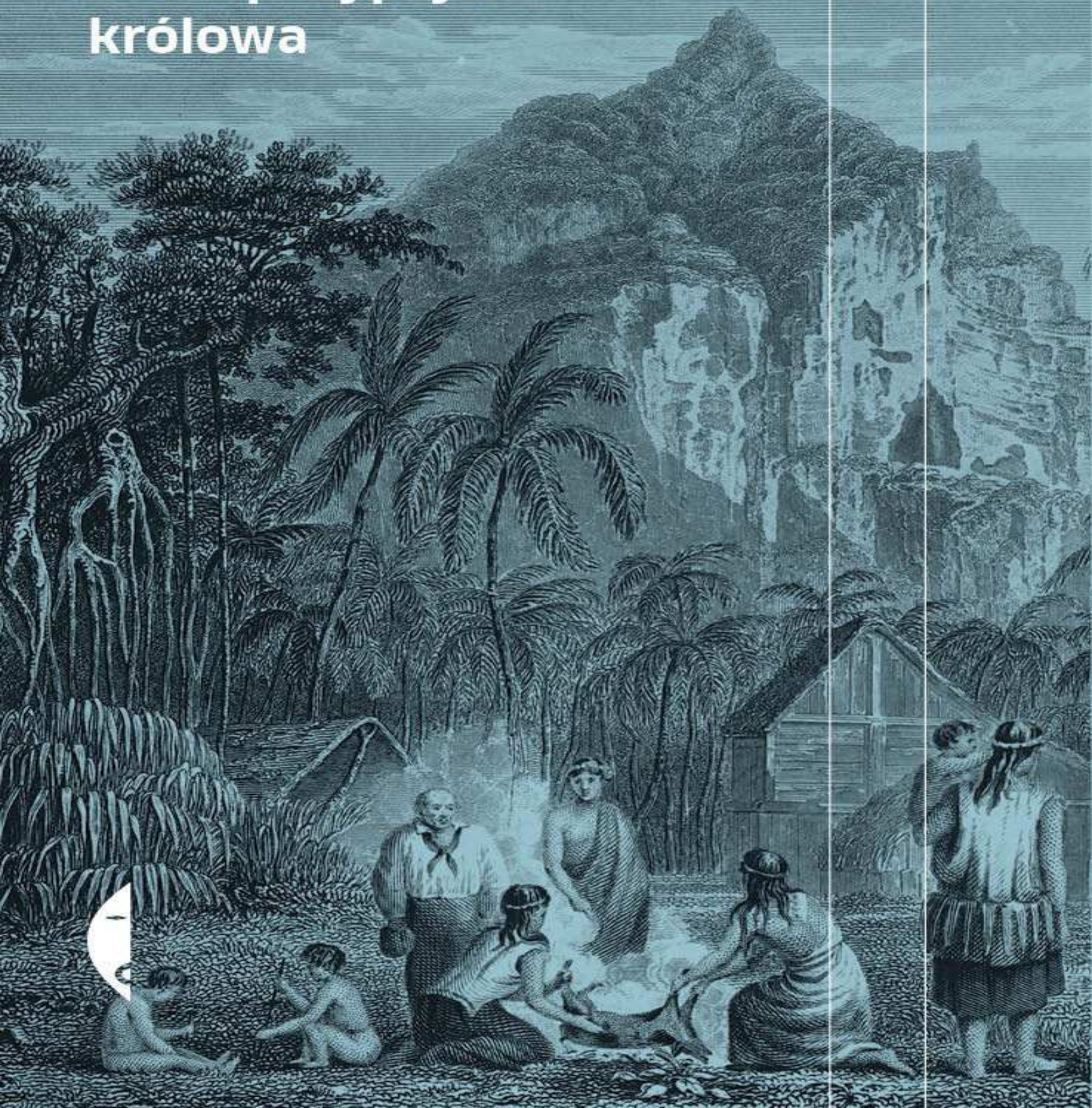

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Maciej Wasielewski

Jutro przypłynie królowa

wydawnictwo zarne

Wołowiec 2013

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż jednorazowe pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA / PRACOWNIA PAPIERÓWKA
Fotografia na okładce © AFTER CHARLES BENTLEY / THE BRIDGEMAN ART LIBRARY / GETTY IMAGES
Fotografie wewnątrz tomu © by MACIEJ WASIELEWSKI

Copyright © by MACIEJ WASIELEWSKI, 2013

Redakcja ŁUKASZ NAJDER i TOMASZ ZAJĄC
Korekty MAGDALENA KĘDZIERSKA-ZAPOROWSKA / D2D.PL, ALICJA LISTWAN / D2D.PL
Redakcja techniczna i skład ROBERT OLEŚ / D2D.PL

Skład wersji elektronicznej: MAGDALENA WOJTAS / VIRTUALO SP. Z O.O.

ISBN 978-83-7536-620-4

Spis treści

Wstęp

I

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6

II

- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12

III

13

14

15

Posłowie

Bibliografia

Przypisy

Wielka Brytania posiada czternaście terytoriów zamorskich rozsianych po świecie. Najodleglejszym jest wyspa Pitcairn na Oceanie Spokojnym, piętnaście tysięcy kilometrów na południowy wschód od Londynu.

Została odkryta w 1767 roku przez załogę królewskiego statku Swallow, lecz przez kolejne dwadzieścia trzy lata pozostawała bezludna.

W 1790 roku na wyspę zawinął brytyjski okręt Bounty z dziewięcioma angielskimi buntownikami i osiemnaściorgiem pojmanych Tahitańczyków.

Obecnie na Pitcairn żyje sześćdziesiąt osób. Wybierają władze lokalne, które działają na podstawie odrębnej konstytucji i angielskiej Karty praw. Mieszkańcy wyspy mają obywatelstwo Wielkiej Brytanii, mogą korzystać z praw przysługujących obywatelom Unii Europejskiej.

Stosunki z Wielką Brytanią utrzymują za pośrednictwem Ministerstwa do spraw Zagranicznych i Wspólnoty w Londynie.

W książce występują postaci Wyspiarki i Wyspiarza. Pod tymi figurami kryją się wszyscy mieszkańcy Pitcairn, którzy od początku wiedzieli, kim jestem, i którzy zdecydowali się ze mną rozmawiać. Personalia tych osób zostały ukryte w obawie o bezpieczeństwo ich i bliskich. Imiona i nazwiska pozostałych wyspiarzy zostały zmienione.

– Potrząsasz gałęzią, mandarynki spadają parami. Jest błogo. Na werandzie staje ojciec, mówi, że kocha, i chce wyściskać. Wszyscy cię kochają. Matka gładzi po włosach, dziś tak miękkich, dobrze ułożonych. Czujesz się zrozumiana i bezpieczna. Siostra w oknie – prosi na śniadanie. To będzie piękny dzień. W domu nie ma drzwi. Są nanizane na sznurki kolorowe paciorki: dowód, że sobie ufamy. Lubisz ich grzechot, zapowiedź odwiedzin. Teraz wchodzi stary Atkins, kiwa się jak wahadło. Wczoraj popił, lecz jest niegroźny. Siada do stołu, obdarza czułym uśmiechem. Na patelni skwierczą placki, twoje ulubione, bananowe. Jest syrop klonowy, a ty masz apetyt. Bo dziś będzie naprawdę piękny dzień. Za chwilę wyjdziesz do ludzi. Ich oczy staną się nagle bliskie i czytelne. Będziecie rozmawiać, a rozmowy będą błahe, przyjemne, bez ciężaru. Czeka cię zupełnie nowy dzień. Zapomnisz. Umysł będziesz miała bystry, myśli spokojne. Pozwolisz sobie na rozkoszne lenistwo. Może nawet pójdziesz w tamto miejsce, dokończysz bukiet. Nie przestraszy cię warkot motoru. Musisz wierzyć, że dziś będzie piękny dzień. Już czas: na życie, na nowy początek. Być może zdarzy się inaczej, ale jutro znów m u s z ę powtarzać, że ojciec m n i e kocha, a matka gładzi po włosach. Że lubię grzechot paciorków.

* * *

Tamtego dnia poszła na łąkę. Zrywała kwiaty, układała bukiety. Dwa zdążyła. Trzeciego nie. Podjechał na motorze. Trzeci upuściła.

To było dwadzieścia lat temu, przed pierwszą menstruacją. Kilka lat później uciekła z wyspy. Do walizki spakowała fotografię ślubną rodziców.

Na potrzeby książki wymyśliła imię Veronika. Ona jedna zdecydowała się ze mną rozmawiać. Wspólnie ustaliliśmy, że tymi zdaniami jej nie zdradzę. Wszystkie zbierały kwiaty i bały się warkotu motorów.

I

Tylko z wzajemnego uzależnienia, z łączących ludzi potrzeb wzajemnych powstają wśród nich więzy poddaństwa, że niepodobieństwem jest zatem ujarzmić człowieka, nim się nie sprawi, że się bez drugiego nie zdoła obejść. Na to jednak nie ma miejsca w stanie natury, tak że wszyscy są w nim wolni od jarzma, a prawo silniejszego zawodzi.

Jan Jakub Rousseau, przeł. Henryk Elzenberg

1

W szarawym świcie ledwo dostrzegalna, złudna, tak że nie sposób ocenić, jakie ma kształty. Tylko krzyk, który odbija się od ścian i wraca echem, nakazuje myśleć, że nie będzie łatwego podejścia. Żadnej plaży, doku, piaszczystej ławicy. Tylko para, wszędzie para, której nie zdążyło jeszcze wessać słońce. Sól drażni oczy, wilgotne powietrze wgryza się w płuca. Silnik zgasł, statek zakotwiczył w bezpiecznej odległości. Tam dalej są głazy, szpiczaste, wyskakują spod fali. Głazy jak miny.

Czekamy na poranek, na tych kilka rozbłysków, które zabarwią widnokrąg, które rozświetlą te zdradliwe dwieście metrów dzielących nasz statek od wyspy. Przypłynie łódź, kobieta i dwunastu mężczyzn.

Ona będzie pytać, sprawdzać paszporty, ustalać, kto ma wstęp na ląd.

Oni są po to, żebyś przypadkiem nie zechciał dyskutować.

Ale najpierw pytania, grad pytań, pytania się powtarzają: kim jesteś, co wiesz o Pitcairn, jaki jest cel twojej podróży. No bo przecież żeby pokonać te szesnaście tysięcy kilometrów, trzeba mieć jakiś cel. I jeśli nie jesteś dziennikarzem albo reporterem, to masz prawo wskoczyć na łódź, i płyniecie w stronę brzegu. Powiększa się pole widzenia, z mgły wybija się kontur, wreszcie widać profil wysokiej na dziesięć pięter turni.

Niełatwo się tu dostać. Statek zawija w pobliże wyspy sześć razy do roku, czasem przypłynie jacht. Nic więcej. Żaden samolot nie wyląduje na Pitcairn, żaden helikopter nie doleci. Pitcairneńczycy wierzą w doskonałą komunę, odgradzają się od świata, nie zbudowali portu.

Ludzie morza mówią: „samotny kamień Oceanu Spokojnego”, „wyspa-twierdza” – cztery kilometry kwadratowe na środku Pacyfiku. Do najbliższego lądu dwie doby żeglugi.

Ta niedostępność działała na wyobraźnię hipisów. Ci, którym udało się tu dotrzeć, opowiadali o zwierzętach, których nie płoszyła obecność ludzi,

i sadach mandarynkowych owocujących dwa razy do roku. Ale z jakichś powodów szybko opuszczali Pitcairn.

Pierwszy raz usłyszałem o tej wyspie w 2004 roku. W internecie natrafiłem na fotografie przedstawiające wszystkich jej mieszkańców. Było ich czterdzieścioro ośmioro. Dwa lata później zdjęcia zniknęły. Żadnego śladu, żadnej twarzy.

Zapamiętałem te zdania:

„Pitcairn jest miejscem naturalnej selekcji. Żyją tam ludzie niezłomni, gotowi poświęcić życie dla wspólnoty".

Kapitan Adam Jasser dowiedział się, że statki towarowe pływające z Nowej Zelandii do Panamy zahaczają o wyspę. Poleciałem do Auckland. Codziennie chodziłem do portu, wypatrywałem ładunków. Pod wieczór zaglądałem do Domu Żeglarza w nadziei, że spotkam kogoś, kto weźmie kurs na Pitcairn.

Statki zmieniły szlak.

Ostatnią szansą był prywatny frachtowiec Claymore II. Odpływał sześć razy do roku z Mangarevy, jednej z tych turystycznych wysepek Polinezji Francuskiej. O tym, kto mógł się dostać na pokład, decydowali Pitcairneńczycy.

Para z Niemiec, Nicola i Hendrik, dotarli na wyspę, ale szybko uciekli – nie dowiedziałem się dlaczego. Australijczycy Mollie i Alan postanowili osiąść tam na stałe. Przez rok czekali na drewno do budowy domu. Statek z deskami podpływał wiele razy, jednak zawsze podczas sztormu, więc nie sposób było dokonać rozładunku. W końcu zrezygnowali. Na wyspę dotarł jeszcze socjolog z Nowej Zelandii, nie chciał ujawnić nazwiska. Napisał książkę o Pitcairneńczykach, ale nigdy nie została wydana. Podobno Kościół Adwentystów Dnia Siódmego groził mu ekskomuniką.

Komu zależało, by wstrzymać druk? Wyspiarzom? Czy mają aż taką władzę? Kościołowi? Dlaczego? A może Brytyjczykom – wyspa jest terytorium zamorskim Królestwa. Wszyscy, jakby umówieni, pielęgnowali ciszę.

W 2002 roku Pitcairneńczycy deportowali angielskiego dziennikarza: przypłynął wynajętym jachtem, nawet nie zszedł na ląd. Kilka lat później odesłali francuskiego autora książek podróżniczych.

Pewna reporterka usłyszała: „Powiesimy cię, jeśli o nas źle napiszesz".

Potem straszyli korespondentkę australijskiego „The Independent". Na forum internetowym zrzeszającym przyjaciół Pitcairn zamieszczono post:

„Kathy Marks powinna być zastrzelona”.

Napisałem do konsulatu Pitcairn w Auckland, że interesuję się antropologią, badam sagi żeglarskie. Pytania i podejrzenia – człowiek kaja się bardziej niż w ambasadzie Stanów Zjednoczonych. W końcu urzędniczka wysłała papiery na Pitcairn. Po dwóch tygodniach dostałem pozwolenie na przyjazd.

* * *

Statek ekspedycyjny Claymore II stanął dziobem do wybrzeża. Długi na czterdzieści osiem metrów, szeroki na dziesięć, osiąga prędkość do dziewięciu węzłów na godzinę. W przeszłości opływał Arktykę, teraz przerzuca towary z Oceanii do Ameryki Południowej. Kajuty cuchną ostrygami i ropą. Przez osiem miesięcy w roku są domem ośmiu marynarzy, którzy teraz, po sześciu tygodniach żeglugi, schodzą na ląd w Mangarevie.

W porcie od razu robi się gwarno. Młode Polinezyjki wypatrują mężczyzn, wabią ich głośnym sapaniem, ciasno opiętymi stanikami. Rumieniec wstydu, wbijające się w skórę ramiączka, opary perfum – to wszystko rodzi pragnienie, by rozebrać kobiety do naga, przycisnąć do poduszki. Jest duszny, piekący dzień.

* * *

Próbuję objąć spojrzeniem widnokrąg: iluzja, ocean zlewa się z niebem. Po dwóch godzinach żeglugi od Mangarevy jesteśmy samotni na szlaku. Odtąd żaden statek nie przetnie nam drogi, a każda mewa będzie jak zabłąkana wariatka.

– Co za diabeł prowadzi cię na Pitcairn? – przerywa milczenie Rob, pierwszy kapitan. Palimy papierosy na rufie. Rob nie czeka na odpowiedź: – Dwa razy zszedłem tam na ląd. Mówię ci, ta wyspa jest przeklęta. Ludzi łączy tylko współodpowiedzialność za zbrodnię.

– Mówisz o Bounty? – pytam, ale nie odpowiada.

Przysłuchuje nam się Budd, mechanik pokładowy.

– Alkohol przeżarł ci mózg, prawda, Rob? – Mężczyźni ścinają się wzrokiem i każdy odchodzi w swoją stronę.

Claymore II ledwo kołysze się na długich falach, łagodny wietrzyk wzdyma szorty schnące na lince. Przez kolejnych pięć godzin nie wydarzy się nic, żadnej skały, żadnego skrzydlatego pomyleńca. Co jakiś czas przemknie tylko statek widmo.

– Duch Willy'ego Harta przypomina o sobie. Płynął na Pitcairn, roztrzaskał się o rafę. Jego ciało nigdy nie wypłynęło – wyjaśnia Budd. – Wiele statków poszło na dno Pacyfiku. Niejeden rozbił się u wybrzeży Pitcairn. Żeglarze pokonywali bezkresne wody, by umrzeć sto metrów od brzegu. Mówili na wyspę Port Nadziei.

Zbliża się wieczór, kiedy Ricky, drugi kapitan, przywołuje mnie do sterowni i wskazuje palcem na lewą stronę:

– Patrz, wieloryby!

Nic nie widzę, o szybę rozbryzgują się fale. Wybiegam na zewnątrz i też nic. Ricky jest mną wyraźnie zainteresowany, wypytuje:

– Rob nie oszalał. Po co ci ta wyspa? Czy naprawdę jesteś antropologiem?

Noc przejrzysta – jak można się było spodziewać po tak pogodnym dniu. Gwiazdy wyraźne, zawieszone nisko, czuła chwila. Sięgam po kolejne szklanki rumu jak po wodę. Nie zasnę. Myślę o Veronice, o naszym pierwszym spotkaniu w Nowej Zelandii.

* * *

Mówi:

– Spójrz, jaka superspódnica. Można regulować w pasie. Odkąd pamiętam, skacze mi waga, bo człowiek z nieszczęścia najpierw tyje, a potem chudnie.

– Ładna – przyznaję.

– Ale czy się nada? Pytam, bo nie mam doświadczenia. Na co dzień ubieram się wyzywająco: miniówka i dekolt na wierzchu. Albo na chłopaka: szerokie spodnie, bluza XL, choć zmieściłabym się w emkę.

– Jest idealna na tę okazję.

– Nie wiem, nie jestem przekonana. Wyglądam w niej jak dziewczyna z kościoła. Nie potrafię zdecydować. Zdecyduj za mnie.

– Bierzemy ją.

– Przed spotkaniem z tobą też przewróciłam wszystko, już miałam nie wyjść. Zawsze potrzebuję kogoś, kto mi powie, co mam robić. Zobacz, pomalowałam paznokcie. Ładnie?

– Na czerwono, pasuje do koloru szminki.

– Nie potrafię się malować. Billy, mój eks, dostawał furii, kiedy siedziałam przed lustrem. Mówił: „To twoje pitcairneńskie rozmemłanie!”. A ja we wszystkim czułam się źle. Nie żałuję go. Był taki zasadniczy i sztywny, jakby połknął kij. Przepraszam cię za tę godzinę spóźnienia.

– Pantofle, nie zapomnij o pantoflach.

– Sam widzisz, pamięci też nie mam. Od dzieciństwa. Muszę wszystko zapisywać. Mój notes, gdzie jest notes? Patrz, nawet to musiałam zapisać. Ładnie zapisałam?

– Dziś jest twój wielki dzień.

– Pewnie nic z tego nie będzie, właściwie mogę nie iść. Zobaczą mnie i każą spadać na drzewo.

– Długo czekałaś.

– To rzeczywiście mili ludzie. Przez telefon pani miała ciepły głos. Mówiła, że są takie śliczne i ufne. Może oddadzą mi jedno?

– Weź pantofle i chodźmy do kasy.

– Nie będziemy czekać w kolejce. Pójdę w czymś innym. Wyjdźmy stąd! Porządny butik, a kolejka jak po dary. Nienawidzę kolejek, nienawidzę, gdy ktoś stoi mi za plecami. Wiesz co? Pójdę, jak jestem. Albo oddadzą to szczenię, albo nie.

* * *

Na Pitcairn nie ma już psów. W latach siedemdziesiątych było ich jeszcze szesnaście, wszystkie z jednej suki. Krył ją czarny mieszaniec, wołali go Super. Potem szczeniaki rodziły się martwe albo chore: sztywne kończyny, zanik mięśni, zdeformowane kręgi.

– Mała pula genów – wyjaśnia kobieta od paszportów. Ma na imię Donna, jest dobrze po pięćdziesiątce. Kiedyś była burmistrzynią Pitcairn, teraz pracuje w Służbie Celnej i jest policjantką. Ktoś powiedział, że Donna naprawia błędy w procesie naturalnej selekcji, że dzięki jej staraniom na wyspie nie ma ludzi słabych i nieprzydatnych.

Schodzimy na ląd. W Przystani czekają na nas pozostali Pitcairneńczycy. Przyglądają się uważnie, nieufnie. Pytam w końcu, bo nie daje mi to spokoju, gdzie trafiają słabi i nieprzydatni. Milczenie.

Donna tylko pokasłuje. Ma suchy, męczący kaszel – astma. Co rusz uderza pięścią w splot słoneczny, jakby chciała odegnać chorobę. Na wyspie podobno nikt nie przyznaje się do chorób i lęków. Syn nie powie ojcu, że boi się skoków do wody. Mąż nie powie żonie, jak bardzo obawia się raka.

Zapisuję, czego dowiedziałem się w pierwszych godzinach:

NASZE KOBIETY PEŁNIĄ WAŻNE FUNKCJE SPOŁECZNE. WSZYSTKIE MAJĄ PIWNE OCZY.

MĘŻCZYZNA NIGDY NIE UDERZYŁ DRUGIEGO MĘŻCZYZNY.

DZIECI OTACZANE SĄ TROSKĄ DO CZWARTEGO ROKU ŻYCIA. WTEDY NAJBARDZIEJ KSZTAŁTUJE SIĘ ICH CHARAKTER. ODTĄD GOTOWE SĄ SŁUŻYĆ WSPÓLNOCIE CAŁE ŻYCIE.

* * *

Wspólnota jest najważniejsza. Człowiek rodzi się i umiera, a wspólnota trwa – już dwieście dwadzieścia lat, odkąd przypłynęli buntownicy. Donna mówi, że bez wspólnoty człowiek znaczy niewiele. I że ludzie, którzy myśleli inaczej, odpłynęli.

Większość Pitcairneńczyków milczy, gdy pytam o ich komunę. Kiedy jestem obok, w ogóle ściszają głos, odwracają wzrok. Wychwytuję tylko strzępy rozmów, pojedyncze zdania:

„Wspólnota nie daruje Edwardowi”.

„Uważać na obcego”.

„Carl już nigdy nie będzie jednym z nas”.

Dlatego trzymam się blisko Donny. Ona opowiada mi o Pitcairn:

– Ziemię dostajesz za darmo, a cała społeczność pomaga ci wybudować dom. Kiedy płonął ogród Atkinsa, ogień gasili wszyscy mężczyźni. Innym razem fala zepchnęła Zeldę ze skarpy do oceanu. Na ratunek rzucili się Buck, Brayden, Garwood i Bourne. Bez nich wyspa by nie przetrwała. Rząd Wielkiej Brytanii opłaca większość rachunków i finansuje ropę, którą napędzany jest generator prądu. Każdy pracuje za dwóch, obowiązkami dzielimy się sprawiedliwie. Kobiety pielęgnują ogrody, odmalowują budynki i oczyszczają drogi, które budują mężczyźni. Nasze babki są nauczone

dźwigać na plecach worki ze słodkimi ziemniakami. Czterdzieści pięć kilo każdy. Drwa rąbią sześćdziesięciolatkowie i niektórzy siedemdziesięciolatkowie. Płynie w nas krew buntowników z Bounty. Pula genów pochodzi od dziewięciu angielskich marynarzy i tuzina tahitańskich kobiet. Z rozmysłem dobieramy mężów i żony z zewnątrz. Nie każdy może żyć w naszej komunie. Kierujemy się klarownymi zasadami: ducha hartujemy przez pracę, ciału oddajemy szacunek. Nie używamy alkoholu ani mocnej kawy. Wyzbyliśmy się namiętności. Wierni naszego Kościoła chętnie poddają się próbom moralnego doskonalenia, choć są tacy, którzy twierdzą, że adwentyzm jest wypadkiem kultury. Do niedawna pastor dbał, by diabeł nie mącił nam w głowach, i opiniował filmy, które sprowadzaliśmy na wyspę. Odbywały się dwie cenzury. Pierwsza na statku, druga w kancelarii pastora. Sami regularnie organizujemy spotkania dyskusyjne pod hasłem „Jak ulepszyć Pitcairn”. Wydarzenia minionych lat nauczyły nas wybaczać.

* * *

Niewiele znaków zapowiada Adamstown, jedyną osadę. Pojedyncze narzędzia porozrzucane na drodze, puszki po konserwach, kubeł do zbierania żwiru. Idę stromą ścieżką pod górę, nazwali ją Wzgórzem Mozołu. Wszędzie zarośla, pnie wydzierają się z ziemi. Pojawiają się zabudowania: warsztaty i rupieciarnie. Dziecięce rowery, zdeformowane koła. Zarzucone kilofami, grabiami, widłami do gnoju.

Pierwszą reakcją jest niedowierzanie, potem ciekawość. Szmer w chaszczach – już pchasz się w chaszcze. Co się kryje za kolejnym zakrętem, w następnym gratowisku? Ta zamrażarka wypadła ze statku. Ktoś ją wyłowił i służyła dwadzieścia dwa lata.

Teraz podążam wykutą w skale drogą, z gęstwiny drzew wyłania się zaczątek osady. Światła dalekich okien, smugi dymu z kominów. Domy podłużne, przeważnie parterowe, jak koszary. Budują wysoko, w obawie przed przypływem. Ważniejsi stawiają domy bliżej Drogi Głównej, pozostali na rumowiskach, do których prowadzą błotniste ścieżki. Odwzorowanie mapy z uwzględnieniem wszystkich nazw geograficznych zajęło mi dziewięć minut.

Osada rozciąga się w półokrąg, dalej już dzika przestrzeń. Budynki skryte w gęstwinie drzew kokosowych, prymitywne, trawione przez termity.

Przypominają raczej bungalowy zbite na słowo honoru z deski pilśniowej, z kruchego drewna, pokryte łataną blachą. W niektórych domach zamiast szyb powtykane patyki i kliny. Fundamentami są głazy wbite w ziemię.

W maju jest jeszcze zimno, więc dogrzewają się świecami. Wilgoć wkrada się do środka, astmatycy wypluwają płuca. W przeszłości, kiedy na Pitcairn nie docierały leki, dusili się na śmierć. Umierali długimi dniami, gryząc języki i drapiąc ciała. Teraz wszędzie brud i robactwo: chmary moskitów i karaluchy; szczur wpatrywał się w oponę quada, a potem została z niego miazga.

Donna mówi, że po warkocie silnika można rozpoznać każdego wyspiarza. Jej mąż Lu prowadzi asekuracyjnie i zawsze ustępuje pierwszeństwa. William Hastings zachowuje pozory przepisowej jazdy na Drodze Głównej, ale gdy nikt nie widzi, lubi przycisnąć i nie uważa na zakrętach. Buck i Harvey jeżdżą jak szaleńcy, jakby wszystkich mieli za nic.

Na wyspie jest pięćdziesiąt quadów i niewiele ponad cztery kilometry dróg.

Główna nić, która prowadzi z Przystani wysoko pod górę do posesji starego Atkinsa, została pokryta betonowymi płytami. Przez trzy lata układali je wszyscy zdolni do pracy. Na każdym fragmencie w prawym dolnym rogu znajduje się wyżłobiona ostrym narzędziem sygnatura kolejnych Pitcairneńczyków. Ostatni betonowy kloc, ułożony w samym sercu wyspy, podpisano: „Na pamiątkę wspólnej pracy”.

Od Drogi Głównej odchodzi kilkadziesiąt gliniastych odnóg. Niektóre prowadzą do domostw, inne wiodą w ślepe zaułki. Kiedy spadnie deszcz, będzie naprawdę ślisko. O jednym z wyspiarzy mówili, że ma garbate szczęście. Zjeżdżał pochyłą drogą dobre dwadzieścia metrów, aż złamał kręgosłup.

Inny, Jimmy, schodził ze Wzgórza po Sznurze w Dół, kiedy lunęło jak z cebra. Złapał za kamień, który wraz z nim oderwał się od skały. Spadał pięćdziesiąt metrów, a swój lot ku, wydawałoby się, pewnej śmierci zakończył na koronie drzewa. Odnaleziono go sparaliżowanego po dwóch godzinach.

Walka o życie Jimmy’ego dopiero się rozpoczynała. Na wyspie wprawdzie urzędował (od niedawna) doktor Hugh Richards, ale do jego obowiązków należało podawanie penicyliny i uzupełnianie ubytków w zębach. Najbliższy szpital znajdował się w Papeete, ponad dwa tysiące kilometrów

stąd. Najbliższe lądowisko – na Mangarevie – osiemset kilometrów od Pitcairn. Rejsy statku ekspedycyjnego Claymore II odbywają się rzadko, a wyspiarze nie posiadali łodzi, która mogłaby bezpiecznie przetransportować Jimmy'ego do miejsca, w którym czekała awionetka. Wezwali więc okręt francuskiej marynarki, który patrolował wody terytorialne Wysp Wielkanocnych. Francuzi przypłynęli w niecałą dobę. Zużyli dwa razy więcej paliwa niż zwykle, ale w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin dostarczyli chłopaka do Mangarevy.

Jimmy spadł ze Wzgórza po Sznurze w Dół w 2009 roku. Po kilku miesiącach zaczął poruszać powiekami. Sam transport do szpitala w Papeete kosztował ubezpieczyciela sto sześćdziesiąt tysięcy dolarów amerykańskich.

Pitcairneńczycy opowiadają historię Jimmy'ego, kiedy ktoś pyta ich, jak się żyje w odosobnieniu.

* * *

Veronika tuli szczenię do piersi.

– Zobacz, jaka śliczna, całkowicie zależna ode mnie. Nazwę ją Fifi.

– Ufa tobie.

– Jest zbyt łatwowierna. Je mi z ręki, a przecież mogłabym jej podać truciznę.

– Dlaczego miałabyś ją karmić trucizną?

– Przepraszam, nie złość się. Jestem taka głupia! Czasem miewam niestosowne myśli, tracę kontrolę. Mówię coś, a potem tego żałuję. W głębi serca czuję co innego. Gdybyś wiedział, ile mnie kosztuje bycie normalną…

– Jesteś normalna.

– Brałam leki. Łagodziły zaburzenia. Cztery lata. Psychiatra stwierdził dystymię, to połączenie depresji i lęku.

– Masz śliczny uśmiech, kiedy się bawisz z Fifi.

– Naprawdę?

– Niespotykany.

– Bo ja jestem Veronika. I kiedy chcę, staję się nie do podrobienia.

* * *

Ktoś postanowił, że zamieszkam u Donny i jej męża Lu. Ich dom stoi na wzgórzu, z dala od Adamstown, z dala od innych domów.

Pokoje jak po rewizji – każdy zakamarek zawalony gratami: puste słoje, butelki, kamienie, dokumenty, liny, narzędzia. Po salonie krzątają się kury, inne na podwórzu wydziobują skórki po bananach.

– Ta jest najsilniejsza – pokazuje Lu. – Gotowa zadziobać pozostałe. Do kompostu zawsze podchodzi pierwsza, odejdzie, kiedy się naje. Pozostałe kury czekają. Jakby ujarzmione.

Lu przypłynął na Pitcairn trzynaście lat temu, za Donną. Jest Anglikiem, mieszkańcy wyspy nazywają go Przechrztą. Przechrzta to Obcy, który związał się z Pitcairnenką.

– Kiedy umawiał się na życie z Donną, nie zdawał sobie sprawy z trudności. Przechrzta jest co najwyżej lokajem Pitcairneńczyków. Jak go dopuszczą do stołu, to może słuchać, ale nie mówić – opowiada Wyspiarz i nerwowo przebiera palcami u rąk. – Lu jest teraz jak gołodupiec wżeniony w lepszą rodzinę. A przecież kiedyś było inaczej: poznali się z Donną w Anglii. Lu wszedł do sklepu, w którym pracowała, ich spojrzenia się spotkały. Po śmierci pierwszego męża Donna była tylko zagubioną emigrantką z wyspy. Lu był zaradny, opiekuńczy. Spodobali się sobie. Wcześniej służył w brytyjskiej marynarce. Kiedy rodziła się Solidarność, stacjonował z brytyjsko-amerykańskim oddziałem pod Kopenhagą. Dwadzieścia pięć tysięcy karabinów, czekali na rozkaz wejścia do Polski. Rozkazu nie było, po miesiącu góra odesłała go do kraju. Był jeszcze w Afganistanie i Kuwejcie, ale kariery w wojsku nie zrobił. Donna powiedziała, że chce wrócić na Pitcairn i że tylko z nim. Zamieszkają na próbę, a jak nie wyjdzie, wrócą do Anglii. Lu miał kurs księgowego i doświadczenie w logistyce. Pomyślała, że przyda się wspólnocie. A on, romantyczny głupiec, zgodził się. Bardzo ją kochał. Tak pięknie o niej mówił: „Słodka, uwodzicielska zguba”. Sprzedał dom i samochód. Pieniądze się rozeszły. Gdyby wrócił, musiałby żyć na ulicy.

* * *

W przewodach elektrycznych zaczęło brzęczeć. Czyli siódma. Generator dostarcza prąd dwa razy dziennie: do trzynastej i od siedemnastej do dwudziestej drugiej. Tylko wtedy trzeszczy magnetofon.

Generator działa na ropę. Wyspiarze zużywają około dwudziestu tysięcy litrów przez trzy miesiące. Rząd brytyjski płaci za nie czterdzieści tysięcy dolarów nowozelandzkich. Kiedy ropa się kończy, Pitcairneńczycy dzwonią do Auckland.

– Trzeba zamawiać z wyprzedzeniem – tłumaczy Lu.

Gdy brakuje ropy, ludzie kradną z cudzych kanistrów.

Telefony raz działają, raz nie. To zależy od pogody i sztormów. Telefon marki Ericsson z 1912 roku jest już zabytkiem. Niewiele tego pozostało na Pitcairn. W latach sześćdziesiątych przypłynął tu kupiec morski. Chodził po domach i skupywał wszystko, co miało jakąś wartość. Pitcairneńczykom płacił po dziesięć funtów, a w Londynie sprzedawał po pięćdziesiąt. Donna mówi, że Obcym nie można ufać, że są zagrożeniem. I że Pitcairneńczyka nigdy nie złapała na kradzieży ropy.

Strzały wyładowań elektrycznych – znak, że zbiera się na deszcz. Nadzieja – bez deszczu za miesiąc, za dwa będzie sucho w kranach i klozetach. Słońce wypali plony, nie będzie co jeść. Ludzie nie mają tu naturalnych rezerwuarów wody. Opracowali jednak system: z dachów prowadzą rury, które zbierają deszcz do zbiorników. Każdy po czterysta pięćdziesiąt, a nawet siedemset litrów. Wieczorem można brać prysznic w wodzie nagrzanej słońcem.

– Modlę się jedynie o zdrowie i deszcz. – Donna wspomina tahitańskich przodków, dalekich krewnych, którzy pomarli z odwodnienia, nierzadko na workach pełnych pereł.

Raz czy dwa granica opadów przebiegła pośrodku Adamstown. Jedni cieszyli się napełnionymi beczkami, inni wyciągali wiadra, prosili o wodę. Nie zrozumie tej modlitwy ten, kto nie wybierał deszczówki z dna łodzi, kto nie musiał patrzeć z zaschniętymi ustami, jak umiera ogród, najważniejszy żywiciel.

Na Pitcairn jada się dwa razy. Około południa śniadanie, obiadokolację zwykle późnym wieczorem, kiedy praca skończona i można gapić się na palce u stóp przy butelce piwa z Nowej Zelandii. Na stole drób, pieczone ziemniaki i cytrusy. Na ananasy mówi się „jabłka”. A jabłonie tutaj nie rosną.

Budzą się o siódmej. Lu rozpala ogień pod kotłem, długo myje ręce, potem idzie do uli. Miód z jego pasieki trafia na stół królowej Elżbiety II.

– Podobno lubi mój miód. Więcej w liście nie napisała – opowiada Lu. – Trzymam ten list w szufladzie, pod kluczem. Czasem wyciągnę i czytam na polepszenie nastroju wszystkie cztery zdania po dwa razy. I po cichu, bo ludzie nienawidzą królowej.

Chodzi do pszczół trzy–cztery razy w tygodniu. Karmi je cukrem, dogląda. Miód z Pitcairn jest najczystszy, najsłodszy. Lu mówi, że dobrze robi na nerwy.

Wieczorami, kiedy pokończy co pilniejsze prace, siada w fotelu nad książką, po kilku stronach zasypia na siedząco. I tak codziennie, do soboty. Sobota jest dniem wolnym od pracy. Pięcioro wyspiarzy uczestniczy w nabożeństwie. Reszta odwróciła się od pastora, ale nikt nie chce powiedzieć dlaczego. Wyspa została zadwentyzowana w 1890 roku. Nie ma drugiego Kościoła, nie ma innej religii. Tylko Adwentyści Dnia Siódmego.

Lu zostaje w domu, a wierni spotykają się w murowanym budynku przy placu Głównym. Fasada jest pobielona wapnem. Ktoś przycisnął dziewczynę do muru kościoła, potem wołali za nią: „Blada dupo, wróć!”.

Pastor Meyers mówi, że nic nie słyszał, że ludzie mu nie opowiadają. Tęgi, po sześćdziesiątce, źle znosi tropikalny upał. Ożywia się, gdy temat schodzi na pszczoły. Twierdzi, że miód z jego pasieki także jest najsłodszy.

– Pastorze, czy wierzy pan, że ludzie mają z natury dobre intencje?

– My, adwentyści, postrzegamy życie ziemskie jako czas wielkiego boju między Bogiem a szatanem. Raz człowiekowi podpowiada Bóg, raz szepcze szatan. Ważne, by zdążyć umrzeć przy Chrystusie, bo tylko On daje zbawienie i nieśmiertelność.

– Czy Pitcairneńczycy są religijni?

Wymowne spojrzenie pastora.

Pytam dalej:

– Podobno wyznają jedną z fundamentalnych doktryn adwentystów: piekła nie ma.

Milczenie. Pastor, zamiast mówić, podtyka mi broszurę: „Tajemnica wyspy Pitcairn – historia ocalenia pierwszych osadników, którzy w porę otworzyli serca na Biblię”.

„Dziewięciu buntownikom udało się ujść przed pościgiem i dotrzeć do wyspy Pitcairn, gdzie się osiedlili. Tu jednakże zwyrodnieli do tego stopnia, że zachowywali się gorzej od największych dzikusów, zamieniając wyspę w istne piekło. Przyczyną tego zwyrodnienia była produkcja alkoholu, który pędzili z pewnych ziół i korzeni roślin. Bijatyki i kłótnie były na porządku dziennym. Zabójstwa i choroby przetrzebiły ludność, tak iż w końcu pozostał z białych tylko jeden mężczyzna, Aleksander Smith, a z krajowców kilkadziesiąt kobiet z nieletnimi dziećmi. […] W skrzynce jednego ze zmarłych buntowników znaleziono Biblię. Smith zabrał znalezioną książkę do siebie i zaczął pilnie czytać. Co najważniejsze, wierzył on Słowu Bożemu i zaczął zastosowywać w życiu codziennym nauki w nim zawarte. Cała nieszczęsna przeszłość ożyła nagle w pamięci Smitha, wywołując wyrzuty sumienia. Postanowił naprawić, co się jeszcze dało. Zaczął tedy gromadzić kobiety i dzieci, które jeszcze pozostały przy życiu, i nauczać je prawd chrześcijańskich. […] Ludność wyspy została schrystianizowana i rząd angielski nie miał już więcej powodu do kontynuowania akcji karnej. Na wyspie nie było już wariatów, pijaków i zbrodniarzy”.

– A gdzie znajdę Kretyna, pastorze?

– Kretyna?

– Żył tu upośledzony chłopak, miał na imię Kretyn. Wiem, że urodził się niedorozwinięty. Jak go ojciec z matką zobaczyli, to go od razu nazwali Kretyn.

– Na naszej wyspie nie ma upośledzonych.

* * *

Veronika próbuje żartować, ale na jej twarzy widać napięcie.

– Poznałam fajną dziewczynę, cięła się nożem. Mówiła: „Na moich rękach można grać w kółko i krzyżyk”.

– Gdzie ją poznałaś?

– Nieważne. Mam zwariowanych przyjaciół. Same świry. Inna, Judy, nigdy nie płaciła za drinki w Blue Barze. Nie piła dużo. Zamawiała dwa, trzy, a potem prowokowała barmana: „Mogę cię zerżnąć. Jeden drink, jedno rżnięcie”. Rozumiesz? Nie, że da się rżnąć, ale że ona zerżnie. Imponowała mi.

– Byliśmy w Blue Barze.

– No i?

– Tam się płaci przy odbiorze.

– Co chcesz powiedzieć?

– Nic. Billy też tam przychodził?

– Billy to zupełnie inna historia. Był studentem medycyny, synem lekarzy, u nich jadało się wspólnie i zawsze o tej samej porze. Billy był nudny do porzygania.

– Rzucił cię?

– Ja go rzuciłam. Mnie po prostu wzruszają ci piękni młodzi chłopcy, uczesani, pochylający się nade mną, współczujący. Książęta w kabrioletach, myślą, że mnie naprawią, poskładają. Odsyłam ich na drzewo po dwóch spotkaniach. Z Billym byłam trochę dłużej. Zobacz, to jego zdjęcie.

– Pokaż rękę.

– Co?

– Blizny. Grałaś w kółko i krzyżyk?

– Odpieprz się.

– Nie ma żadnej Judy, prawda?

– Idź już. Właściwie nie wiem, dlaczego zgodziłam się na rozmowę. Idź już.

– Jak sobie życzysz.

– Zostań! Zaparzę herbatę. Na stole stoi szkatułka z brązowym cukrem. Napijesz się herbaty? Jestem taka głupia.

* * *

Południe, ludzie rozpierzchli się po domach. Milczenie przerywane jest beczeniem kóz, miauczeniem kotów. Na jedno ludzkie słowo koza zameczy sto razy. Cały ten bezruch wprawia w otępienie.

Przybłąkał się kozioł, wołają go Kidd. Słońce grzeje mu kudły, ociera kopyto o kopyto, gapi się – głupio, zadowolony.

Lu mówi, że dawno nie widział szczęśliwego człowieka. I że oczy takiego człowieka błyszczą. Powstają wokół nich drobne zmarszczki. Kąciki ust są lekko uniesione. Człowiek szczęśliwy wykonuje spontaniczne ruchy, bez większego sensu i celu. Czasem nawet skacze, klaszcze, tańczy, daje upust emocjom. Najlepiej widać to u dzieci oraz idiotów.

Wyspiarze nie okazują emocji, a kiedy już się śmieją, robią to na wyrost, nerwowo. O! Szczur ucieka przed kotem! Salwy śmiechu. Moe dostał deską w ryj! Śmiech. Wszystko to dziwne: ciało nie odchyla się w tył, nie drży. Ktoś powiedział, że od pitcairneńskiego śmiechu niedaleko do histerii. Kiedy wyspiarze się smucą, marszczą brwi. Zmarszczki poprzeczne tworzą się nie na całej szerokości, ale w środkowej części czoła, jak to bywa przy zdziwieniu. Człowieka smutnego poznasz po zmarszczkach na środku czoła.

Ganek przed ruderą: kobieta piecze banany na kamiennym piecu. Ma zamglone oczy i zmarszczki na środku czoła. Tuż obok mężczyzna, chyba jej mąż, szlachtuje kozę, zaraz zawiesi ją nad ogniem. Pierwszy piec pojawił się na wyspie w 1921 roku.

– Podobno służył wszystkim przez czterdzieści lat – opowiada Lu z rozrzewnieniem, z jakim człowiek wspomina coś, co nie wróci.

– Zjadacie kozy, ale nigdy ich nie doicie. Dlaczego?

– Z zaniedbania. Niedojona koza traci pokarm.

– Macie aż tyle pożywienia?

– Nam już się niczego nie chce.

Kiddowi jeszcze się chce. Sika sobie w pysk.

– Feromon na samice – tłumaczy Lu. Zmarszczki na środku czoła.

Większość kóz zdziczała, poszła samopas, uciekła od człowieka do dżungli. Niestrzyżone, przypominają monstra.

* * *

Przeglądam kroniki z Przystani. Zapisują każdy statek, każdy jacht, który zawinął na wyspę. Prowadzą je od dwustu lat, ale do dziś nie zbudowali portu.

14 czerwca 1921:

„Wyspę wizytują sir Cecil Rodwell, wysoki komisarz brytyjski, zarządca wysp zachodniego Pacyfiku wraz z żoną. Kobieta jest pierwszą Angielką, która stanęła na Pitcairn”.

10 sierpnia 1921:

„Przypłynął brytyjski parowiec Rimutaka. Kapitan Hemming podarował nam kartkę pocztową z alfabetem Morse’a. Wuj Fisher, kuzyn Percy i ja, Andrew, odrysowaliśmy kopie i wymieniliśmy sygnały z dwóch krańców Drogi Głównej. Powtórzyliśmy to na oddalonych o półtora kilometra wierzchołkach gór. Od tej pory naszym celem stało się ściąganie statków, które mogłyby zabierać pocztę. Była noc, kiedy nawiązaliśmy pierwszy kontakt – kapitan zgodził się zabrać listy. Wiadomość o naszych praktykach dotarła do firmy Marconi. Po kilku miesiącach przysłali nam kryształowy odbiornik na suche baterie. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, jak je podłączyć. Pomógł nam dopiero kapitan Cameron ze statku Remuera. Kilka dni później nawiązaliśmy połączenie z frachtowcem Corinthia. Ludzie zebrali owoce na handel. Tej nocy nie mogłem zasnąć”.

22 października 1928:

„Przypłynął Arnold Hare, spokrewniony z pastorem. Odsprzedał nam dwa silniki samochodowe. Jeden posłużył za motor do łodzi, to pierwsza łódź motorowa na Pitcairn. Drugi poprawił pracę radioodbiornika. Sygnał dociera już na odległość dwustu czterdziestu kilometrów. Pewien marynarz z Anglii powiedział, że mój sygnał przypomina dźwięk małpy szczającej na bęben”.

24 grudnia 1940 roku:

„Pitcairneńczycy podarowali brytyjskim weteranom wojennym trzysta czterdzieści cztery laski z drzewa pomarańczowego”.

19 marca 1943 roku:

„Pitcairneńczycy ponawiają zaproszenie skierowane do sierot po brytyjskich żołnierzach, a do Anglii wysyłają kolejną partię lasek”.

* * *

Dla dzieci na Pitcairn każdy kraj to wyspa. Świat to dziesiątki wysp porozrzucanych po oceanie. Mapa jest jak święta księga – traktuje o rzeczach abstrakcyjnych i trzeba brać ją na wiarę. Kiedy powiesz dziecku, że istnieją lądy tysiąc razy większe od Pitcairn, to przyłoży dłonie do ust i zapiszczy w zadziwieniu. Na wyspie żyje dziesięcioro dzieci z dwóch małżeństw. W jedynej szkole, w dolinie Pulau, jest siedem ławek: dla czworga Watkinsów i trojga Nelsonów; najmłodsza Abigail ma sześć lat, najstarszy Rufus – trzynaście. Jest tylko jedna klasa i jedna nauczycielka. Na korkowej tablicy wydruk z fotografiami sześciorga dorosłych. Podpisany: „Ludzie, którym ufamy”. Jedno z pierwszych pytań, jakie usłyszałem od dziecka na Pitcairn, to: „Komu ufasz?”.

Starszyzna ubolewa, że z każdym dziesięcioleciem populacja spada, a wyspie grozi wyludnienie. Kobiety nie chcą rodzić. A dzieci to przecież władza. Kto ma dużo dzieci, zostaje burmistrzem i rządzi wyspą.

Wybory odbywają się co trzy lata w wigilię Bożego Narodzenia. Burmistrzem może zostać tylko urodzony na Pitcairn. Głosują pełnoletni mieszkańcy, ostatecznie o zwycięstwie decyduje najbliższa rodzina. Wybrany zarządza finansami i wydaje dyrektywy. Doradza mu dziewięcioosobowa rada, ale to burmistrz podejmuje wiążące decyzje: w pobliżu czyjego domu zbudować drogę, jak rozdysponowywać brytyjskie pieniądze.

– Jest też sędzią – tłumaczy Donna. – Prowadziłby rejestr skarg i rozstrzygałby spory między wyspiarzami, gdyby istniały. O poważnych przestępstwach powinien powiadomić prokuraturę w Nowej Zelandii. W jego kompetencjach leży też nakładanie grzywien.

Ale żeby móc ich karać, ludzie muszą wiedzieć, czego im nie wolno. Co jakiś czas odbywa się zatem publiczny odczyt praw na placu Głównym:

Jeśli pies zagryzie udomowioną kozę, to opiekun psa uiszcza grzywnę. Połowę przekazuje właścicielowi kozy, połowę temu, kto wskazał psa.

Jeśli dziecko zabije kota, zostaje poddane karze cielesnej. Dorosły za to samo przewinienie uiszcza grzywnę. Musi też samodzielnie wyłapać dwadzieścia szczurów.

Każdy wyspiarz może ubiegać się o ziemię pod uprawę. Może też wyciąć tyle drzew, ile jest potrzebne do budowy domu. Nadwyżkę należy przekazać następnemu, kto zechce wybudować dom. Budynek musi powstać w ciągu trzech lat od dnia ścięcia. Inaczej ziemia i drewno zostaną odebrane.

Zabrania się ścinania drzew, jeśli zalegają zapasy drewna.

Kura, która przedostanie się na cudzą ziemię, może być odstrzelona. Właściciel ziemi może ubiegać się o zwrot amunicji u właściciela kury.

Każdy, kto handluje ze statkami bez zgody przewodniczącego Rady Wyspy, podlega karze grzywny. Zakup alkoholu jest surowo zabroniony, chyba że do celów medycznych.

Kobietom nie wolno wchodzić na pokład statków bez opieki. Musi im towarzyszyć czterech mężczyzn.

– Prawo jest stare i martwe – mówi Lu. – Ale burmistrz Edward „Ciasteczko” Watkins uwielbia przypominać o sprawiedliwości. Wygrał z Donną dwoma głosami.

* * *

Spojrzy i wydaje się, że wie o tobie wszystko. Zmieniam baterię w aparacie, na co Donna mówi:

– Widziałam, jak zdjęcie zabiło człowieka.

Potem odwraca wzrok, porządkuje świstki, porozrzucane kartki. Niektóre przekreślone czerwonym flamastrem, podpisane: ODRZUCONO. Ta jest na wierzchu:

„Nazywam się Richard Buddy (imię i nazwisko zmienione), mam pięćdziesiąt siedem lat, mieszkam w Karolinie Północnej. Jestem stolarzem, adwentystą.

Tak się życie ułożyło, że nie mam żony ani dzieci. Jestem samotny. Odkąd pamiętam, pragnąłem żyć w komunie, pośród szczęśliwych, religijnych ludzi. W końcu dowiedziałem się o Waszym istnieniu. Wierzymy w jednego Boga, wyznajemy te same n a j l e p s z e zasady. Myślę, że mógłbym się przydać. Potrafię ciężko pracować, nie mam nałogów. Chciałbym znaleźć dom na Pitcairn. Proszę o zgodę na przyjazd. W załączniku przesyłam życiorys.

Z szacunkiem, R.B.”

Czerwony flamaster – ODRZUCONO.

– Życiorys na jedną stronę? Za krótki jak na pięćdziesiąt siedem lat życia – zbywa mnie Donna. Jest szorstka, mówi oszczędnie, najczęściej zaimkami: mój, twój, ktoś, coś, nigdy.

– Dostajemy tysiące podobnych listów – Lu łagodzi ton Donny. – Od tysięcy Europejczyków i Amerykanów gotowych zrezygnować z dotychczasowego życia od zaraz. Lgną do nas zagubieni. Ludzie, którym brak tożsamości. Myślę, że Pitcairn to coś w rodzaju ich ostatniej szansy.

* * *

Sad mandarynkowy wyrósł z kilku pestek, wyplutych bez gospodarskich zamiarów. Piął się ku górze, aż stał się rajem.

Owoce rozmiarem dorównują pomarańczom, mają gładką skórę, intensywny kolor i aromat. Z liści wytwarza się olejki zapachowe, można przycupnąć pod drzewem i wdychać; przyjemnie kręci się w głowie.

Miąższ jest niewymownie słodki, jeden owoc daje uczucie sytości. Rosną tu setki drzew, na każdym kopy mandarynek. Mogłyby wyżywić jeszcze trzy osady, gdyby tylko powstały.

Drzewa okala ogród kwiatowy – wielobarwny, rozwichrzony, jakby malarka bryzgała farbami. Wiele kwiatów jest jeszcze nienazwanych, nieznanych nauce, choćby ten o bordowych płatach w kształcie kropel, z alabastrowym nektarnikiem i szypułką o nieznanym gdzie indziej odcieniu zieleni, tak neonowej, błyszczącej.

Co zakręt to uderzenie obuchem: kolonie drzew bananowych, mangowych i grejpfrutowych, po ziemi turlają się pomarańcze. W ścieżkach wyżłobienia; kiedy spadnie deszcz, słodka woda płynie w bruzdach, owady milkną, z kryjówek wychodzą zwierzęta i spokojnie zmierzają do wodopojów.

Człowiek z zewnątrz zachłystuje się tym bogactwem.

– Lu, dlaczego tu nie ma ludzi?

* * *

Fotografia: trzy Pitcairnenki naśladują mądre małpy – „nie widzę, nie słyszę, nie mówię”.

* * *

– Wiesz, że kiedyś drzewa mandarynkowe były wspólne? – Lu marszczy czoło, jakby zobaczył coś nieprzyjemnego. – Wystarczyło pójść i nazrywać. Kiedyś wszystko było wspólne…

Zatrzymujemy się U Pszczół. Będą cztery lata, jak odkupił od Hastingsa dwadzieścia uli.

– …w soboty organizowaliśmy przyjęcia. Laura piekła chleb, Pennie dusiła kurczaki na mleku kokosowym. Zbieraliśmy się wszyscy, każdy targał krzesło z domu, bo nie było gdzie usiąść. Kiedyś naprawdę byliśmy wspólnotą. W sierpniu obchodziliśmy Święto Melasy. Ścinaliśmy trzcinę cukrową, kruszyliśmy w młynie, a sok przelewaliśmy do donic. Potem gotowaliśmy wywar na otwartym ogniu, w sześciu wannach. Trzeba było uważać: gotowany zbyt krótko mógł sfermentować. Zbyt długo, mógł ulec krystalizacji. Powinien wyjść gęsty, ciemnobrązowy syrop. Dzieciaki za nim przepadały, a nam było miło patrzeć…

– Nakarm kozy, bo uciekną – przerywa Donna. Lu mówi dalej:

– …a na Dzień Bounty czekało się cały rok, bardziej niż na Boże Narodzenie. Budowaliśmy imitację okrętu, którym przypłynęli buntownicy. Kadłub z łodzi rybackiej, żagle z kartonu. Wszyscy pomagali, starszyzna i młodzi, kobiety i mężczyźni; tygodnie mozolnej dłubaniny. Tak, by na 23 stycznia nasz model był gotowy, żeby spuścić go do zatoki. Wtedy szliśmy na ryby, wracaliśmy z pełną siatką, czterdzieści kilo, starczało dla wszystkich. Smażyliśmy te ryby na wspólnym ogniu, po południu była uczta. Każdy coś przynosił: arbuzy, ciasto chlebowe, mandarynki. Wszyscy rzucali się na placki bananowe Pennie. Wieczorem schodziliśmy do zatoki podpalić łódź. Staliśmy objęci, w milczeniu, wpatrywaliśmy się, jak płonie. Łódź była symbolem brytyjskiej okupacji.

Lu robi pauzę.

– Dziś każdy ma swoje drzewa mandarynkowe. Wiele drzew zostało zatrutych.

Donna wchodzi mu w słowo, w jej tonie pobrzmiewa pretensja:

– Jadę po Atkinsa. Kolacja o dwudziestej.

– Kim jest Atkins? – pytam. Lu udaje, że nie słyszy.

2

– Jest Atkins? – pytam Donnę.
– Przecież zawsze jest.

* * *

Na stole jeden talerz, jedna filiżanka.

Atkins miał popaprane życie. Tak mówi rodzina. Kiedyś był najlepszym poławiaczem. Teraz jest stary i tylko struga w drewnie.

Model Bounty kosztuje dwadzieścia dolarów; sprzeda trzy, czasem cztery w miesiącu.

Przed domem trzy groby, na krzyżach wyryte imiona: Pixy, Dixy i Zulu.
– Czyje to groby? – pytam Atkinsa.
– Kotów córek.
– A gdzie córki?

* * *

– Zdechłby z głodu, gdyby nie litość Donny – opowiada Wyspiarz. – Stary stołuje się u niej dzień w dzień, od dziesięciu lat. Przez ten czas nie odezwał się słowem do Lu, choć ten zabiegał o poprawne stosunki. Atkins traktuje go jak gówno. Donna wiele razy prosiła męża, żeby zrozumiał i nie zwracał uwagi na Atkinsa. Lu kocha żonę, więc milczy. Stary jest jej wujem. Donna ma wobec niego zobowiązanie.

– Jakie zobowiązanie?

– A nigdy nie powiedziała.

* * *

– Atkins jest samotny. Jego córki opuściły wyspę – tłumaczy Donna, a w jej głosie słychać urazę do córek wuja. – Po ich wyjeździe wyraźnie przygasł. Jak mu pękła szyba w przedsionku, to nie wstawił nowej.

Rudera, mysi zapach; trzy sypialnie i pakamera. W powietrzu siwy proszek, wytarte kamienie służą za taborety; na środku sofa z rozwartą skrzynią na pościel: brudne prześcieradła pośród czystych. W kącie stoi zegar wahadłowy. Nie bije. Na ścianie kalendarz z 1999 roku – co się wydarzyło tamtego czerwca?

Nieswojo. Na niczym nie usiądziesz – termity już dawno zżarły krzesła. Wyłamana igła w singerze – nic nie uszyjesz. Puste słoiki na podłodze –

kiedyś smażył konfitury. Pocztówka z Nowej Zelandii, zapisana drżącą ręką: „Wszystkiego najlepszego, ojcze”.

Wyspiarka:

– Pamiętam z młodości, że Atkins bawił się z młodszą Madison w karuzelę. Trzymał mocno za ręce, obracał w powietrzu. To było nad przepaścią. W każdej chwili mógł puścić, ale córka patrzyła na niego z ufnością.

Wyspiarz:

– Atkins żyje, jakby się nie bał. Lubi opowiadać o pitcairneńskim stylu życia. Zapytaj go.

* * *

Znaczące słowa wypowiadają szybko, zdaniom towarzyszą nerwowe ruchy głowy; czy ktoś nie idzie, nie bierze na cel. To są zawsze krótkie zdania. Chaotyczne, niedopowiedziane.

Wieczorami spisuję wszystko, co uda mi się spamiętać. Rozmów nie nagrywam, dla bezpieczeństwa. Co usłyszę, to powtarzam, cały dzień – czasem są to trudne słowa. Jak zapomnę, to dopytuję, a oni spoglądają podejrzliwie. Moją sypialnię od sypialni Donny dzieli kartonowa ściana, można ją przebić widelcem. Dlatego ledwo muskam klawiaturę, a tekst zapisuję do pliku „Potomkowie dzielnych buntowników z Bounty”.

Większość wyspiarzy nie chce ze mną rozmawiać, bo konsekwencje rozmów z obcymi mogą być poważne. Może dojść do samosądu. Dowiedziałem się, że kilkoro Pitcairneńczyków obawia się przypadkowej śmierci. Tu rządzą mężczyźni szybkich decyzji, tacy, którzy się nie zawahają. Mówią na nich Chłopcy.

Stoją na straży tajemnicy, budują strach. Kto złamie ciszę, ten Judasz. Ten skończy marnie. Na Pitcairn niektóre informacje są jak zawleczki granatów.

* * *

Suchy, wychudzony; plamy wątrobowe na dłoniach. Dwa razy pytam o córki, a on milczy. Jednocześnie nie spuszcza ze mnie wzroku. Ma przenikliwe, wojownicze spojrzenie, stoi wygięty do przodu. Zauważam, że utrzy-

manie postawy bojowej kosztuje Atkinsa zbyt wiele. Trzęsie się, więc zmieniam temat.

– Dlaczego nie rozmawiasz z Lu?

– Bo to Judasz. Nie jest jednym z nas.

– Od trzynastu lat jest mężem twojej siostrzenicy.

– Źle wybrała.

* * *

Ze wszystkich istot żywych Lu najbardziej lubi pszczoły. Mówi, że choć są zamknięte w ulu, tworzą sprawiedliwą komunę. I że praca przy ulach odrywa go od t r u d n y c h w s p o m n i e ń. Więcej nie powie. Odkąd jest Judaszem, jego życie bardzo się zmieniło.

Grozili mu nawet śmiercią.

Donna ma alergię na pszczoły. Ukąszenie mogłoby spowodować zapaść, ale pyłek pszczeli wymieszany z miodem leczy jej duszności.

– Życie na wyspie – mówi Donna – jest bardziej zawiłe niż mój stosunek do pszczół.

To jej kuzyni straszyli Lu.

– Za wrogów miał też matkę Donny i jej brata Bucka, a to stukilowy olbrzym, mógłby zabić – opowiada Wyspiarz. – Kazali Donnie wybierać. Albo trzyma z matką i bratem, albo z mężem. Na pewno żyła w ogromnym napięciu. Co się wtedy działo w jej głowie? Nigdy tego nie wyjawiła. – Mężczyzna bierze głębszy oddech. – Ale pewne jest, że brała to na chłodno, sprawiała wrażenie nieporuszonej. To było nieludzkie. Inny by uciekł albo - skoczył z Klifu Skąd Spadł Dan. A ona wybrała trzecie rozwiązanie.

Mediowała między mężem a swoją rodziną. Nie odstępowała Lu na krok, była gotowa oddać za niego życie: „Pilnuj się mnie, nie wychodź po zmroku, nie gaś silnika”. Jednocześnie chodziła do brata i kuzynów. Gdy ją wyrzucali za drzwi, to wracała. Jak kukułka w zegarze. Przekonywała, że jej mąż jest nie Judaszem, tylko zupełnie zwyczajnym Przechrztą. I że wychowa go tak, by się przydał wspólnocie.

– To było upokarzające, dla niego i dla niej. Lu się nawet ciężko pochorował. To były dla nich apokaliptyczne miesiące.

Wyspiarka:

– Oni się bardzo kochają. Myślę, że miłość ich obroniła. Inne związki się rozleciały, wiele rodzin nie przetrwało próby.

Wyspiarka jest jeszcze młoda, ale ciało zrujnowane, cera jak kora. Mówi o wojnie, ale wojny nie było. Pół życia drętwiały jej dłonie. Odkąd dostała lekarstwa, nie umie się nadziwić, że, ot tak, można przeplatać wiklinę. Boi się mówić; może pójść na potępienie, a wtedy ukręci sznur. Ściany mają uszy, każdy wszystko wie. Kto z kim rozmawia, przeciw komu; gdzie śpi, kto kradnie, z czyich gałęzi zrywa owoce i czy to już jest materiał na szantaż. Giełda intryg i pomówień. Każdy szuka czegoś na innych. Na przyszłość, na handel, w obronie własnej. Żona na męża. Brat na brata. Dlatego wyspiarze żyją w nieustannym napięciu, w czujności, by obronić się przed intrygą. Ktoś może zagrozić. Jutro, za rok, za pięć lat.

* * *

– Lu, dlaczego grożono ci śmiercią?
– Nikt nigdy nie groził mi śmiercią.

* * *

Wyspiarze mówią, że wspólnota jest monolitem, ale ludzie łączą się tu w podgromady. Z Atkinsem na przykład trzyma Buck, brat Donny. A Bucka popiera pół wyspy.

Reszta ukrywa swoją nienawiść do obu.

Buck jest dobrze po pięćdziesiątce: wysoki, masywny, głowa wpuszczona w umięśnione ramiona. Ten człowiek ma reputację dzikiego – mówią jedni. Prawdziwy przywódca i orator – uważają drudzy.

Teraz Bucka nie ma. Popłynął na operację serca. Wróci za dziesięć dni albo trzy miesiące. Spotkaliśmy się w porcie w Mangarevie, schodził ze statku, na który czekałem. Ludzie witali go z szacunkiem przynależnym władcy. Kiedy podszedłem, podał mi rękę, ale nawet przez chwilę nie spojrzał w moją stronę; dwukrotnie przemilczał moje „*How are you?*”. Krzątał się za to nerwowo, błądził wzrokiem. Niektórzy wyspiarze mówią, że oszalał.

Hank, siwy mężczyzna o szlachetnym spojrzeniu, darzy jednak Bucka uznaniem. Hank liczy miliony, tak jak inni liczą jednodolarówki. W Nowej

Zelandii zbudował konsorcjum finansowe, kupował i sprzedawał spółki. Na Pitcairn postawił piętrowy dom. Chciałby na wyspie skończyć życie. Teraz mówi:

– Buck jest najlepszym gospodarzem i nieformalnym liderem, nawet burmistrz słucha jego poleceń. Nikt nie potrafił zadbać o wyspę tak jak Buck. Są niestety ludzie, którzy nie potrafią tego docenić.

Hanka też straszyli.

Każdego dnia słyszę coś nowego, coś, co przeczy wszystkiemu, co do tej pory powiedzieli. Komu wierzyć? Duszno. Pitcairneńczycy są jak wielopokoleniowa rodzina zmuszona żyć w przyciasnym mieszkaniu – knują i zwalczają się po cichu.

* * *

– Ludzie mówią różne rzeczy – zagaduje mnie Lu, szorstko. – Mówią, że za bardzo się interesujesz…

Czekam na prąd, a potem wysyłam maila do Polski: „Kochani, mam się dobrze, a wyspa piękniejsza niż na obrazkach”.

Sieć działa kapryśnie, byle mżawka przerywa połączenie. Ktoś mi powiedział, że Rada Wyspy ma wgląd w treść poczty elektronicznej. I że kilometr na północ jest Klif Skąd Spadł Dan, a dalej jeszcze drugi – Gdzie Zginął Dick.

* * *

Atkins opowiada o pitcairneńskim stylu życia:

– Jak mi zdrowie pozwalało, to szedłem na ryby. Miałem krzepę, więc wracałem z czterdziestoma kilogramami. Kobietom to imponowało. Odkąd pamiętam, lubiłem podpatrywać kobiety. Pławiły się w zatoce. Zatoka wrzyna się w głąb lądu, brzeg okalają palmy. Ciało przyjemnie wgniata się w ciepły piasek, można się odprężyć, rozłupać kokos i nawilżyć usta. Tylko idiota tego nie doceni.

– Córki nie doceniły?

– One mają swoje życie, nie kontaktujemy się. Niech tak będzie do śmierci.

* * *

Noce są ciche, a dni pozornie spokojne. Mówi się: „Byle do wieczora” albo: „Zdrowych snów”. Po zmierzchu osada nieruchomieje, milknie, a mężczyźni wracają do żon, karnie, jak do zagrody. Jeśli wierzyć Wyspiarce, to korzą się przed ich piersiami, udami słusznej wielkości, przed surowym spojrzeniem. Dziwaczna to musi być odmiana ról: kobieta na stołku, mężczyzna w parterze. Tu, na Pitcairn, opowiada Wyspiarka, mężczyźni są kimś innym za dnia, kimś innym w nocy, gdy nie trzeba prężyć muskułów. Żywoty spiętych. Jakby nie mieli sił udawać.

– Czy to też jest miłość? – pytała Veronika. – Bo widzisz, oni kochają, jakby nienawidzili. Taka miłość z wadą serca. Nić, co nie złączyła, choć oplotła.

Już noc.

Gapię się w białe światło lampy. Słyszę zza ściany głos Donny:

– Chyba mamy zgniłe jabłko, Lu.

3

Słupek rtęci nie spada poniżej dziesięciu stopni, nie pnie się powyżej dwudziestu pięciu. Gęste powietrze oblepia ciało – jakby się człowiek kąpał w syropie. Przed siódmą poranna mgła zaczyna opadać, z oparów wyłania się las tropikalny: cudaczne drzewa, pnącza, liany, powojowate rośliny splątane w supły tworzą coś w rodzaju monstrualnej pajęczyny albo siatki kamuflującej. Pitcairn – tysiąc kryjówek i pułapek.

Idę w dżunglę. Suche badyle trzeszczą pod nogami, wiatr popycha naprzód. W krzakach rojno od szczurów i kotów, gdzieś obok toczy się gra o życie. Do tego pomruk pękających drzew, gałęzie opadają do ziemi, kuszą. Na rozłożystych liściach gęste krople deszczu, wspomnienie wczorajszej nawałnicy. Kwiaty szkarłatne, bulwy wielkie jak dynie, inny świat. Obcy czuje się niepewnie, zaczyna działać instynktownie, neurotycznie, szuka wyjścia jak mysz w labiryncie. Kiedy Pitcairneńczyk idzie w dżunglę, zabiera maczetę, która przetnie wszystko, nawet liść opadający na ostrze. Prowadzi przez tajemne korytarze, wskazuje pułapki: „To runo jest zdradliwe, pod spodem szczelina, spadniesz pięć metrów w dół”. Albo: „Zanurz się, durniu, w słonym oceanie i wyjdź na tropikalne słońce. To już lepiej wejść w płomienie”.

W dżungli łatwo poczuć, kto jest gospodarzem, a kto na jego łasce. Obcy staje się pokorny, oddaje swój los w ręce Pitcairneńczyka. Wyspiarz z maczetą budzi trwogę, lecz i nadzieję, jak widok ognia na wierzchołku góry. Wysyła w dżunglę, byś się przeczołgał, zmiękł, wymęczył, byś poczuł wdzięczność. Rodzi się zależność. Zaciągasz długi.

– Jesteś antropologiem, tak? – Zatrzymuje mnie mężczyzna w brudnym podkoszulku. To Moe. Jest po czterdziestce, ma przenikliwe spojrzenie.

– Interesuje mnie życie zamkniętych społeczności.

– Przejdźmy się po okolicy.

– Nie, dziękuję.

– Za co dziękujesz?

– Za przechadzkę.

– Przechadzka? Świetny pomysł! Pójdziemy Szlakiem Fletchera, tam najlepiej widać ocean. – Nie daje mi wyboru. – Widzisz, my doświadczyliśmy wiele złego. Musiało upłynąć sporo czasu, zanim posprzątaliśmy po sobie. Nie lubimy, jak Obcy miesza się w nasze sprawy, węszy. Pooglądaj lepiej rośliny, pojedz pomarańcze. To wspaniała wyspa. Mnie zatrzymał tutejszy styl życia.

– Co chcesz powiedzieć?

– Spójrz. – Moe sięga po niewielki bazalt, rzuca do oceanu. – Wystarczy jeden kamień i już zakłóca powierzchnię wody. Widzisz?

– Widzę.

– Ale nie zmieni jej biegu.

* * *

– Zacznijmy od początku: jestem Veronika. Nienawidzę współczucia. Kiedy chcę udawać przed ludźmi, maluję paznokcie.

– Na czerwono?

– Nie poznasz zniszczonego paznokcia, nim nie odłupiesz lakieru. Rzadko kiedy pozwalam sobie na niepomalowane paznokcie. Właściwie cały czas myślę, żeby się nie odkryć.

– Nie odkryć? Z czym?

– Z przeszłością.

– Ładne misy! Sama lepiłaś?

– Lepię w glinie, to mnie uspokaja. O czym mówisz?!

– Że ładne misy.

– Czy ty mnie słuchasz?! Billy powiedział: „Z tym trzeba nauczyć się żyć”. Nie powiedział, za jaką cenę. Za swój największy sukces uznaję to, że żyję. Tak, to są blizny po cięciach. Rana sięgała tkanki tłuszczowej. Czułam nie ból, tylko pieczenie. Często wypisywałam na kartce papieru jedno słowo: „Pomocy”. Życzeniowo. Czasem miewam przebłyski pamięci, nagłe i natarczywe. Kiedyś powtarzały się bez końca, teraz rzadko. Skurcze mięśni, serce łomocze, krew. I trzeba zaczynać od początku. Budować spokój. Ale żyję. Wybrałam życie.

– To naprawdę gustowne misy. Masz tego więcej?

* * *

Były ich trzy.

Pierwsza: wyuzdana dziewczyna na barowej ladzie, przywoływała mężczyzn palcem. Pojawiła się już po ucieczce.

Przychodziła rzadko. Miała pomóc Veronice żyć.

Drugą narysowała na psychoterapii. Nie miała kształtów. Chaotyczne kreski, pociągnięte w furii.

Była jeszcze trzecia, najbardziej bała się trzeciej: stróżującej, konsekwentnej; która szeptała: „A po co ci żyć?”.

Po pracy chodziła do parku. Park leży dziesięć minut drogi od domu. Po drodze jest cukiernia i lody kawowe. Brała porcję i starała się powiedzieć sprzedawczyni coś miłego. Żeby zapamiętała. Potem siadała na ławce, jadła lody, szukała odpowiedniego drzewa.

– Wybrałam życie. Nie powiem, że zapomnę, bo wydarzyło się za dużo. Ale nie skończę ze sobą, bo uznałam, że spotkało mnie za mało na samobójstwo.

4

– Widziałeś jak Pitcairneńczyk bawi się gekonem? – pyta Veronika. – Wypuszcza go ze słoja, śmiech, gekon szaleje, boi się, skacze po ścianach, po zamkniętym pokoju, głupi, liczy, że ucieknie na wolność. Widziałeś? Tak było z nami na wyspie.

* * *

Przypominało to polowanie na gekony, lecz na zamkniętej przestrzeni. Kiedy temperatura w spodniach Chłopców rosła, dziewczęta chowały się w puszczy, po norach, na drzewach, bo w domach też nie było bezpiecznie. Spędzały w ukryciu długie godziny. Trzy godziny. Pięć godzin. Kiedy wrócić do domu? Kiedy jest odpowiednia pora? Nie zawiedź mnie, intuicjo. Bo gwałt dało się przewidzieć. Mężczyźni wysyłali sygnały. Żartowali. Czekali za rogiem. Rzucali uśmiechy. Takie, których nie wolno odrzucić. Jak dziewczynka odrzucała uśmiech, to rodziła się pretensja. A pretensja była pierwszym krokiem do gwałtu. Więc prowadziły grę. Kto kogo przechytrzy. Uśmiechnę się, żeby zadowolić, ale nie sprowokować. Stawką – jeszcze jeden dzień bez.

Ale ile można wygrywać ogranym trikiem? Więc potem znowu – w zakamarki, kryjówki, półcienie. Dokąd teraz pójść, skoro tu mnie znaleźli? Jak długo siedzieć? Dokąd pójść, kiedy chce się jeść? Gdzie się chować? W domu – przyjdzie sąsiad. W szkole – nauczyciel. Przed burmistrzem też należy uciekać. Więc do puszczy. A że wyspa jak pudełko po zapałkach, to zmieniać miejsce. Co rusz. Najlepiej chodzić. C h o d z i ć. Lawirować.

Skazane na ich pot, na codzienne ocieranie łokciami. Nie uciekły z Pitcairn, choć nie było murów, drutów, wartownika. Tylko statek, sześć–osiem razy do roku, którym pływał partner burmistrza w interesach.

Gwałcili tyle, by zaspokoić potrzeby, lecz nie tyle, żeby zrobił się smród wokół wyspy. Czyli ile? Czy któryś zadał sobie pytanie, czy zgwałcił w sam raz, czy już za dużo?

Pomyślisz – zwierzęta. Wtedy łatwiej byłoby ich zrozumieć, łatwiej o wszystkim zapomnieć. Ale to nieprawda. Buck na przykład dba, by jego dzieci nie miały próchnicy w zębach. Jest sprawnym mówcą, referował o sytuacji polityczno-gospodarczej Pitcairn na forum ONZ.

Nie zapomnisz. Polowanie na gekony nie ominęło nikogo, przeszło przez każdy dom. Nikt nie mógł stanąć z boku, powiedzieć: „Ten gwałt mnie nie dotyczy”. Albo gwałciłeś, albo odwracałeś wzrok. Jadłeś płatki na mleku, gdy twoja córka wracała zbroczona krwią, spacerowałeś, gdy w krzakach dwóch sąsiadów zajmowało się córką twojego brata. Trudno dziś ludziom żyć z tym ciężarem. Ludzie dziś nie chodzą na spacery.

* * *

– Widzieli w nas tylko pochwy i piersi – opowiada Veronika. – Nasłuchiwałam kroków. Ziemia pode mną falowała albo krew szybciej napływała do głowy. Wołać o pomoc? Nie znałam takiego pojęcia. Każda musiała liczyć na siebie. Każda pewnie tuliła się potem do ściany. Nawet nie zbliżałyśmy się do siebie. Rozumiesz? Ze wstydu. Nie potrafię tego opowiedzieć. Gwałtu nie da się opowiedzieć, opisać, nie można się nim podzielić, prosić: „Zdejmij ze mnie ciężar gwałtu”. Każda musi doczekać końca ze swoim gwałtem. Ktoś zapytał, czy to boli. Chodzić ścieżkami, które kojarzyły się z najgorszym. Tam przecież nie ma wielu ścieżek, a bólu nie czujesz. Adrenalina.

Lewa brew podniesiona, prawa opuszczona. Lewa łączy się z mózgiem, chce walczyć, pyta, jak pokonać przeciwność. Prawa brew zdradza strach, czeka na najgorsze. Usta szeroko otwarte, nieartykułowany dźwięk. Lęk jest gwałtownym ruchem głowy, szukaniem drogi ucieczki, a gdy jej nie ma, jest lustrowaniem najbliższej przestrzeni: gdzie szpadel, młotek, siekiera? Nie ma. W obronie człowiek wyciąga ręce: zapora, mur. Zamyka oczy. Stoi w bezruchu i na bezdechu. Serce uderza o żebra. Podnoszą się włosy na skórze, drżą mięśnie. Wygląda, że zemdleje, przeraźliwie blada twarz. Konwulsyjne ruchy warg, ścisk gardła. Wytrzeszczone oczy spoglądają w jedno miejsce. Człowiek zaciska i otwiera dłonie, ale nie wie dlaczego.

Gdy strach osiąga apogeum, wydaje się, że słychać przeraźliwy krzyk. Ale człowiek milczy i żadnego krzyku nie ma. Pot zalewa ciało. Mięśnie się rozluźniają. Takie psychosomatyczne objawy lęku mogą wystąpić tuż przed gwałtem.

– Jest tyle zachowań, których nie potrafię wytłumaczyć. Na przykład za każdym razem, kiedy wychodził ode mnie, musiałam zjeść pomarańczę. Nie wiem dlaczego. Albo to ze spódniczką. Miałam dwanaście, może trzynaście lat. Spuszczałam spódniczkę i mówiłam: „Patrzcie". Potrzebowałam tego, żeby patrzyli. Byłam zbyt młoda, żeby to nazwać, zrozumieć. Winę brałam na siebie. Zamykałam się w pokoju, rozmawiałam ze swoją łechtaczką. Mówiłam: „Zła cipka, zła".

* * *

Uciekinier:

– To zawsze było obok. Chyba straciliśmy czujność. Nie wiem, kiedy przestaliśmy nad tym panować. Może w roku 1968? Ostatnia kompania handlowa zawiesiła rejsy na Pitcairn. Odtąd mogliśmy liczyć wyłącznie na przypadkowe statki. Pamiętam. Buck miał wtedy szesnaście lat i przyglądał się odpływającemu szkunerowi. Przyszłość wyspy stała się niepewna. Baliśmy się głodu, izolacji. Buck się nie bał. Może wtedy po raz pierwszy poczuł odpowiedzialność? Był przyszłością wyspy, nadzieją Gangu. Do Gangu należeli tylko urodzeni na Pitcairn. Reszta to Przechrzty, Obcy; nie było jeszcze Judaszy. Przechrzta nie ma wygodnego życia na skale wielkości czterech kilometrów kwadratowych. Obcy mówi o niesprawiedliwości, a Judasz o piekle.

* * *

1968.

Któregoś dnia podpalili runo leśne, a ogień strawił część wyspy. Ktoś ze starszyzny rzucił: „Trzeba zrobić porządek z chłopcami". I tak do nich przylgnęło – Chłopcy.

Todd Watkins od małego czuł się gorszy od Bucka Nelsona. Miał mniej pitcairneński (zakrzywiony) nos i nie tak bujny zarost. Na dodatek był nieśmiały i gubił pierwsze słowa w zdaniach. Jego słowa zaprzeczały myślom.

– Popływasz ze mną, Todd? – pytała Zelda, młodsza siostra Todda.

– Raczej pójdę do kóz.

Drugi z paczki, Bourne Wood, pielęgnował kompleksy, bo jego rodzice przelali uczucia na młodszego Phila. Z czasem stał się agresywny.

Co innego Nico Padgett. Orał pole ciotki Miriam, ilekroć uskarżała się na migrenę. Ktoś nazwał go Rybą, bo miał spojrzenie jak śnięty węgorz.

Był jeszcze Brayden Nelson, ale przeważnie milczał.

Gdyby żyli w Nowej Zelandii albo na Norfolk, pewnie nie trzymaliby się razem, nie polowaliby na albatrosy i nie łapaliby gekonów do słoja po miodzie. Na Pitcairn byli jednak skazani na siebie jak pasażerowie zepsutej windy.

Ich występki prędko szły w zapomnienie, więc kiedy nałykali się psychotropów skradzionych z apteczki Doris Bale, skończyło się na reprymendzie. Za inne łobuzerstwa stawali przed starą Mandy Watkins i jej nic nieznaczącym poleceniem: „Pokłoń się Biblii, mój chłopcze”.

Dziewczęta miały swoje zajęcia: Veronika plotła kosze z wikliny, a kiedy dobijał statek, sprzedawała je marynarzom za dolara. Erin i Grisel pomagały rodzicom na plantacji awokado, a w wolnych chwilach ześlizgiwały się na liściu kokosowym z Najwyższego Wzniesienia.

– Był świat chłopców i świat dziewcząt – powie po latach Veronika. Te światy krzyżowały się w opuszczonym warsztacie, sto kroków od kościoła. Chłopcy podciągali dziewczętom bluzki, a opiłki drewna wznosiły się pod sam dach. Czasem do okna skradał się pastor i podpatrywał.

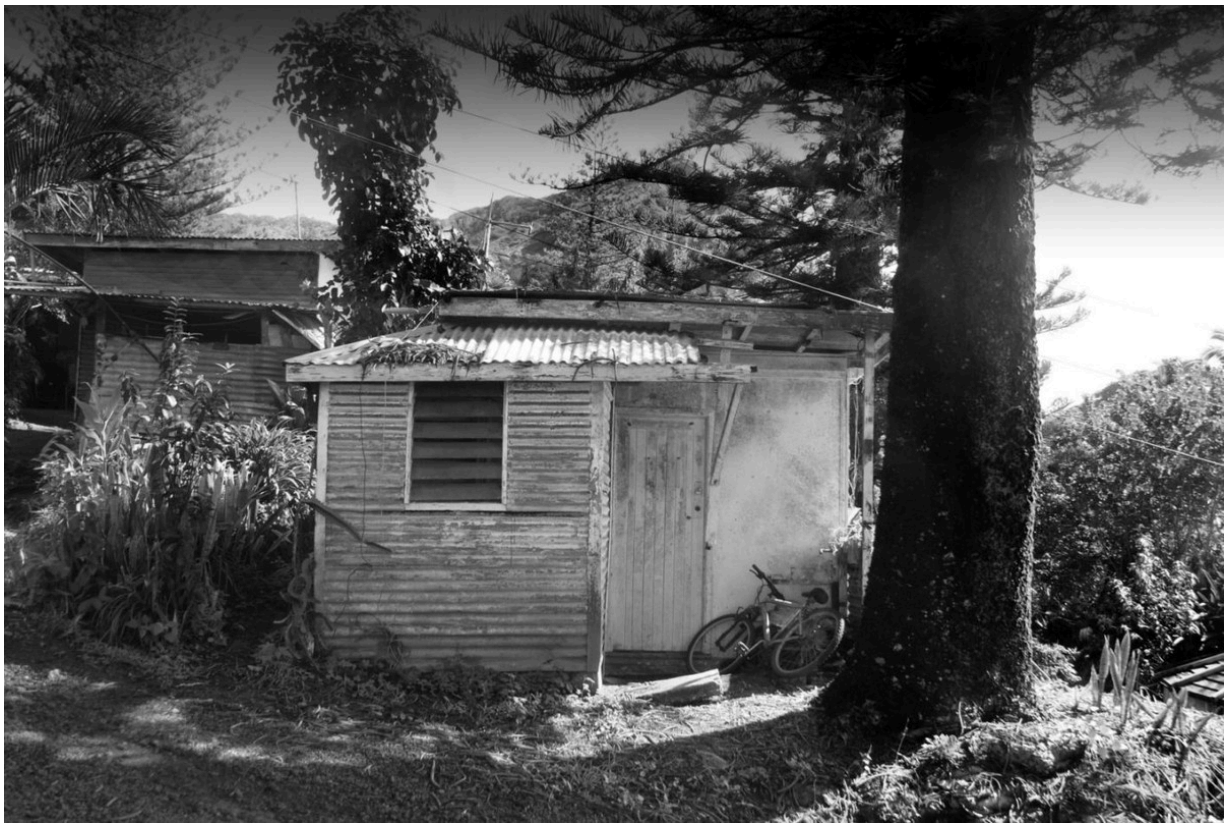

Mieszkańcy zdawali się nie zauważać jego namiętności. Żyli przecież w społeczeństwie, w którym ludzkie słabości są wybaczane. Wierzyli słowom pastora, który powtarzał, że obserwacje życia czynią jego kazania bardziej wiarygodnymi. Potem opuścił wyspę.

Mieszkańcy budzili się przed piątą i pracowali do zmierzchu. Kobiety były silne, a ich dłonie czarne od przebierania w ziemi. Stara Judith i jej córki taszczyły na plecach worki ze słodkimi ziemniakami, czterdzieści pięć kilo każdy.

– Chodziliśmy głodni albo najedzeni. Na łódź z zaopatrzeniem czekaliśmy nierzadko pięć miesięcy. Mogłeś mieć tysiąc funtów albo szylinga; kiedy statek nie dopływał, pieniądze nic nie znaczyły. Czasem brakowało oliwy, próbowaliśmy manioku i rzygaliśmy na pół metra. Potem, jak zwierzęta, ryliśmy w ziemi za jedzeniem – opowiada Atkins. – Ubrań było mniej niż mieszkańców, więc garderoba była wspólna i przechodnia. Mój wuj miał tylko sweter i nic poniżej. Potem zrobił z tego swetra kilka par majtek.

W piętnaste urodziny po raz pierwszy założył spodnie.

– Dziewczyny nosiły skrawki szmat, odsłaniały niemal wszystko, wodziły na pokuszenie, więc zabieraliśmy je na zrywanie pomarańczy i przepuszczaliśmy, kiedy wspinały się po drzewach.

Czasem na horyzoncie pojawiał się statek, a Carl Nelson bił w dzwon cztery razy. Oznajmiał Dzień Rozdzielania Towarów. Mieszkańcy porzucali pracę i szli na skwer handlować z marynarzami. Dzwon pochodził z zatopionego wraku Bounty.

Raz w pobliżu wyspy zacumował frachtowiec z Nowej Zelandii. Kapitan Alan McLyry oddał im ponad osiemset kilogramów mrożonej wołowiny. Ładunek wcześniej trafił do Ameryki, ale odbiorca zbankrutował i przepadł. Zgodnie z prawem mięso nie mogło wrócić do Auckland.

Pastor wydał dyspensę (Adwentyści Dnia Siódmego nie spożywają wołowiny) i każda rodzina otrzymała trzydzieści cztery kilogramy. Jedli przez tydzień, a resztę posypali solą i ukryli w dołach na cięższe czasy.

W dniu szabatu Carl bił w dzwon jeden raz, w godzinę nabożeństwa. Mieszkańcy wyspy gromadzili się w kościele przy Drodze Głównej i śpiewali psalmy dziękczynne. Debrah prosiła o wstawiennictwo za siedemnastoletnią córkę, która uciekła z Pitcairn i została uliczną prostytutką w Auckland.

Po południu odbywały się przyjęcia, na które schodziła niemal cała wyspa. Dorośli pili herbatę na werandzie, a dzieci szły do sypialni posłuchać gitary Richiego. Grał *She'll Be Coming' Round the Mountain When She Comes*.

Słuchały w milczeniu i bezruchu. Taniec był zakazany na Pitcairn, odkąd kilkoro wyspiarzy uczestniczyło w orgii seksualnej na Tahiti. Najstarsza mieszkanka mówi, że tam też zaczęło się od tańca i że z tej bezwstydnej podróży wróciły znajome ciała, ale już inne dusze.

Nad bezpieczeństwem czuwał jedyny policjant na wyspie, Vernon Padgett. Wieczorami zaglądał do okien i sprawdzał, czy mężczyźni wrócili do domów. Miało to sprzyjać życiu rodzinnemu. Czasem na pryczę do lokalnego komisariatu trafiali co butniejsi mężowie, by ostudzić krew po małżeńskiej awanturze. Pitcairneńczycy utrzymują jednak, że od czasów Julii i Eldona Carterów areszt jest pusty.

W 1936 roku małżonkowie Carter próbowali zabić się nawzajem. Julia wsypała proszek czyszczący podłogi do herbaty męża. Pomyślała: „To go zabije, nikt się nie dowie", bo na wyspie nie było wtedy jeszcze lekarza. El-

don jednak szybko zwrócił truciznę przez okno, a przed sądem zeznał, że nigdy nie czuł się lepiej. Zaprzeczył też, jakoby strzelał do żony z kolta. Po kuchni krzątała się kura, a on miał apetyt na rosół.

Jedyne morderstwo, jak twierdzą wyspiarze, miało miejsce w 1895 roku. Harry Nelson udusił żonę i córkę. Jedni mówią, że był zazdrosny o młodszego adoratora żony, inni, że chciał się ponownie ożenić.

Potem, już z dumą, dodawali kolejne lata bez przestępstw. Wyspa stała się wizytówką Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego, a po świecie rozeszła się broszura, w której można było przeczytać, że potomkowie buntowników z Bounty odrzucili grzech i żyją w szczęściu na w pełni zadwentyzowanej wyspie. Została wydrukowana w kilkudziesięciu językach.

Chłopcy dorastali, czuli się coraz ważniejsi. Komuna obdarzała ich większą odpowiedzialnością: budowali łodzie i wypływali na połowy. Starsi wyspiarze mieli co jeść. Chłopcy stawiali domy, budowali drogi, odstraszali amerykańskich wielorybników, którzy zawijali na wyspę i dręczyli pitcairneńskie kobiety. Z czasem żadna decyzja, ważna czy błaha, nie mogła zapaść bez udziału Chłopców. A najważniejszy był Buck.

– Odkąd pamiętam, był mózgiem wyspy. Silny, bystry, otwarty. Podpytywał marynarzy o nowinki techniczne. To on sprowadził pierwszy samochód, jeden z dwóch na wyspie. Po co? Dla prestiżu. No bo gdzie nim pojedzie? – pyta Wyspiarz i co chwilę spogląda w okno, czy ktoś aby nie nadjeżdża. – Od rana chodził poirytowany, opryskliwy. Dopiero kilka sprzeczek, wydanie żonie rozkazów przywracały mu dobry humor. Młodo się ożenił. Pennie nauczyła się być w ciągłej gotowości, na pstryknięcie palców. Ona prawie nie mówi, garbi się, jakby próbowała uniknąć uderzenia. Gdyby Buck potrafił czytać nasze myśli, zabiłby nas pierwszy. Rzecz w tym, że Buck jest nam potrzebny.

Pewna bogobojna kobieta odchowała trzy córki, ale wciąż modliła się o syna. Kiedy okazało się, że urodzi w końcu chłopca, radości nie było końca. Chłopak wart więcej niż trzy dziewczyny, mówiły kuzynki, lecz kiedy serce płodu przestało bić, nie wiedziały, co robić. Kobieta dostała wysokiej gorączki i straciła przytomność.

Uratował ją właśnie Buck. W porę usunął dziecko. Miał chłodny umysł i ręce chirurga. Nacinał precyzyjnie, instruowany przez profesora z Kalifornii, z którym nawiązał połączenie przez telefon satelitarny. Na wyspie nie

było lekarza, a Buck miał tylko sześciotygodniowy kurs protetyka dentystycznego, który odbył w Nowej Zelandii. I licencję na koparkę.

– Pomyśleliśmy, że to szczęście, że jak będzie koparka, to więcej pobudujemy. Ale stało się inaczej. Buck poczuł się niezastąpiony i nie zajmował się już tylko koparką. – Wyspiarz wzrusza ramionami.

Raz, w furii, miał przejechać po działce jednego z Pitcairneńczyków i grozić, że zrówna jego dom z ziemią. Używał koparki jak czołgu na wojnie.

– Kto prowadzi, ten rządzi – mówił.

Wyspiarka:

– Buck studiował filmy z brutalnymi bijatykami. Powiedzieć, że lubił i oglądał, to mało. Cofał taśmę do scen, na których co wrażliwsi zamykają oczy. Nie do tych, kiedy gruchoczą kości. Do tych, kiedy drżysz na samą myśl, że mogłyby gruchotać. Kiedyś podszedł do wyspiarza, którego nienawidził. Stali nad przepaścią, metr od siebie. Spojrzał mu w oczy i sięgnął po kamień, bazalt wielkości dojrzałej pomarańczy. Nie spuszczał mężczyzny z oczu. Milczał. Po chwili rzucił kamień w przepaść. I odkuśtykał.

Był jeszcze dzieckiem, kiedy spadł z rusztowania i zmiażdżył sobie część kości udowej. Już po złożeniu kolana okazało się, że noga jest krótsza o pięć centymetrów. Każdy mógł przed nim uciec, a jak przychodziło co do czego, stali sparaliżowani i czekali na jego ruch.

Braydena też się bali. Ale inaczej. Brayden nie miał w sobie tyle finezji, a łapami mógł wyrywać drzewa.

– Był tępy i wiedział o tym. Ale mięśniami służył wspólnocie – opowiada Wyspiarz.

Raz wyglądało to tak: przypłynął statek, marynarze chcieli zbyt dużo za towary, Brayden wpadł w szał. Chwycił za karki dwóch z nich i uderzał głową o głowę, aż zeszli z ceny. Ślina mu płynęła z ust, krzyczał: „Nam się należy!”.

Podobno bił tak, że dostał gorączki.

– To brutal i despota, ale służył nam jak rottweiler. Puszczaliśmy go na negocjacje ze statkami. Potrafił się targować. Mieliśmy u niego dług wdzięczności – wyjaśnia kto inny.

Na Pitcairn każda relacja międzyludzka opiera się na długu wdzięczności. Wyspiarze pilnują wprawdzie, by nie stawać się dłużnikami, ale prędzej czy później każdy każdemu jest coś winien. Przysługa jest walutą cenniej-

szą od dolara, dlatego nienawidzący ciebie kuzyn skoczy do oceanu, żeby cię ratować. Wie, że kiedyś odbierze swój dług.

Kto oddał więcej przysług, ten stoi wyżej we wspólnotowej hierarchii. Kto zaciągał długi u wszystkich, ten nikomu nie może odmówić.

* * *

Był sztorm. Fale wysokie na pięć pięter. Jedna porwała Zeldę do oceanu. Na jej ratunek rzucili się Buck, Brayden, Garwood i Bourne. Skoczyli na niemal pewną śmierć, ale uratowali ją.

– Kochani Chłopcy – mówiła ponoć ocalona kobieta. O tym, jak spłacała dług wdzięczności, nie powiedziała.

– Bez nich wyspa by nie przetrwała – uważa Wyspiarka. – Jeszcze w latach pięćdziesiątych taczki były jedynym sposobem transportowania surowców. Zebranie drewna na opał zajmowało cały dzień. Kobiety odmalowywały budynki, tworzyły grupy oczyszczające drogi, pracowały w ogrodach, ale to Chłopcy dawali szansę na przetrwanie wyspy. Pozwalaliśmy im na wiele. Darzyliśmy ich szacunkiem.

– A nie chciałaś żyć inaczej? Gdzie indziej?

– Ale tu jest mój dom.

* * *

Noc nie była sprzyjającą porą na gwałt. Nocą kradnie się ropę, truje drzewa sąsiadów, kiedy nie można już na nich patrzeć. Gwałt był częścią dnia. Jak jedzenie. Byłeś głodny, zrywałeś mandarynkę. Naturalna czynność.

– Najgroźniejsze okazywały się przestoje w pracy. Mogły trwać dzień albo miesiąc. Zajęć brakowało, trzeba było czymś zabić czas. Najgorsze krzywdy zadawali z nudy – mówi Veronika jakby mimochodem; jednocześnie zmywa lakier z paznokci. – Najbardziej to się bałam za dnia. Jak szłam nazbierać cytryn, to zawsze patrzyłam, czy za mną nie idą. I tak mi zostało. Lęki dopadają mnie w dzień. Wieczorem już rzadziej. Dlatego ze wszystkich pór dnia najbardziej lubię wieczory.

* * *

Tamtego dnia poszła na łąkę. Zrywała kwiaty, układała bukiety. Dwa zdążyła. Trzeciego nie. Podjechał na motorze. Trzeci upuściła.

Zapamiętała chybotanie. Bo człowiek, który się broni, sztywnieje, napina się. Człowiek naprawdę bezradny rozluźnia mięśnie.

– On ciągle, że kocha i kocha. Głaskał, a potem do omdlenia. Modliłam się, żeby się odkochał. Jego kuzyn był nieśmiały, nawet się nie bałam. Żal mi go było. Miał pryszcze i taki ciężki oddech. Jak karykatura oddechu. Ale nie śmiałam się, na wszelki wypadek. Był jeszcze ich wuj. Twarz porowata, zarosła, śmierdział cebulą. Żył w przeświadczeniu, że jego sperma to manna. Zły człowiek.

– Zły?

– Myłam się po nim do krwi, zdrapywałam strupy. Inne też zdrapywały.

* * *

Pierwsza.

Oganiała się od pszczół. Podjechał na motorze. Chodź, tam na wzgórzu są mandarynki. Wsiadła. Zatrzymali się przed drewnianą chatą. Ufność ją opuściła. Miał żywe, penetrujące spojrzenie. Tylko nie mów nikomu. Bo powtórzę.

Potem stała, nie pamięta jak długo. Dłonie zdrętwiałe, ciało obrzękłe.

Napisał jej liścik miłosny. Zgiął wpół. Zachrobotał klamką. Zostawił obok poduszki. Udawała, że śpi. Było to u niej w sypialni. Było to w noc po przejażdżce. Miał dwadzieścia siedem lat. Ona – trzynaście.

Odtąd noce mijały jej w półśnie.

Druga.

Kroiła pomarańcze w soczyste talary – przychodził. Spała – przychodził. Siedziała w domu, z ojcem i matką – też przyszedł. Ojciec poradził matce: „Zatkaj uszy watą”.

Następnego dnia ojciec poszedł na ryby z napastnikiem. Minął rok i ojciec zaczepił jego córkę, swoją bratanicę.

Trzecia.

Milczała albo krzyczała. Nie ufała mowie. Powtarzała tyle razy: „Zostaw!”. Więc zaczęła milczeć, kiedy brali, kiedy i krzyk jej nie ochronił.

Raz zdradził ją szelest w polu kukurydzy. Innym razem wiatr zawiał prześcieradłem, które schło w ogrodzie.

Złowiona, powiedział.

Czwarta.

Mówili o niej: gościnna, bezwolna, ale jej wola gasła stopniowo. Oni ją gasili. Od małego czerwieniła się do mężczyzn, ale kiedy ją rozbierali, to bladła. Jak jabłko.

Raz dopadli ją sto kroków od domu. Tarmosili po piasku. Ziemia była mokra po deszczu. Potem brali, jeden za drugim, wśród przekleństw.

Zapamiętała ich buty. Słone od bryzy. Umazane smarem. Cuchnęły.

Piąta.

Bała się dziadka. Dziadek lubił zjeść i zapić. Potem wracał do domu jak krab. Mówili: „Jadł mięso, zapładniał mięso”. Ona jeszcze nie wiedziała. Miała dwanaście lat, kiedy pierwszy raz jej dotknął. Potem już nie znał opamiętania.

O czym mogła myśleć? Dlaczego dziadek? Czy zostawi za pięć minut? Czy można poronić raz, czy więcej? A on?

Pomyślała: „Może dałby się bawić, gdyby nie ta zadarta spódnica”.

Szósta.

Nogi omdlałe, brzuch napięty. Postanowiła zamknąć oczy. Będzie delikatny albo nie. Znalazła się w parterze. Brzuchem do ziemi. Spoglądała w jeden punkt. Między palmami błyszczał Pacyfik.

Siódma.

Siedziała pod drzewem, w sadzie. Jadła mandarynkę, nagle przestała wypluwać pestki. On znajdował przyjemność w biciu: „Teraz to ci zrobię gwałt”.

Leżeli po wszystkim na ciepłej ziemi, a drzewa układały się w kotarę. Ktoś pomyśli: miłosna schadzka, szczęśliwa chwila; śmiała się z bezradności.

Znowu pierwsza.

Widziała kątem oka, jak ten drugi gapił się na nią, na nich w tym piachu. Podniósł rękę, otworzył gębę, mina tępa, milczał, myślał, czy przeszkodzić. Powiedział: „Braciszku, odpocznij. Znów mogę”.

Następne.

Roześmiane, spocone, miały ochotę na mango. Poszły nie tą ścieżką. Siostra uciekła. Ją wzięli w dwa ognie. Minuty jak ciężkie kamienie, wiatr piachem wstrząsał. Zapamiętała słowa radiooperatora dobiegające z oddali: „Czołem, przyjaciele. Mamy dziś piękny dzień”.

* * *

Veronika przez wiele lat nie powiedziała siostrze, tak jak siostra nie powiedziała jej. Gęby, spojrzenia, oddechy Chłopców są wciąż żywe.

Chłopcy ponoć po każdym złym czynie stawali się bardziej samotni. Samotność miała pchać ich do złych czynów. Wyspiarz uważa, że tymi czynami chcieli uspokoić ciała. Ale ciała uspokoić nie sposób.

Ludzie milczeli, ale ziemia mówiła: kokardą na trawie, koralikami rozsypanymi na drodze. Po latach Veronika powie, że te koraliki to myśli i że już nigdy nie zebrała ich w całość.

Ktoś znalazł zerwany łańcuszek z medalionem Erin: „Jezu, ufam Tobie”.

Dziewczęta nie miały odwagi starej wyspiarki (choć nie wiem, czy jej historia jest prawdziwa): była tkaczką i praczką, poza tym wróżyła. Mężowi nie chciała. Wujowi – co innego:

– Przez babę kutasa stracisz – powróżyła.

– Bujasz – odparł i rozpiął rozporek.

To odgryzła. (I pożałowała).

* * *

Veronika chce mówić. Mocno zaciska powieki, odwraca wzrok. Potem podnosi brwi, słowa wypowiada ostrożnie, nadaje im wagę. To są najprostsze słowa, jakby wypowiadało je dziecko:

– Ja tego nie chciałam. – Patrzy na mnie w ten zabijający sposób, wzrokiem sądzonego. Sprawdza, czy zrozumiem.

Były kłębki włosów na podłodze, płacz przy otwartym kranie, usta zasłonięte łyżeczką do herbaty. Teraz słowa wyrywają się z niej jak kaszel. Mówi, jakby śpiewała. Tony wysokie, zdania się rozciągają:

– To było już po ucieczce, kierownik wziął mnie na bok, mówi: „Pani to się musiała nacierpieć, pani ma taką smutną twarz”.

– Wody?

– Uciekałam w pracę, brałam najgorsze zmiany, nadgodziny; jak się któraś pochorowała i szukali zastępstwa, wszystkie spuszczały wzrok, a ja od razu ręka do góry. Idioci, gdyby tylko pomyśleli, praca trzymała mnie przy życiu, przy pracy nie myślałam, nie musiałam mówić. Najlepiej mi wychodzi milczenie, ale życie nie znosi pustki, im dłużej milczę, tym jest mnie mniej. Czasem nie wiem, co się dzieje, nie wiem, co jest tu i teraz. Miewam natarczywe przebłyski pamięci, tak boleśnie realne, odrywają mnie od życia. Z wielkim wysiłkiem wysiadam z autobusu, a jak już wsiadam, to nie chcę wychodzić. Pracę lubię, praca przy taśmie, powtarzalne czynności, pozwala nie myśleć. Tylko raz w miesiącu trzeba usiąść do papierów, uzupełnić tabelki. Wymaga to godziny skupienia, ale zdarza się, że nie stać mnie na to. Dlatego nie mogę gubić rytmu, muszę wstać i powtarzać: „Dziś będzie piękny dzień, dziś będzie naprawdę piękny dzień”.

5

Tamtego poranka większość mieszkańców pochowała się po domach. Można by nazrywać mandarynek z cudzych drzew i uszłoby to uwagi wszystkich. Nikt nie poszedł do sadu, Dufne też nie zamierzał pracować. Kiedy ogarniał go niepokój, kartkował słownik w poszukiwaniu nowych słów. Tym razem zainteresowały go dwa hasła: „sprawiedliwość” i „odkupienie”.

Dumał jeszcze przez chwilę nad ich znaczeniem, a może układał już treść maila do córki.

Napisał: „A tak cię kochałem, dziwko”.

Inni też nie podnosili wzroku znad stołów. Oczy mętne, na wpół ukryte pod powiekami. Wyglądało to jak szykowanie alibi: byle nie widzieć, nie słyszeć, nie wymieniać uwag. Jedyne życie koncentrowało się wokół placu Głównego, którego strzegli uzbrojeni policjanci. Z czół skapywał pot, obie ręce zajęte, nie było jak się obetrzeć. Nieopodal dziennikarze – chodzili wokoło, wypatrywali.

Był czwartek 30 września 2004 roku. Dzień Chłopaka. Na ławie oskarżonych usiadło siedmiu mężczyzn – Buck, jego dwaj synowie Harvey i Sigga, a także dalsza rodzina – Nico, Brayden, Bourne i Atkins.

Na potrzeby procesu przystosowano drewniany budynek, w którym dotąd odbywały się sesje Rady Wyspy. Na podwyższeniu stał olbrzymich rozmiarów stół sędziowski, za nim, na ścianie – godło Pitcairn i flaga Union Jack. Budynek miał dwoje drzwi: jednymi wchodzili sędzia i oskarżyciel publiczny, drugimi mieszkańcy. To ważne, by nie wchodzić tymi drzwiami co okupanci, szeptali wyspiarze.

Oskarżyciel publiczny Simon Moore, odkąd pojawił się na sali, nie odrywał wzroku od okna, jakby chciał uciec i zapomnieć. Miał wprawdzie wieloletnie doświadczenie, ale odchorowywał przesłuchania wstępne. Mężczyźni obrzucali go obojętnymi i zuchwałymi spojrzeniami. Na salę rozpraw wchodzili pewnym krokiem, w niebieskich T-shirtach z wyszytym

białą nicią napisem „Bounty”. Mówili: „Proces to farsa, brytyjski spisek, zamach na suwerenność”.

Pitcairneńczycy dostali obrońcę z urzędu. Został nim Paul Dacre. To on najprawdopodobniej namówił Garwooda do złożenia zeznań i okazania skruchy. Podobno było tak:

– Ty dokonasz wyboru, Garwood. Możesz kiblować tu albo w Anglii. Wiesz, co się dzieje z amatorami dziecięcych spódniczek w Anglii?

– Powinieneś go posłuchać, Garwood. On chce uratować ci życie.

– Garwoodzie Watkinsie, czy przyznajesz się do molestowania seksualnego dwunastoletniej Erin w 1972 roku i ponownego jej molestowania, kiedy skończyła czternaście lat?

– Przyznaję się i wyrażam głęboki żal, Wysoki Sądzie.

Rodziny oskarżonych przeklęły Garwooda – już nigdy nie będzie jednym z Chłopców.

Detektyw Rob Vinson z policji w Kent udzielił wywiadu dla jednej z nowozelandzkich gazet: „Postawa Garwooda daje nadzieję na zmianę strategii pozostałych mężczyzn”.

Oskarżyciel publiczny stanął przed kamerą nowozelandzkiej telewizji: „Dobrze, że oszczędził pokrzywdzoną. Składanie zeznań byłoby dla niej traumą”.

Pozostali nie przyznali się do winy.

Kobiety zeznawały długo, godzinami. Zostały nagrane na kamerę, bo w chwili procesu przebywały już w Nowej Zelandii. Jeden z obserwatorów nie mógł przełykać śliny.

Przeciw Buckowi powiedziały:

„Traktował nas jak swój harem. Mówił: »Należysz do mnie«.

Miałam dwanaście lat.

Najpierw dopadł mnie w dżungli, innym razem zawlókł do łodzi zacumowanej w zatoce Bounty. Nie powiedziałam nikomu. To by nic nie zmieniło. Do mojej kuzynki też przyszedł.

Tej nocy, której urodził się jego syn”.

Przeciw Bourne’owi:

„Miałam tylko trzynaście lat”.

Przeciw Braydenowi:

„Miałam dwanaście lat. Podjechał na motorze, prosił o pomoc przy rąbaniu drewna. Krzyczał: »Nie płacz, bo wsadzę ci go do środka!«.

O wszystkim powiedziałam matce. Ona jest Nowozelandką, ma większą wrażliwość. Zgłosiła gwałt na posiedzeniu Rady Wyspy. Burmistrz milczał.

Kilka dni później usiadłam na schodach przy budynku misyjnym, gdzie odbywała się zabawa. Brayden podszedł i spierdział mi się w twarz. Ludzie się śmiali”.

Przeciw Harveyowi:

„Nie potrafiłam mu uciec.

Spotykaliśmy się w szkole, nasze rodziny wyprawiały wspólne przyjęcia. W jednym pokoju oni, w drugim ja i Harvey. Gwałcił mnie, kiedy za ścianą rozmawiali o udanym połowie.

Później dopadł mnie ze swoim bratem Siggą”.

Przeciw Sigdzie:

„Był najmłodszy. Z początku tylko przytrzymywał za ręce, ale tak, że puchły. Patrzył, jak inni gwałcili. Potem zaczął ich naśladować”.

Przeciw Atkinsowi:

„To było na obrzeżach Adamstown. Nikt inny nie szedł drogą”.

Przeciw Nico:

„Pierwszego gwałtu prawie nie pamiętam. Byłam zbyt młoda. Pamiętam drugi. Miałam dziesięć lat. Czekał na mnie przed latryną. Nie chciałam wyjść. Modliłam się, żeby tylko poszedł.

Zaczekał”.

6 października bronił się Buck. Skromna, schorowana kobieta usiadła za krzesłem, gdzie sądzono jej syna. A Buck mówił bez pośpiechu:

– Oskarżenia są fałszywe. Być może uprawiałem seks z dziewczynami poniżej szesnastego roku życia, ale nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy i w jakich okolicznościach. Nigdy nie zmuszałem dziewczynek do odbycia stosunku.

Po przesłuchaniu matka Bucka zapytała obrońcę:

– Czy mógłby pan naszych Chłopców z tego wyciągnąć?

Kilka dni wcześniej obciążające zeznania złożyła jej siostrzenica.

Następnego dnia sąd wysłuchał nagrania kobiety, która świadczyła przeciw Toddowi: „To było po lekcjach. Miałam dwanaście lat. Kąpałam się w zatoce Bounty. Wtedy pojawił się Todd. Był napalony, próbował mnie dogonić. Na szczęście miałam płetwy”.

– To kłamstwo! – krzyknął Todd.

Potem odsłuchano kolejne nagranie. Z zeznaniem przeciw Nico: „Na placu Głównym podano świąteczny obiad, przyszli wszyscy mieszkańcy. Potem bawiliśmy się w berka. Nico mnie dogonił. Miałam dziesięć lat”.

– Mój klient przyznał się do powyższego zarzutu. Złożył stosowne zeznanie – odpowiedział Paul Dacre w imieniu Nico. – Zaprzecza natomiast, jakoby wielokrotnie molestował inne wyspiarki. Nieprawdą jest też, że zgwałcił siedmioletnią dziewczynkę.

Atmosfera wokół procesu gęstniała. Obawiano się linczu na Judaszach, bo wspierali ofiary gwałtów. Gubernator wyspy wydał nakaz skonfiskowania trzydziestu jeden strzelb. Dotąd Pitcairneńczycy strzelali z nich do kaczek. 8 października jedna z dziewcząt wycofała oskarżenie:

„Chciałam tego. Sześć lat chodziliśmy na schadzki. Bourne miał żonę, musieliśmy się ukrywać”.

– Kochałem ją – wyznał przed sądem Bourne. – Przyznaję, że odbywaliśmy stosunki. Pierwszy raz w zaroślach, za sklepem. Potem nad zatoką, po kąpieli. Miałem trzydzieści lat, a ona trzynaście. Powiedziała, że to lubi, że chce więcej. Nie mogliśmy spotykać się częściej niż raz w miesiącu. Nie widziałem w tym nic zdrożnego. To był na Pitcairn chleb powszedni. Wychowaliśmy się w przekonaniu, że seks z młodymi jest czymś zupełnie normalnym. Powtarzaliśmy zachowania naszych ojców. Czy żałuję? Oczywiście, że teraz żałuję. Czasy się zmieniły, nie powtórzyłbym tego.

Pozostałe powódki podtrzymały zeznania. Pięcioletnia dziewczynka miała być zmuszona przez Bourne’a do seksu oralnego. Inną molestował w pustym kościele. Bourne został oskarżony o dziesięć gwałtów.

– To wszystko nieprawda – powiedział.

Jedna z kobiet przeczytała maila od ojca: „Jeśli zeznasz przeciw mnie, społeczność i ojciec nigdy ci tego nie wybaczą”.

Rodziny oskarżonych groziły: kara spotka każdego, kto złamie ciszę.

12 października sąd odsłuchał nagrania kobiety świadczącej przeciw Buckowi: „Wszedł do mojego domu. Chciał seksu. Odmówiłam, krzyczałam. Wyszedł. W tym czasie rodził się jego syn”.

– To brednia. Nie byłem u niej – irytował się Buck.

Na świadka powołano kobietę, która odbierała poród:

– Rzeczywiście, Buck opuścił na jakiś czas pokój, w którym rodziła jego żona, ale poszedł do toalety. Nigdy nie zrobiłby czegoś równie ohydnego.

Następne zeznania obciążały Nico:

„Gwałcił mnie, jak chciał. Nie mogłam nic zrobić. Mówił: »Po prostu leż, to szybciej pójdę«. Nie powiedziałam nikomu. Matka i ojciec bili mnie za byle co. Bałam się, że i za to pobiją. Matka mówiła, że Chłopcy mają do mnie prawo. Dorastałam w bólu i bezsilności. Nie ufałam nikomu, ciotkom, nauczycielowi z Nowej Zelandii, nikomu. W końcu wyjechałam. Wyszłam za mąż. Przez dwadzieścia lat, aż do dziś, milczałam”.

Ojciec jednej z dziewczynek:

– Nico miał trzydzieści lat, a ja trzynastoletnią córkę. Była noc. Próbował dostać się do jej sypialni przez okno. Wspiął się na drabinę, ale zepchnęła go do krzaków.

Nico:

– Kłamstwo!

21 października zajęto się sprawą syna Bucka Nelsona:

– Harveyu Nelsonie, czy przyznaje się pan do pięciu gwałtów i siedmiu zachowań nieobyczajnych na czterech kobietach w latach 1988–1999? – spytał sędzia.

– Przyznaję, że uprawiałem seks z kuzynką. Miała jedenaście albo dwanaście lat. Nie przyznaję się do pozostałych zarzucanych mi czynów.

Głos zabrał obrońca Harveya Allan Roberts:

– Trzeba pamiętać, Wysoki Sądzie, że związki mężczyzn z dużo młodszymi kobietami były społeczną normą. Powódka, która skarży mojego klienta o gwałt i która pierwsza powiadomiła organa ścigania o domniemanych przestępstwach na Pitcairn, pisała do Harveya Nelsona listy miłosne. Także po tym, jak opuścił wyspę. To zimna i okrutna kłamczyni, powie wszystko, byle tylko zwrócić na siebie uwagę. Widzę w niej kobietę wzgardzoną, szukającą zemsty.

– To niedorzeczne, Wysoki Sądzie – zareagował oskarżyciel publiczny Simon Moore. – Harvey jest starszy od powódki o dziesięć lat. Wykorzysty-

wał naiwność dziewczynki. Schlebiał jej, grał emocjami, doprowadził do sytuacji, w której jadła mu z ręki. Kiedy próbowała się bronić, wykorzystywał siłę fizyczną. Pamiętajmy też, że Harvey Nelson spotykał się w tym czasie z dwiema innymi kobietami. Jedną z nich była deratyzatorka sprowadzona na wyspę, by wytępić szczury. Skoro potrafił uwieść dojrzałą kobietę, to tym bardziej jedenastoletnie dziecko.

Veronika obserwowała procesy. Mówi, że rozumie, dlaczego niektóre kobiety wycofały zeznania:

– Kiedy czułam się zagrożona, nie docierały do mnie informacje z zewnątrz. Żyłam w przekonaniu, że od niego zależę. Mówił, że nikt mi nie pomoże. Z czasem zaczęłam widzieć jego dobre cechy: mógł być bardziej brutalny, a nie był. Mógł pobić, a tylko wykorzystał. Zapominałam, że to wszystko przez niego. Zwłaszcza, kiedy był miły, kiedy pomagał dźwigać drewno albo naprawił rower. Byłam zachwycona, kiedy okazywał ludzkie oblicze. Można powiedzieć, że zrodziła się między nami więź. W pierwszej chwili, gdy sprawą zajęli się Brytyjczycy, chciałam go bronić. Policjanci i prokuratorzy byli agresorami, okupantami. Tak to wtedy widziałam. Chcieli coś zmienić, a ja już zdążyłam się oswoić. Czułam się rozbita. Przez lata nie potrafiłam odpowiedzieć sobie na pytanie, kim ja tak naprawdę jestem.

24 października jeden z oskarżonych chwycił żonę za rękę.

– Będziesz ze mną, kiedy mnie aresztują?

Tego dnia odbyły się mowy końcowe. Pierwszy przemawiał oskarżyciel publiczny Simon Moore:

– Niektóre kobiety już dziś wyrażają chęć powrotu na Pitcairn. Chcą mieć jednak pewność, że będą mogły żyć bezpiecznie i że sprawiedliwości stanie się zadość.

Obrońca Christopher Harder:

– Wysoki Sądzie, proszę o wyrozumiałość w imieniu swoich klientów, a także całej społeczności. Wyroki skazujące najsilniejszych, zdolnych do ciężkiej pracy mężczyzn będą oznaczały śmierć wspólnoty. Wyspa bez nich nie przetrwa. Proponuję, by oskarżeni złożyli publiczne przeprosiny, a pokrzywdzone kobiety otrzymały rekompensatę finansową.

Sąd zapoznał się także z opinią profesora Johna Connella z Uniwersytetu w Sydney: „Uwięzienie mężczyzn byłoby karą dla całej społeczności. Tylko mężczyźni mogą pracować przy rozładunku towarów, tylko oni potrafią ste-

rować łodzią, która łączy wyspę ze statkami, a tym samym ze światem zewnętrznym”.

– Czy system sądowniczy zaprojektowany na potrzeby pięćdziesięciu milionów obywateli Anglii może sprawdzić się na wyspie liczącej pięćdziesięcioro ludzi? – spytał obrońca Paul Dacre.

Sąd czuł presję społeczności. Zbyt surowy wyrok – i mogą polecieć kamienie. Za podobne przestępstwa w Anglii sędziowie orzekają dwanaście lat. Więźniowie czasem nie dożywają końca kary. Jeden z oskarżonych wpadł w panikę, gdy dowiedział się, jak w brytyjskich celach traktowani są pedofile. Na Pitcairn nie było więzienia.

Przed ogłoszeniem wyroków Garwood wysłał maila do swojej ofiary: „Wyrażam głęboki żal”.

Bourne wygłosił oświadczenie:

– Żałuję wszystkiego, co przyczyniło się do waszego cierpienia.

Jego ojciec Atkins odmówił przeprosin.

– Wysoki Sądzie, Atkins Wood umrze, jeśli jego stopy nie będą moczyły się w słonej wodzie – bronił go Dacre. Poprosił o pozostawienie podejrzanych na wolności, przynajmniej do czasu uprawomocnienia wyroku i wybudowania więzienia.

Bucka zaczepiło kilkoro dziennikarzy. Oślepiony jaskrawym słońcem, wykrzywił się do zdjęcia.

– Czy spodziewa się pan wyroku skazującego? – zapytała reporterka.

– Tu jest Pitcairn, tu nie sięga angielskie prawo.

Jego głos podzielała większość wyspiarzy. Mówili: „Sami będziemy sądzić, uszanujcie naszą wolność”.

* * *

Był piątek 29 października, dzień ogłoszenia wyroków. Procesja milczących ludzi kierowała się w stronę placu Głównego.

– Jedni milczeli w strachu – opowiada Wyspiarz.

Inni, milcząc, ukrywali podobno nadzieję, że winnych spotka kara. Kalkulowali, satysfakcję trzeba było ukryć. Przecież Chłopcy kiedyś wyjdą z więzienia. A tu trzeba budować domy, łowić ryby, współpracować. Wszyscy widzieli, jaki los spotkał Judaszy. Ta kobieta o zmęczonej twarzy i sklejonych powiekach na zdjęciu to Judy. Po tym, jak złożyła zeznania, ojciec

wygnał ją z domu. Dziadek nazwał dziwką. W sądzie błagała ojca o przebaczenie, prosiła o drugą szansę. Nikt nie wie, gdzie jest Judy.

Niektórzy Pitcairneńczycy rozważali: A jeśli w nas zobaczą Judaszy? Tu mamy wszystko – dom, rodziny. Nic więcej nie posiadamy. Jeśli każą nam opuścić wyspę pierwszym statkiem, dokąd pójdziemy? Lepiej siedzieć cicho, czekać, aż Brytyjczyk wymierzy sprawiedliwość.

Sąd skazał sześciu mężczyzn. Zostali uznani za winnych trzydziestu pięciu z pięćdziesięciu pięciu zarzucanych im czynów. Jednocześnie oczyścił byłego burmistrza Todda Watkinsa:

– Tylko raz w sposób nieobyczajny dotykał jednej z dziewczynek. Oskarżenie nie przedstawiło jednak wystarczających dowodów i sąd uznaje go za niewinnego.

Buck:

Winny pięciu gwałtów na nieletnich i czterech zachowań nieobyczajnych w latach 1964–1975. Nie udowodniono mu jednej napaści. Nie przyznał się do zarzucanych mu czynów. Skazany na trzy lata więzienia.

Harvey:

Winny czterech gwałtów na nieletnich i pięciu zachowań nieobyczajnych w latach 1988–1999. Został oczyszczony z jednego zarzutu. Nie przyznał się do stawianych mu zarzutów. Skazany na sześć lat więzienia.

Atkins:

Winny dwóch gwałtów. Nie przyznał się. Skazany na dwa lata więzienia. Ze względu na wiek (miał siedemdziesiąt osiem lat) karę zamieniono na areszt domowy.

Bourne:

Winny dziewięciu zachowań nieobyczajnych, przyznał się do dwóch. Oczyszczony z czterech kolejnych. Skazany na czterysta godzin robót publicznych i terapię psychiatryczną.

Garwood:

Winny dwóch zachowań nieobyczajnych, do których się przyznał. Wyznał skruchę. Skazany na trzysta godzin robót publicznych i terapię psy-

chiatryczną.

Nico:

Winny wielokrotnych gwałtów na jednej pokrzywdzonej i siedmiu zachowań nieobyczajnych. Nie przyznał się do winy. Podczas ogłoszenia wyroku uderzył dziennikarkę Kathy Marks, gdy próbowała go sfotografować. Skazany na pięć lat więzienia.

Sigga:

Winny trzech gwałtów. Skazany na trzy lata i sześć miesięcy pozbawienia wolności. Dzień przed wyrokiem ożenił się z Audrey. Ślubu udzielił im obrońca Siggi Adrian Cook.

Kiedy zakuwali go w kajdany, krzyknął do Audrey: „Kocham cię!”. Publiczność na sali rozpraw płakała.

Brayden:

Proces Braydena przedłużył się do stycznia 2009 roku. Sąd uznał go za winnego gwałtów na sześciu nieletnich. Skazany na sześć lat i sześć miesięcy więzienia.

Żona Braydena krzyknęła do sędziego: „Spłoń w piekle!”.

6

Z dokumentów śledczych i z relacji Wyspiarza (imię i wiek kobiety zostały zmienione):

Miała trzydzieści lat, a w kieszeni pigułki na wieczny odpoczynek.

– Czy kiedykolwiek została pani pocałowana w usta, Erin? – zapytał śledczy.

Milczała. Bo od czego zacząć? Jak mówić, żeby zrozumiał? Że w usta całują zniewieścialcy, że bombonierek nie było, a brało ją pół wyspy? Zaufać? Nie ufała nawet matce. „Musisz pozwalać Chłopcom” – usłyszała przy pierwszej miesiączce. Matkę zgwałcili przed menstruacją.

– Erin, czy kiedykolwiek została pani pocałowana w usta? – powtórzył pytanie.

Spoglądała na koktajlową sukienkę, tę wytworną, z darów. Niepogniecioną.

– Zostałam – skłamała.

Pigułki uderzały o fiolkę, a brzęczenie chyba dziwnie ją bawiło. Być może pomyślała: W każdej chwili mogę skończyć. Teraz wszystko zależy ode mnie.

– Wspomniała pani, że zdarzenia z wczesnego dzieciństwa się zatarły. A co wydarzyło się później? W jedenaste urodziny, Erin?

– Siedziałam na pianinie – powiedziała i zamilkła.

Być może zatrzymała ją myśl: Przecież mają dobre serca. Tata, wujek i brat.

* * *

Oprawcę od ofiary, nawet teraz, po latach, można odróżnić po sposobie chodzenia. Oprawcy wloką się ospale, ofiary są zaś jak myszy wpuszczone do labiryntu. Ruchy nerwowe, instynktowne, jakby ktoś mierzył czas. Roz-

mawiam z dojrzałą kobietą, opowiada o Bucku i Nico. Piersi osłania dłońmi, uda przyciska do siebie. Mówi:

– Kochani Chłopcy. Nie zasłużyli na proces.

Kobiety czują się nikim na Pitcairn. Przyznać się do cierpienia to stwierdzić, że dotąd żyło się w kłamstwie. Wyspiarka:

– Kobiecie pozostaje wstyd. Odwraca się od męża, wychodzi do drugiego pokoju, żeby nie widział. Niezręczne ruchy ciała. Na piersiach pojawiają się czerwone plamki.

Mogłaby uciec do Nowej Zelandii, zacząć wszystko od nowa. Ale jakie życie ją czeka? Bez szkoły, bez zawodu. Byłaby niżej niż Maorysi. Tu jest potomkinią Fletchera, przywódcy buntowników z Bounty.

* * *

Veronika pokazuje zabawkę z dzieciństwa. Krótkofalówkę. Druga została na Pitcairn. Nie można się z nią połączyć. Tyle razy pisała listy do ojca. Przerywała na trzecim zdaniu: „I żyję, tato. Gdybyś się zastanawiał”.

– Chciałam go wrzucić do szamba, by utonął w gnoju. Jednocześnie szukałam kontaktu, egoistycznie, żeby udowodnić sobie, że już jestem wolna.

Pamięta grzechot paciorków. Gdy odchodziła z domu. I ostatnie spojrzenie na pokój. Pośrodku stała kanapa. On siedział znudzony jak tygrys w klatce. Milczał. Matka poszła do łazienki. Odkręciła kran najmocniej, jak się dało.

– Nie zachowywała się jak matka. Bardziej jak kelnerka, która podaje jedzenie za pieniądze.

– Jaka była?

– Miała oczy otwarte na szczegóły: czy na przykład wracałam szybszym krokiem niż zwykle. Była wtedy smutna jak kura, której skradziono jajo. Co sobie myślała? Nigdy o tym nie rozmawiałyśmy. Może, że trzeba przeczekać, że się w końcu znudzą. Sama kiedyś była dzieckiem. Być może też wracała spokojnym krokiem albo biegła co tchu zamknąć się w pokoju, opowiedzieć sobie, co się wydarzyło.

– Opowiedzieć sobie?

– Tak. To ważne, żeby wytłumaczyć sobie, że tak naprawdę tego chciałam, że to nic strasznego, że każda przez to przeszła.

– A ty komuś mówiłaś?

– Nie. Za to często włączało się myślenie magiczne. Jeśli tuż po obudzeniu spojrzę w okno, nic złego się nie stanie. Jeśli pierwsza powiem „dzień dobry”, nic się nie stanie. Jeśli potrząsnę gałęzią, a mandarynki spadną parami, nic się nie stanie.

Ojciec czasem pytał: „Jak ci minął dzień?”. Odpowiadałam: „Jak co dzień”. Nic więcej nie mówiłam. Krzyczał, że nie ma ze mną kontaktu, że nikt mnie nigdy nie zrozumie. Pomylisz się, obiecałam sobie.

* * *

Ojcowie mówili przed sądem: „Nasze córki to dziwki, są obłąkane, gwałty to ich urojenie”. Żaden nie pomścił córki.

– Nie potrafię sobie wybaczyć, że uwierzyłam w słowa ojca, że poczułam się dziwką – mówi Veronika. – I że wcześniej nie opuściłam Pitcairn.

Ucieczka nie była jednak niemożliwa. Dziewczęta mogły prosić o pomoc kapitana jakiegoś statku, może by zrozumiał. Ale kobiety wierzyły, że muszą pozostać na wyspie. Powtarzały: „Tu jest mój ojciec, jak on by zniósł rozłąkę? Ucieknę, jeśli uciekną moje kuzynki”.

– Ojcowie odebrali nam prawo do bycia ludźmi – cedzi przez zęby Veronika.

Po gwałtach mężczyźni odwracali wzrok od kobiet. Odganiali je i nie widzieli, jak się zataczają.

* * *

– To było już po procesie – wspomina Wyspiarz. – Na niespokojnym morzu odbywał się rozładunek. Ośmiu mężczyzn na łodzi, niemal każdy miał powód, by zabić: za córkę, za wnuczkę. Pracowali jednak w milczeniu. Nigdy nie stosowali przemocy fizycznej wobec siebie. Zamiast tego, pod osłoną nocy, chodzili do sadu i podtruwali sobie nawzajem drzewa.

Społeczność była rozbita, już nikt nie wierzył w doskonałą komunę. Wyspiarze przestali wspólnie świętować Dzień Bounty. Obcy, Przechrzty i Judasze podpalili łódź w Przystani. Rodziny skazańców zorganizowały własną uroczystość po drugiej stronie wyspy, na Wzgórzu Ted Powiedział. Kilka miesięcy później wypadała rocznica buntu. Większość, która trzymała

stronę Chłopców, przygotowała barbecue na Najwyższym Wzniesieniu. Pozostali spotkali się na placu Głównym.

W lutym 2007 roku zmarł Rob Watkins, ojciec Todda i Zeldy. Rodzina wysłała pastora, by przekazał Judaszom, że na pogrzebie nie są mile widziani. Potem zmarła Aurelia Padgett, matka Braydena i Nico. Mężczyźni wygonili Lu, męża Donny. W obu uroczystościach uczestniczyli skazańcy.

– Inaczej wyobrażaliśmy sobie życie po procesach – opowiada Wyspiarz; wysuszony, kościsty, zmarszczki na środku czoła. Siedzimy na ganku, pijemy piwo. Nazywają go Judaszem. – Rząd sprowadził policjantów z Nowej Zelandii. Mieli nas chronić. Ale nie minęły trzy miesiące, a jeden z nich zaangażował się w pitcairneńską politykę. Mówił, że gwałciciele to kwiat naszej społeczności. Potem policjantka wdała się w romans ze skazanym. Chłopcy triumfowali, wciąż pozostawali na wolności. Zaczęło się polowanie na Judaszy.

* * *

Chodzili zaślepieni nienawiścią. Powiedzieć, żeby szczuli – zaszczują. Żeby kaleczyli – okaleczą. To sześciu z dwunastu dorosłych mężczyzn na wyspie. Silniejsza połowa. Prowadzili politykę dżungli, nie tolerowali sprzeciwu: kto nie jest z nami – biegiem do dżungli; kto się opiera – do dżungli; kto rozmawia z Brytyjczykami – dżungla.

Hank, ten milioner, rozmawiał. I co kilka dni odbierał telefony z pogróżkami: „Zarżniemy cię, konfidencie”.

Przechrzty, Judasze, Chłopcy – wszyscy ładowali strzelby. W każdym domu broń: siekiera, tasak, maczeta. Wyspa to arsenał. Kto uderzy pierwszy? Będzie rzeź? Każdy ruszy na każdego? Każdy będzie atakował i bronił się na miarę sił. Ile to potrwa? Jeden dzień? Godzinę?

– Pozwoliłeś bandytom gwałcić córki. Zrób coś choć raz! – Żona uderzała pięściami w plecy męża.

– Siedź cicho, bo nas wywiozą na jednym kole.

Kilku mężczyzn skamieniało.

Tylko Lu mówił głośno, tak że inni przecierali oczy:

– Zabiłbym, gdyby któryś ruszył moje córki.

– Słyszeliście? Powiedział, że zabije, żołnierzyk! Skończyć z Przechrztą! – postraszyli Chłopcy.

– Nie zatrzymuj się, kiedy nie musisz, nie idź sam do lasu, nie gaś silnika. Dopadną cię jeszcze w ciemnym kącie, ze skały strącą – martwiła się Donna.

Lu zaczął nosić młotek.

– Oni chcą tylko, żebyśmy byli posłuszni. Nie zabiją. Wiedzą, że potrzeba tu rąk do pracy – przekonywał siebie i bliskich Lu.

Ale kiedy w nocy zbudził go hałas zbliżających się motorów, zamarł.

– Albo w Adamstown wybuchł pożar, albo przyjechali zabić.

Serce dygotało jak po biegu.

– Jeszcze jeden wybryk i zdechniesz, Brytolu! – krzyknął któryś z Chłopców, po czym odjechał. „Brytolu” – najgorsze bluźnierstwo, jakie był w stanie wymyślić.

– Modlę się, Panie, byś nas osłaniał. Żyjemy jak owady w deszczu, ukryci i zalęknieni. Nieufni. Jak daleko odeszliśmy od sobotnich rozmów przy herbacie, od śmiechu, wspólnej pracy, modlitwy? – Lu wtulił głowę w pierś Donny. Chciałby zapłakać.

A Chłopcy poszli do Carla.

* * *

Podobno było tak: patrzył głupio, stał głupio, jak garbaty z wyciągniętą ręką. Nogi ugięte, oczy przymrużone, ze strachu przed siekierą.

– Jesteś zdrajcą, Carl! Judaszem! Co mam z tobą zrobić, Judaszu?! – darł się jeden z Chłopców. Masywny, wysoki. Siekiera w jego dłoni jak zapałka.

– Sprzedał nas Brytyjczykom! W drewniane pudło i do piachu! – krzyczeli pozostali.

Carl tylko potrząsał głową. Co miał jeszcze powiedzieć? Ochrypł od wyjaśnień. Że postąpił zgodnie z sumieniem? Poświadczył prawdę? Pitcairn przecież zawsze należała do Wielkiej Brytanii.

– Czy potwierdza pan, panie Nelson, że odkąd pan pamięta, wyspa była objęta jurysdykcją brytyjską? – zapytał oskarżyciel publiczny.

– Tak – odpowiedział Carl.

Za jedno słowo do piachu? Za oczywistość? Chłopcze, ja cię trzymałem na rękach. Uczyłem łowić ryby. Teraz straszysz mnie śmiercią? Bratanku! Carl

bladł, a spojówki schły mu ze strachu.

– Mów, co mam z tobą zrobić, Judaszu! – powtórzył napastnik. Wyglądało na to, że się nie zawaha.

– Zostaw to ścierwo. Już nigdy nie będzie jednym z nas – odciągał go kuzyn. Nie chciał śmierci Carla, błąkał się w nim chyba cień przyzwoitości.

– Do piachu, Judaszu! – wydzierał się napastnik.

Z krzaków wylazł kot z poszarpanym uchem, tak go zapamiętali. Carl, wystarczająco zaszczuty, padł na ziemię, instynktownie, ze strachu. Był już po siedemdziesiątce i chyba dostał zawału.

– Darujcie.

Śmiali się jeszcze przez chwilę, ale dali mu żyć. Była jasna, gwieździsta noc. Powietrze pachniało mandarynkami, ziemia nabrała wilgoci.

– Czy ja jestem jeszcze mężczyzną? Czy ja jestem jeszcze człowiekiem? Nie potrafiłem ochronić córek. Nie zrobiłem nic – szlochał Carl, z twarzą wbitą w podłoże.

Chłopcy nie musieli jeszcze wracać do domów. Tak jak zwykle postrzelaliby do albatrosów, posikaliby do morza kto dalej. Ale nie dziś. Źli do żywego, trzęśli osadą.

Wyspiarz:

– Było duszno, wymachiwali łopatami. Mówili, że wytropią wszystkich zdrajców. Jeden wszedł do domu, zrywał portrety królowej, klął Brytyjczyków. A ja pomyślałem: „Niech jutro przypłynie królowa”.

* * *

Judasz:

– Z początku widziałem w Brytyjczykach nadzieję. Wierzyłem, że zrobią porządek na amen. Tak zresztą mówili, obiecywali nowe życie, bez prześladowań, z prawem do sterowania łodzią, prowadzenia koparki, bo dotychczas monopol mieli Chłopcy. Mogłem się domyślić; przecież oskarżyciel publiczny grał z oskarżonymi w krykieta. Mogłem się domyślić.

* * *

Chłopcy więzienie wybudowali sobie sami.

Wcześniej, kiedy już przeczuwali, że pójdą siedzieć, skopali ziemię pod marchew, rąbali drwa dla matek i żon. Wiązali sznurami, wybierali co grubsze pniaki, żeby starczyły na dłużej. Więzienie postawili w Padole Boba. W drewnie, z siłownią i boiskiem do koszykówki. Najokazalszy budynek na wyspie: pięć sypialni, miękkie materace, aneks kuchenny, pracownia i pokój dzienny. Okna wychodzą na ocean, palmy zapewniają przyjemny chłód.

– Co my bez was poczniemy? – pytała Miriam, matka zgwałconej dziewczynki.

A oni tylko rozbijali kamienie, milczeli. Więzienie Jej Królewskiej Mości kosztowało podobno dwieście tysięcy dolarów nowozelandzkich. Budowę sfinansował rząd brytyjski.

Wyspiarze nazywali więźniów Piątką z Padołu Boba. W czasie odbywania wyroku pilnowało ich siedmioro nowozelandzkich policjantów. Cele otwierali o siódmej, Harvey przygotowywał śniadanie, potem wszyscy zmywali podłogi. Po obchodzie Chłopcy wychodzili na plac albo w głąb wyspy, gdy trzeba było oczyścić drogę z kamieni.

Wieczorami ćwiczyli na siłowni, oglądali filmy na DVD. Brayden wrócił na łono Kościoła, prosił o częste wizyty pastora. Do cel wracali o dwudziestej.

W soboty schodziły się rodziny i urządzano przyjęcia.

– Dzień mijał na rozmowach i żartach, dzieci ganiały między kratami – wspomina Wyspiarz.

Część kosztów utrzymania więzienia ponosili skazani. Strugali modele Bounty, które potem sprzedawano turystom ze statków. Dochód dzielono między rodziny Piątki a brytyjski rząd. Buck protestował i nie strugał, a jego żoną opiekowali się pozostali.

Więźniowie postawili też hangar na łodzie, zbudowali huśtawki przy szkole i schody na skałach prowadzące do Rozlewiska Świętego Pawła i Jaskini Fletchera. Ułożyli też chodnik na Grani Ganneta. Przebywali poza więzieniem od trzech do czterech dni w tygodniu. Czasem zatrzymywali się na pogaduszki przy Drodze Głównej, czasem wypływali na połów.

Właściwie żyli jak wcześniej.

Opuszczali cele na okoliczność ślubów, pogrzebów i dalekich rejsów. Okazji było więcej. Buck wybudował bar dzięki niskooprocentowanej pożyczce rządu brytyjskiego. Bar jest własnością jego żony Pennie. Wychodził zza krat i wypełniał ubytki w zębach nauczycielki Susan Davey.

Tylko on był specem od ładunków wybuchowych. Wyspiarze opowiadają, że to był czas nieustannych wybuchów.

– Buck cały czas rządził wyspą, nieoficjalnie rzecz jasna. Krytykował burmistrza Todda Watkinsa tak, że ten stracił mandat.

Pitcairneńczycy, którzy żyli na wolności, opiekowali się rodzinami więźniów, szczególnie Harveya. Zbierali drewno na opał, łowili ryby, gotowali posiłki. Jane, żona Harveya, przyprowadzała mu do więzienia córeczkę Abigail, ochrzczoną tak na cześć jednego z adwokatów. Po dziewięciu miesiącach odsiadki Buck otrzymał pozwolenie na areszt domowy. Kilka miesięcy później wyszedł jego syn Sigga, a Atkins został zwolniony warunkowo.

Nie minął rok, a do aresztu domowego trafili Nico i Harvey.

Więzienie nazwali hotelem.

* * *

Musiało minąć wiele lat, zanim jedna z kobiet zdecydowała się opowiedzieć śledczym swoją historię. Dała odwagę innym kobietom: siedem oskarżyło Bucka. Sześć – Harveya i Nico. Pięć – Siggę. Najwięcej – osiem – zeznało przeciw Bourne'owi, w tym jedna oskarżyła go o gwałt ze szczególnym okrucieństwem. Większość kobiet milczała. Zdaniem śledczych ujawniono od czterdziestu do sześćdziesięciu procent napaści. Wyspiarz mówi, że to, co świat wie o Pitcairneńczykach, jest zaledwie ułamkiem.

* * *

Słabe były, wrażliwe; siostrzyczki-nierozłączki. Podobno skoczyły, trzymając się za ręce. Angie i Fiona.

Mówią o nich „nasze motyle" – były tak małe i żyły tak krótko. Przed śmiercią fikały kozły, grały w klasy. Ojciec szalał nad trumnami córek. Darł się i podskakiwał.

Angie tak czarująco oplatała palcem kosmyk włosów. Nic więcej mi nie powiedzieli.

* * *

Veronika:

– Czasem nie kontroluję swoich zachowań, miewam niestosowne myśli. Prowokują mnie pozorne zdarzenia: byłam w biurowcu, dwadzieścia parę pięter, weszłam do windy. Tam mężczyzna, jakiś masywny Maorys, podobny do chłopaka, który mnie zgwałcił. Dwadzieścia parę pięter, kilkanaście sekund jazdy. Lał się ze mnie pot, chyba instynktownie przycisnęłam rękę do krocza. I jeszcze zdążyłam rzucić spojrzenie. Mógłby je odczytać jako zachętę.

Siedzę, ona stoi, odwrócona, przy kuchence. Milczymy. Na patelni skwierczą placki, jej ulubione, bananowe.

– Wiesz, co pozwoliłoby mi zapomnieć?

– Co takiego?

– Nic.

II

Jakie to wspaniałe, że kropla nasienia, z której powstajemy, niesie w sobie odcisk nie tylko fizycznego kształtu, lecz również myśli i upodobań naszych ojców!

Michel de Montaigne, przeł. Tadeusz Żeleński-Boy

7

Dziennik portowy; 5 kwietnia 1921 roku:

„Wyspę odwiedził brytyjski parowiec Albion Star. Kapitan William Turner podarował nam walijski »Carnival Press«. Nigdy dotąd nie widzieliśmy gazety”.

Tamtego poranka Ada Nelson zamknęła się w sypialni i nie wyszła do zmierzchu. Nazajutrz napisała do przyjaciółki:

„Droga pani Bliss,

po raz pierwszy otrzymaliśmy wieści z Europy i Ameryki. Czytałam o wojnie turecko-greckiej i o śmierci następcy tronu w Grecji, o strajkach w Anglii i wielkim kryzysie w Nowym Jorku. Jestem pewna, że tamten świat dogorywa”.

* * *

Zaczepia mnie Moe, ten sam, który kilka dni wcześniej zmusił mnie do przechadzki i rzucił kamień do wody.

– Chcesz jabłko? – pyta i zdziera skorupę z ananasa. Mówi, że dziadek strząsał „jabłka” i ojciec, i matka strząsali, dlaczego więc on miałby strząsać „ananasy”?

* * *

„Jabłka” najpewniej wymyślili buntownicy z Bounty. Któryś skrócił „*pineapple*” na „*apple*” i zaskoczyło.

Odyseję buntowników na Pacyfiku opisał skromny geograf francuski Gabriel Marcel, o którym wiadomo, że pracował w Bibliotece Narodowej w Paryżu. Jego notatki miały nigdy nie ujrzeć światła dziennego, ale zainteresował się nimi znajomy geografa. Poznali się przy pracy nad biuletynem

„Odkrywanie Ziemi”. Na podstawie umowy spisanej 27 sierpnia 1879 roku znajomy nabył za sumę trzystu franków pełne prawa do opowiadania. Nazywał się Juliusz Verne.

* * *

W XVIII wieku brytyjscy kolonizatorzy wywieźli do Indii Zachodnich tysiące Afrykańczyków. Ci mieli pracować na plantacjach, ale umierali z głodu. Interes szedł fatalnie, koszt transportu kolejnych niewolników przewyższał zyski z upraw. Nadzieją miało być drzewo chlebowe. Wypatrzył je na wyspach mórz południowych kapitan James Cook.

„Gdyby ściągnąć chlebowiec, Afrykańczycy mieliby obiad prosto z drzewa” – przekonywali Henryka V zarządcy kolonii.

Król Anglii sfinansował budowę statku i opłacił ekspedycję, której zadaniem było pobranie sadzonek z Tahiti. Statek nazwano Bounty, co oznacza „dobrodziejstwo”. Wypłynął z portu Spithead w południowej Anglii 23 grudnia 1787 roku. Załogę stanowiło czterdziestu sześciu mężczyzn: sześciu oficerów, lekarz, dwóch botaników i marynarze, a wśród nich analfabeci i kryminaliści. Na czele wyprawy stanął kapitan William Bligh. Mimo młodego wieku miał spore doświadczenie w marynarce. Walczył pod dowództwem admirała Hyde Parkera przeciw Holendrom, osławionemu Cookowi służył jako nawigator. Nikt jak Bligh, zdaniem Admiralicji, nie znał tak dobrze mórz południowych i zwyczajów wyspiarzy. Nikt inny nie był w stanie zapanować nad załogą podczas wykańczającego rejsu na drugi koniec świata.

Nie wszyscy mieli o nim dobre zdanie. Uczestnik wyprawy Peter Heywood zapamiętał kapitana z „instynktownej niechęci do podwładnych”. Inni mówili dosadniej: Bligh często wpadał w furię, lżył oficerów w obecności majtków pokładowych. Miał ciężką rękę, za byle nieposłuszeństwo tłukł drewnianym kijem zakończonym skórzanymi rzemieniami. Żeglarze mówili na to „kot o dziewięciu ogonach”. Jedno uderzenie raniło do mięsa. Sześć – całkowicie zdzierało skórę z pleców. Po trzydziestu uderzeniach chłostany tracił przytomność. Bligh nierzadko karał pięćdziesięcioma.

W lewej ręce trzymał bat, prawą pisał wspomnienia:

„Mój mały okręcik sprawuje się dobrze, a moi oficerowie i załoga są szczęśliwi, iż dane im jest służyć pod mymi rozkazami”.

To nie może trwać wiecznie, buntowali się jeszcze po cichu marynarze, a wśród nich Fletcher Christian, pierwszy oficer na Bounty. Fletcher urodził się na wyspie Man, skąd pochodziła także żona Bligha. Przed wyprawą często bywał w ich domu, a Bligh widział w nim syna. Historyk Alexander McKee uważa, że Christian stał w rozkroku – z jednej strony chciał być lojalny wobec przełożonego, z drugiej – buntował się przeciw jego tyranii.

Bligh dokładał do kotła nienawiści – oskarżył oficerów i marynarzy o kradzież sera. W odpowiedzi jeden z podwładnych wyjawił tajemnicę: kapitan kazał jeszcze przed wypłynięciem z Anglii dostarczyć kilka gomółek do posiadłości swojej żony.

Wybuchła awantura. Potem następna, o przydział mięsa. Z każdym dniem żeglugi samotność Bligha stawała się coraz większa. Kolejni oficerowie odmawiali posiłków przy kapitańskim stole, a pozostali zaczęli myśleć o spisku.

Bligh obiecywał im co innego, gdy zaciągali się na Bounty. Stęchła woda, ubogi prowiant bez warzyw i owoców, tygodnie spędzone w ciasnych klitkach – to wszystko rodziło w marynarzach pragnienie ucieczki.

Służba w marynarce królewskiej była słabo opłacana i niebezpieczna. Brakowało chętnych, więc ściągano ich przymusem z prywatnych statków handlowych. Prywatni armatorzy kusili zaś rumem i dobrą zapłatą. Oferowali fałszywe dokumenty, które miały zatrzeć ślady dezercji. Były jednak niestarannie podrobione. Wszyscy na Bounty słyszeli o Cato Marinie ze statku handlowego Dolly, który podczas kontroli patrolu nadbrzeżnego ze spokojem wyjął glejt. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego odesłano go na pokład okrętu wojennego. Dokument był przecież kompletny – z podbitą pieczęcią i rysopisem: włosy rude, oczy niebieskie.

Cato był czarnoskórym analfabetą.

Na Bounty wiedzieli, że ewentualna dezercja oznacza szubienicę. Zgodnie z prawem morskim ustanowionym jeszcze przez króla Ryszarda I: „Kto zamierzy się szablą na kapitana statku albo złośliwie uszkodzi busolę, temu należy prawą rękę przybić do masztu. Kto jest nieposłuszny, ten ma być ukarany przeciąganiem pod kilem. Kto winien jest buntu, ma być wyrzucony za burtę”[1].

Jeszcze groźniejsze wydawało się spotkanie z Portugalczykami, którzy każdą dezercję uznawali za piractwo: „Kiedy tylko ujęli rebeliantów na morzu, natychmiast wieszali całą załogę, zabierali żagle, ster i wszystko, co

miało jakąś wartość. Statek zostawiali zaś na łasce fal i wichrów, z dyndającymi trupami łotrów”[2].

Marynarze zastanawiali się, czy warto ryzykować życie. Odpowiedź przyszła po kilku tygodniach, gdy dotarli na Tahiti. To miała być krótka wizyta.

Bounty zakotwiczył w zatoce Matavai, botanicy wskazali chlebowiec, Bligh uzgodnił z wodzem cenę. Pech chciał, że przybyli w porze kwitnienia. Jeśli drzewa miały być dostarczone do Anglii, nie można było ich przesadzać przez kolejnych sześć miesięcy, co wiązało się z pozostaniem na wyspie. Marynarze spoglądali z pokładu na ponętne Tahitanki – perspektywa spędzenia na wyspie dłuższego czasu mogłaby zrekompensować im gehennę minionych tygodni. Kapitan jednak zabronił zejścia na ląd. Surowo karał tych, którzy próbowali przedostać się na wyspę.

Dziennik pokładowy:

„5 grudnia; Matthew Thompson ukarany za niewykonanie rozkazu.

27 grudnia; William Muspratt ukarany za zaniedbania służbowe dwunastoma uderzeniami „kotem o dziewięciu ogonach”.

28 grudnia; rzeźnik Robert Lamb ukarany za to, że skradziono mu tasak”.

Lista bitych była długa.

Po stu sześćdziesięciu dniach pobytu na Tahiti sadzonki przeniesiono na pokład, a Bligh wydał rozkaz powrotu do Anglii. Marynarze wpatrywali się w znikającą za horyzontem wyspę i wierzyli, że jeszcze kiedyś tam wrócą.

27 kwietnia 1789 roku Bounty przepływał obok wysp Tofua i Kotoo. Jeden z uczestników wyprawy James Morrison zanotował: „Bligh przechadzał się po pokładzie, gdy dostrzegł brak kilku orzechów kokosowych, które były składowane między działami. Stwierdził, że zostały skradzione i że nie mogło do tego dojść bez wiedzy oficerów. Wezwano wszystkich”.

Kapitan przesłuchiwał każdego z osobna. W końcu przyszła kolej na Fletchera Christiana:

– Chyba nie uważa mnie pan za tak podłego, by myśleć, że to ja ukradłem pańskie kokosy? – kajał się Fletcher.

– Tak właśnie myślę, przeklęty psie! – wydarł się Bligh. Potem wpadł w furię: – Niech was Bóg przeklnie, łajdacy, wszyscy jesteście złodziejami, kombinujecie tylko z załogą, jak mnie obrabować, i przypuszczam, że w następnej kolejności świśniecie mi moje bulwy. Ale ja wam pokażę, jesz-

cze nim przepłyniemy przez cieśninę Endeavour, połowę z was zmuszę do skoku za burtę!

Fletcher stał zdruzgotany. Został sponiewierany przez dowódcę na oczach wszystkich. Coś w nim pękło.

W relacji Verne'a czytamy, że we wtorek 28 kwietnia: „Wszystko zdawało się być uśpione, kiedy nagle statek ogarnęło jakieś dziwne ożywienie. W kącie zebrało się kilku marynarzy, którzy zamienili ze sobą szeptem parę słów, a następnie bezszelestnie zniknęli”[3].

Czekali do czwartej nad ranem, kiedy miała nastąpić zmiana wachty.

– „Przede wszystkim bez hałasu, moi przyjaciele”[4] – instruował buntowników Fletcher. Wtargnął do kajuty kapitana, a za nim dwunastu uzbrojonych marynarzy.

Chwila niezdecydowania. Niezręczność po wyważeniu drzwi.

– Kto się ośmielił? – Bligh zerwał się z łóżka.

Fletcher wydał rozkaz:

– Związać mu ręce i wyprowadzić na pokład.

Nie wszyscy go jednak poparli. Z oficerów miał jedynie wsparcie Younga.

– Doprawdy trzeba nie być człowiekiem, aby wytrzymywać takie życie. Za byle niesubordynację dwadzieścia cztery uderzenia batem, do krwi, do mięsa! – Fletcher tłumaczył się kapitanowi ze swojej decyzji.

– Nie ma pan prawa! – wrzasnął Bligh.

– Nie marnujmy czasu na zbędne protesty. – Fletcher czuł, że traci kontrolę nad spiskowcami. Całe zajście było zaimprowizowane. Marynarze żądali głowy Bligha, a Fletcher chciał dać kapitanowi szansę przeżycia.

– Nie wiem, dokąd wiatr zagna pana i pańskich pomagierów – powiedział w końcu Fletcher, po czym dał rozkaz spuszczenia szalupy.

– Ta łódź nawet nie utrzyma się na wodzie. Dno wyżarły termity! – grzmiał kapitan.

Marynarze spluwali na niego i wiernych mu ludzi. Tylko Christian spoglądał na oddalającą się łódź z bólem i wstydem. Dotąd lojalny oficer, od teraz przywódca buntowników, który skazał swojego kapitana na pewną śmierć.

„Czuł się zgubiony, zhańbiony w oczach wszystkich. Po winie już teraz nastąpiła kara”[5] – napisał Verne.

Historycy oceniają, że na innym statku podobny bunt zostałby zduszony w zarodku, lecz na Bounty wszyscy gardzili kapitanem. Ci, którzy poszli za Blighem, uczynili to ze strachu przed szubienicą, nie ze względu na jego autorytet.

Do szalupy, poza kapitanem, wciągnięto osiemnastu oficerów i marynarzy. Mieli do przebycia około tysiąca dwustu mil morskich, które dzieliły ich od Nowej Holandii (dzisiejszej Australii). Zmagali się ze sztormami i głodem. Racja dzienna nie przekraczała pół suchara i kubka wody. Podróż wydłużała się, zapasy topniały. Marynarze ryzykowali życie – zdobywali prowiant na niegościnnych wyspach. Tym razem bez królewskich armat i pistoletów. Jeden z nich zginął na Tofua.

Bligh cały czas spisywał wspomnienia, które wydano po jego powrocie do Anglii i które z miejsca stały się rozchwytywane. W 1976 roku dom aukcyjny Christie's wystawił oryginalny rękopis na licytację.

Kapitana trzymała przy życiu chęć zemsty. Rozmyślał też nad przyczyną buntu:

„Można oczywiście zastanawiać się, dlaczego doszło do rewolty. Buntownicy najpewniej karmili się nadzieją szczęśliwszego bytowania między mieszkańcami Tahiti, niż było im to dane w Anglii, co też w połączeniu z różnymi żeńskimi znajomościami najprawdopodobniej doprowadziło do owego działania".

Pozostali ludzie w szalupie, którą płynął Bligh, tracili nadzieję na przeżycie. Majaczyli z głodu i pragnienia. Pilnowali się nawzajem, by nie zasnąć na dłużej niż godzinę. Dłuższy sen oznaczał śmierć. Po trzech tygodniach wiosłowania przypominali kościotrupy. Spadł deszcz, można było nawilżyć usta. Ubrania jednak nie schły. Bligh wpadł na pomysł: odzież namoczona w słonej wodzie chroni ciało od wychłodzenia.

Potem ktoś się zbuntował, domagając się zwiększenia dziennej racji. Bligh wiedział, że nie może ulec. Zachował największą jasność umysłu spośród wszystkich:

– „Broń się, inaczej zabiję jak psa!"[6] – wrzasnął, wcześniej rzucając pod jego nogi kordelasy. Tamten dał za wygraną.

12 czerwca 1789 roku dotarli do Timoru. Pokonali trzy tysiące sześćset osiemnaście mil morskich, a więc drogę trzy razy dłuższą, niż przewidywali. W porcie zebrał się tłum gapiów. Ludzie myśleli, że łódź niesie fala i że w łodzi są zwłoki.

Bligh dochodził do zdrowia dwa miesiące. Potem kupił szkuner, na którym dotarł do Batawii (dziś Dżakarta, miasto na wyspie Jawa, stolica Indonezji). Stamtąd odpływał statek do Anglii.

14 marca 1790 roku zszedł z pokładu w Portsmouth. Podjął go sam król. Gazeta „London Chronicle" nabyła prawa wyłączności na druk *Dziennika cudownego ocalenia na morzu po żegludze przez dni czterdzieści i jeden w odkrytej szalupie*, a Teatr Królewski w Londynie, nie licząc się z kosztami, wystawił dramę *Piraci, czyli niedole kapitana Bligha*. Spektakl cieszył się niespotykanym zainteresowaniem przez długie miesiące. Bligh stał się bohaterem i jako bohater przedstawił Radzie Wojennej historię buntu. Ruszył pościg.

W tym czasie buntownicy pod dowództwem Fletchera wrócili do zatoki Matavai. Po krótkim odpoczynku udali się na archipelag Tubuai, gdzie gwałcili kobiety i grabili, co się dało.

Fletcher wiedział, że nie zapanuje nad zgrają zdeprawowanych marynarzy, więc ponownie wziął kurs do tahitańskiej zatoki. Część załogi zeszła na ląd. Tego samego wieczoru Christian wydał rozkaz podniesienia kotwicy. Na pokładzie znaleźli się tymczasem także zwabieni podstępem mieszkańcy wyspy: dwanaście kobiet i sześciu mężczyzn.

– Zdradziłeś nas! – krzyczeli z lądu Churchill i Thompson, którzy wcześniej pomogli Fletcherowi pojmać Bligha. Po kilku miesiącach Thompson wpadł w szał i zabił Churchilla. Chwilę później został ukamienowany przez Tahitańczyków.

23 marca 1791 roku na wyspę dotarł okręt Pandore, wysłany przez brytyjską Admiralicję w pościg za buntownikami. Pojmano część z nich. Inni sami oddali się w ręce Brytyjczyków.

Fletcher i ośmiu buntowników wciąż pozostawali na wolności. Pandore i asystujący mu okręt Resolution nie zaprzestały pogoni. Poszukiwania nie przyniosły jednak rezultatu – Resolution zaginął nieopodal wyspy Chatham, a Pandore uderzył w podwodną skałę i zatonął w cieśninie Torresa. Załodze i pojmanym buntownikom udało się dotrzeć na pobliską wysepkę – piaszczystą i gołą jak łysina. Skwar palił skórę, oficerowie i marynarze ukryli się w namiotach, więźniowie, też chcąc przeżyć, zakopali się po szyję w piasku. Po kilku dniach ruszyli na szalupach do Timoru, skąd wrócili do Anglii.

18 czerwca 1792 roku Rada Wojenna uniewinniła czterech buntowników z Bounty. Admiralicja zaprzestała poszukiwań pozostałych. Były poważniejsze zmartwienia: kolonie brytyjskie w Ameryce proklamowały niepodległość. We Francji rosła potęga Napoleona.

Fletcher z garstką pozostałych buntowników nie mogli czuć się bezpiecznie. Nie docierały do nich wieści z Anglii, wciąż obawiali się pościgu. Wzięli więc kurs na północ. Nie wiedzieli, że trafią na bezludną wyspę, którą w 1767 roku wypatrzył piętnastoletni Robert Pitcairn z brytyjskiego statku Swallow:

„Jest ona tak wyniosła, że dostrzegliśmy ją z odległości piętnastu mil, a że odkrył ją szlachetnie urodzony młodzieniec, syn majora Pitcairna z piechoty morskiej, nazwaliśmy ją Pitcairn” – napisał we wspomnieniach kapitan Philip Carteret.

Świat dowiedział się o losach buntowników dopiero wiosną 1808 roku. Statek wielorybniczy Topaz wracał z połowu w Zatoce Przygody i kierował się dalej, na północ. Amerykanin Mayhew Folger spostrzegł łunę ognia nad wyspą. Zdziwił się – z map wynikało, że jest bezludna:

„Udałem się na brzeg, gdzie ku swojemu zdumieniu zastałem Anglika o nazwisku Aleksander Smith. […] powiadomił mnie, że jest zbiegiem z pokładu Bounty. Opowiedział mi swoją historię”.

Buntownicy z pojmanymi Tahitańczykami dotarli na Pitcairn w 1790 roku. Z Tahiti zabrali też kozy, świnie i kury. Przy użyciu tratw przetransportowali inwentarz, potem Fletcher wydał rozkaz podpalenia Bounty. Pitcairneńczycy uważają, że tym samym przeciął więź z Wielką Brytanią.

Statek pogrążał się w wodzie, wszyscy spoglądali na zatokę w milczeniu i lęku. Przeczuwali, że dokończą życie na wyspie.

Perspektywa nie była jednak beznadziejna: drzewa uginały się pod ciężarem owoców, żyzna gleba przyjęła sadzonki chlebowca. Buntownicy zbudowali namioty z żagli, później, kiedy wznieśli chaty, pocięli płótno na odzież. W razie pościgu mogli skryć się w głębokich jaskiniach, nie było naturalnego portu – okręty nie miały szans dobić do brzegu.

Garstka rebeliantów i porwani przez nich Tahitańczycy zaczęli drugie życie, w strachu przed brytyjską szubienicą, w nieufności wobec siebie. Pracowali razem, ale gdy gasło słońce, każdy szedł do swojego domu, a noc spędzał w półśnie. Smith wspominał, że jeden z buntowników oszalał i sko-

czył do głębokiej wody. Nie potrafił pływać. Drugi zmarł na gorączkę. Trzeci chorował na astmę, w końcu się udusił.

Gdy w niewyjaśnionych okolicznościach zmarła tahitańska żona Williamsa, ludzie byli już pewni – nad wyspą ciąży fatum. Upijali się trunkami pędzonymi z nieznanych korzeni, miewali halucynacje. Williams, niesiony jakimś koszmarem, postanowił odebrać żonę tahitańskiemu słudze Tararo. Ciągnęli losy, Tararo przegrał, ale nie chciał oddać swojej kobiety. Uciekł z nią w góry, lecz po kilku dniach dopadli go i zastrzelili. Wdowa została zaciągnięta do Williamsa. Miała z nim piekło – była bita i gwałcona, tak jak inne kobiety.

Kobiety próbowały nawet zbudować tratwę i uciec, ale im się to nie udało. Anglik Quintal odkrył ich starania, po czym zepchnął swoją tahitańską żonę ze skały. Innym radził, by nigdy nie spoglądali kobietom w oczy, a tahitańskich mężczyzn traktowali jak woły.

Potem Tahitańczyk ukradł świnię. Pobili go na śmierć. Pozostali Tahitańczycy uciekli do dżungli, ukradli broń palną i uknuli spisek. Jedna z kobiet usłyszała pieśń: „Czemuż to ciemnoskóry człowiek ostrzy siekierę? A po to, żeby zarąbać białego człowieka”.

Williamsa zabili strzałem z muszkietu, gdy stawiał płot. Fletcher Christian karczował ziemię pod uprawę, kiedy dopadli go i porąbali mu głowę siekierą. Mills dostał kulę pod łopatką, Martina dobili młotkiem. Na mikroskopijnej wyspie, na środku oceanu, rozpętała się wojna, nie było gdzie uciec. Tahitańczycy czaili się na Brytyjczyków z kamieniami, włóczniami i siekierami. Sami ginęli od ich kul.

Spośród mężczyzn przeżyli tylko ciężko ranny Aleksander Smith i Edward Young. Ten drugi niedługo później zmarł na astmę.

Na wyspie pozostało jeszcze jedenaście tahitańskich kobiet i dziewiętnaścioro dzieci.

Smith (zmienił potem nazwisko na John Adams) otworzył pokładową Biblię i zaczął nauczać.

* * *

– Zawsze czułam się obciążona – mówi Veronika, potomkini buntowników w ósmym pokoleniu. Jednocześnie drapie się zagiętym kciukiem po małżowinie prawego ucha. – Żyję w rozkroku, jak Fletcher. Z jednej strony

próbuję ochronić siebie, z drugiej odczuwam niezrozumiałą powinność wobec ludzi na wyspie. Niepewność, lęk, wahania nastrojów, tak było ze mną od zawsze. Z tego lęku potrafię krzywdzić, jestem jak rozdrażniona pszczoła. Kiedyś uderzyłam mojego chłopaka Billy'ego, tylko dlatego że przyszedł kwadrans przed czasem. Nieważne, wiesz, że mój ojciec drapał się w identyczny sposób?

– Może to hormony? Może z ich powodu czułaś rozdrażnienie?

– Ojciec miał jeszcze jeden nawyk. Zasypiał na prawej ręce, a po przebudzeniu czuł odrętwienie. Tak jak ja. Dziwne, co? Przecież nie kontroluję ciała we śnie. Dlaczego drętwieje mi właśnie prawa ręka?

* * *

Spośród dziewięciu nazwisk buntowników na Pitcairn zostały już tylko dwa. Dawniej były jeszcze cztery: po Johnie Adamsie, Johnie Millsie, Matthew Quintalu i celtyckim marynarzu McCoyu. W 1972 roku zmarł ostatni McCoy. Kolejni trzej buntownicy: ogrodnik William Brown, John Williams i Amerykanin Isaac Martin nie spłodzili dzieci na wyspie z powodu rzeżączki. Potomkowie Browna żyją za to w Nowej Zelandii.

W latach siedemdziesiątych było jeszcze pięcioro Clarków, po Amerykaninie Lincolnie Clarku, który wypatrzył Pitcairn z gniazda statku Topaz.

Geny wyspiarzy pochodzą zatem od sześciu angielskich mężczyzn, jednego Celta, jednego Amerykanina i dwunastu tahitańskich kobiet.

* * *

Donna, potomkini jednego z buntowników, opowiada:

– Jesteśmy silni i zwinni jak nasi przodkowie. W niedalekiej przeszłości zaopatrywaliśmy statki w słodką wodę. Wskakiwaliśmy z beczkami do oceanu i płynęliśmy pół kilometra przy wysokich falach.

Pewnego dnia pędzimy z Donną quadem po wertepach. Koło podskakuje, błoto w oczach. Wywiewa jej chustkę do nosa. W ułamku sekundy precyzyjnym zamachem chwyta szybującą chustkę palcami u stóp, nie zwalniając gazu.

– Mam ją! – Chrząka, kaszle, uderza pięścią w pierś. – Przeklęta astma.

Australijski podróżnik i dziennikarz Ian Ball opisał Pitcairnenkę, którą poznał podczas wizyty na wyspie w latach siedemdziesiątych:

„Millie ma sześćdziesiąt cztery lata i jest córką żeglarza z Nantucket – Philipa Coffina. Jego statek rozbił się w 1881 roku w okolicach wyspy Henderson. Uratowany przez Pitcairneńczyków, znalazł na wyspie żonę. Millie gotuje na rozżarzonych kamieniach. Ma szlachetną twarz i męskie ramiona. Nosi pierwsze protezy zębów, wykonane przez Hildę Padgett w 1954 roku, a więc zaraz po jej powrocie z krótkiego szkolenia dentystycznego w Nowej Zelandii".

Potomek Millie jest barczysty. Mówią, że zęby wypadały mu jak sierść kota na wiosnę. Miał niespełna dziewiętnaście lat, kiedy brytyjska służba zdrowia zrefundowała mu sztuczną szczękę.

Przypadek czy obciążenie genetyczne?

Na Bounty zaciągano marynarzy z dobrym wzrokiem. Potrafili dostrzec ląd z odległości trzydziestu–czterdziestu mil morskich. Na Pitcairn tylko ludzie leciwi zakładają okulary (także refundowane). Pitcairnenki mają oczy piwne – jak Tahitanki.

Atkins teraz tylko struga w drewnie, ale w młodości był najlepszym poławiaczem, słynął z niespotykanego refleksu. Zanurzał się w wodę i chwytał rybę w ręce. Tak jak jego przodek.

W dziennikach Bligha, w zapiskach marynarzy i późniejszych relacjach przeczytamy, że wielu buntowników miało skłonności autodestrukcyjne, chorowało na psychopatie. Fletcher miał obsesję – odkąd spalił Bounty, czekał na karę, zadręczał się. Williams cierpiał na urojenia. Wewnętrzny głos kazał mu porwać i zgwałcić Tahitankę, zabić jej męża. John Adams był neurotykiem zaczytanym w Biblii.

Współcześni Pitcairneńczycy żyją w pancerzu, odczuwają brak swobody, przygniatają ich zasady życiowe ustanowione przez przodków, ale od których to zasad nie chcą albo nie potrafią odejść. Odrzucają pomoc innych, traktują ją jak atak. Zainteresowanie z zewnątrz tylko zwiększa ich opór i upór.

Załogę Bounty cechowało zacietrzewienie. Marynarze działali impulsywnie, decyzje zapadały szybko, obierali bliskie cele.

– Bourne – mówi Wyspiarz – znajdował usprawiedliwienie swoich zachowań w przeszłości, a przyszłości się nie bał. Liczyło się tylko tu i teraz. Emocja wygrywała z rozumem, górę brał instynkt. A że we wspólnocie

było więcej takich jak on, prędzej czy później ktoś musiał dopuścić się aktów przemocy.

Przeklęta wyspa, opowiadają współcześni uciekinierzy. Człowiek, który nie ma nad sobą bata sprawiedliwości, czuje się bezkarny, zamienia się w zwierzę.

Lata osiemdziesiąte: dorośli Pitcairneńczycy popłynęli odpocząć na wyspę Henderson. W Adamstown pozostały dzieci pod opieką Bourne'a i Braydena. Po zmroku, kiedy wyłączono prąd, Bourne i Brayden ruszyli do domów, gdzie do snu układały się nastoletnie dziewczynki.

Zarówno ojciec Braydena, jak i jego dziadek bali się otwartych przestrzeni. Wszyscy trzej byli agresywni.

Czytam dziewiętnastowieczne dzienniki: jeden na pięcioro Pitcairneńczyków tonie, spada z klifu albo zostaje zastrzelony. Pojawiają się w nich pytania: czy skłonności do dominacji i uległości nie nabyli na skutek dziedziczenia? Czy agresja nie brała się ze współzawodnictwa o zasoby? Czy gdyby zasoby były nieograniczone, pojawiłaby się agresja? Ówcześni Pitcairneńczycy uważali, że zarzewiem wojny Tahitańczyków z buntownikami z Bounty były kobiety, a właściwie ich niedostatek.

Teraz może być podobnie. Garwood, trochę ckliwy poczmistrz, mówi:

– Ileż to ja, człowiek struty i samotny, rozmawiałem z oceanem?

Jeden z ojców ukląkł przed Buckiem. Zaproponował, że odda rzeźby na handel, jeśli ten przestanie gwałcić jego córkę. Buck nie wziął rzeźb, ale też nie dotknął więcej jego córki.

„Psychopaci impulsywni są często ludźmi dobrymi, o dobrym sercu, wrażliwymi na ludzką krzywdę, chętnie spieszącymi z pomocą – zauważył Antoni Kępiński. – Wskutek swojej impulsywności narażają się jednak otoczeniu społecznemu i nierzadko bywają z niego wykluczeni”[7].

Dziennik portowy, 20 maja 1944:

„Amerykański tankowiec zawinął na Pitcairn. Sto pięćdziesiąt mil morskich od wyspy jeden z marynarzy doznał krwotoku wewnętrznego – krwawił z jamy ustnej i nosa. Amerykanie zostawili pocztówkę: »Zatrzymaliśmy się na trzy i pół godziny. W tym czasie miejscowa pielęgniarka opatrzyła naszego marynarza. Nigdy nie zapomnimy cudownych Pitcairneńczyków«”.

Dwa lata wcześniej ośmiu wyspiarzy rzuciło się do oceanu na ratunek załodze tonącego statku. Curtis Nelson poszedł na dno. Pozostali Pitcairneń-

czycy cudem uniknęli śmierci.

– Każdy widzi, jaki jest człowiek, ale nikt nie wie, jaki jest – filozofuje Donna przy wieczornej earl grey, ale głębsze myśli pozostawia dla siebie. Jest skryta, nieufna, jak buntownicy i ich tahitańscy niewolnicy.

Wierzy tylko we wspólnotę, w jej wyższość, jest gotowa się jej poświęcić. Uparcie trzyma się zasad, bo tylko one mogą obronić komunę.

Człowiek z zewnątrz powie, że świat Donny jest posępny i uległ wypaczeniu. Donna widzi wokół siebie spiski, machinacje, Obcy niosą unicestwienie. Brytyjscy dziennikarze pisali, że to fałsz, choroba.

* * *

– Chcesz jabłko? – pyta Moe i zdziera skorupę z ananasa.

W warunkach częściowej izolacji normy etyczne z czasem zaczynają żyć własnym życiem. Najważniejszym odniesieniem staje się tu i teraz. Człowiek zapomina, że gdzieś postępuje się inaczej.

Być może nawyki marynarzy pomogły usankcjonować gwałty. Ojcowie z lubością opowiadali synom o swobodnym życiu na Bounty. Szorstki seks, animalny porządek, Tahitanki leżące w pościeli – synowie słuchali i powtarzali swoim synom: ananas to jabłko; kobieta to pochwa; gwałt jest jak jedzenie. Pytam Moe o jego przodków. On pręży się i mówi:

– Płynie w nas krew brytyjskich marynarzy i tahitańskich kobiet.

– Co wiesz o Tahitańczykach?

– Głodu nie cierpieli, bananów i kokosów mieli pod dostatkiem. Hodowali kury i świnie, w lagunach roiło się od ryb. Przed najazdem Europejczyków nie znali tytoniu ani narkotyków. Jedyny alkohol pędzili z korzeni. Większość doczekiwała późnej starości, żyli i rozmnażali się pod gołym niebem.

Większość Pitcairneńczyków wierzy w ten mit. Moe mówi, że wszyscy utożsamiają się z Tahitańczykami.

„Kiedy uprawiam seks, jestem Tahitańczykiem, a dopiero potem kimkolwiek innym”, tłumaczył wyspiarz w rozmowie z Kathy Marks. Pitcairneńczycy znają też ciemną kartę tahitańskiej historii: bratobójcze walki o ziemię i przywileje. Tylko wodzowie i najwyżsi rangą kapłani mogli posiadać potomstwo. Dzieci niższych grup społecznych duszono po porodzie. Ile było takich mordów? W XVIII wieku na Tahiti żyło około stu tysięcy osób.

Tuż przed przybyciem Cooka na tę wyspę wybuchła szczególnie krwawa wojna. Dwie największe rodziny całymi tygodniami mordowały się nawzajem. Kobiety i dzieci wycinano w pień, z jeńców składano ofiary, zwłoki piętrzyły się potem wokół ołtarzy. Jakiś wódz zawędrował pieszo na ziemię drugiego wodza. Popełnił błąd – powinien być niesiony na plecach sługi. Zgodnie z prawem każda połać, na której wódz stawiał stopę, przechodziła na jego własność. Te kilka kroków było przyczyną wojny, która pochłonęła życie setek Tahitańczyków.

Potem nastała era ewangelizacji. Pierwszy statek misyjny przypłynął w 1796 roku. Po nim kolejne. Tahitańczycy nie rozumieli sporów między misjonarzami protestanckimi a katolickimi. Pierwszych wysyłali Brytyjczycy, drugich – Francuzi. Ale religia była przykrywką. Duchowni mieli tylko przygotować grunt pod dalszą kolonizację. Jedni ani drudzy nie orientowali się w miejscowych zwyczajach. Straszyli karą bożą, niszczyli posążki tahitańskich bóstw. Przywlekli też choroby, wobec których organizmy Tahitańczyków były bezbronne – dziesiątkowały ich grypa, ospa, choroby płuc. Czasem misjonarze próbowali zwalczać wojny między plemionami. Rozbrajali jedną rodzinę i pozostawiali ją na pastwę drugiej.

Tahitanki porwane na Pitcairn zapamiętały więc Europejczyków z rzezi, grabieży i śmiertelnych chorób. Miały też bagaż innych doświadczeń. Były rozwiązłe i usłużne wobec mężczyzn. Gotowe spełnić każde życzenie.

* * *

– Odkąd Londyn finansuje szczepionki, zniknął problem pandemii, ale jeszcze dwadzieścia lat temu zakatarzony wizytator był śmiertelnym zagrożeniem – tłumaczy Donna.

– Ludzie z zewnątrz przywlekali choroby. Być może stąd ten dystans, nieufność do Obcych – zastanawia się Moe. Dla niego Anglia ma sadystyczną twarz Bligha, Pitcairn – romantyczną i szaleńczą naturę Fletchera. Dorastał w nieufności do Brytyjczyków, w atmosferze zagrożenia.

W 1893 roku dwanaścioro Pitcairneńczyków zmarło na tyfus. Zarazili się, ratując rozbitków z tonącego statku. Inni złapali wszy, umierali na gruźlicę i choroby weneryczne. Kiedy na początku XX wieku lekarze popłynęli ratować ludzi do Papatee na Tahiti, nikt nie udzielił pomocy Pitcairneńczy-

kom. Z powodu zbyt późno leczonej rzeżączki wielu mężczyzn dotknęła bezpłodność.

– Nikt nam nigdy nie pomógł. Wszystko, co mamy: uprawy, miód, domy, zawdzięczamy sobie. – Moe zaciska zęby. – Dla Brytanii jesteśmy bękartami. Stoimy na placu Głównym. Tam stoi budynek Rady Wyspy, gdzie Brytyjczycy skazali pitcairneńskich mężczyzn. Tuż obok kotwica rufowa z Bounty. Do 1957 roku leżała piętnaście metrów pod wodą, dziś służy dzieciom za huśtawkę. Wyłowili ją nurkowie ze statku Yankee. Siedem lat później zaginęli na morzu, a ich ciał nigdy nie odnaleziono. Niewiele zostało śladów po buntownikach. Ze wszystkiego zostaliśmy okradzeni.

Najcenniejszą pozostałością jest postrzępiona Biblia. To z niej John Adams nauczał pierwszych osadników. Zamknięta w przeszklonej szafce otwieranej na dwa klucze. Jeden klucz przechowuje burmistrz, drugi – przewodniczący Rady Wyspy. Ludzie z zewnątrz sądzą, że to Biblia pokładowa z Bounty. Tamta jednak zaginęła w niewyjaśnionych okolicznościach. Biblia z szafki należała do Fletchera Christiana. Dostał ją od matki, nim pierwszy raz wypłynął w morze. Dla mieszkańców wyspy jest najcenniejszą relikwią, ale kiedyś dali się nabrać i wymienili ją na egzemplarz masowej produkcji.

„Popatrzcie tylko na czcionkę. Większe litery” – miał ich przekonać wielorybnik Levi Hayden z New Bedford w Massachusetts, który w 1839 roku dotarł na wyspę. Opowiadał, jak pięknie będzie można odnowić stary egzemplarz w Ameryce. Na szczęście Biblię Fletchera przejęło Towarzystwo Historyczne w Connecticut, a następnie król Anglii. W 1950 roku Pitcairneńczycy poprosili o zwrot.

– Ludzie spoza wyspy dzielą się na tych, którzy widzą w nas zboczonych kowbojów, i na tych, według których tworzymy hipisowską oazę. Dla tych drugich jesteśmy prymitywami, których można wykorzystać i okraść – uważa Moe, a w jego głosie pobrzmiewa żal. – To dlatego za wszelką cenę próbujemy odgrodzić się od świata.

Opowiada historię wolontariusza z Nowej Zelandii, który przypłynął pod koniec lat sześćdziesiątych. Młody, wesolutki, pewny siebie. Miał uczyć nowych metod uprawy ziemi, ale zasiał konopie na Złotych Glebach. Jedynie żona pastora potrafiła rozpoznać marihuanę i kiedy odkryła, że obsiał tak wielką połać, nakazała mu wszystko podpalić. Siwy dym uniósł się nad wyspą, a ludzie chodzili rozweseleni jak nigdy później.

– Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że Złote Gleby staną się ugorem na dobre dwa lata.

Inny, Amerykanin, opowiada Moe, zatrzymał się tu na pół roku i sprzedawał haszysz. Kupowali francuscy żołnierze z bazy testów atomowych i Legia Cudzoziemska. Ci pierwsi stacjonowali w pobliżu atolu Mururoa, ale czasem podpływali na Pitcairn.

– Bardzo kochali nasze kobiety – mówi Moe z przekąsem. Opowiada o starszym kuzynie, który od lat żyje poza wyspą. Jego matka miała przelotny romans z francuskim żołnierzem. Urodziła mu syna. Zostawił jej prezent. Koszulkę z napisem „*Commandant Rivière*”.

8

Zbliżała się trąba powietrzna.

Oni stali w bezruchu, jakby omamieni jej wspaniałością. Dwunastoletnia Elsa spoglądała w stronę morza i pomyślała: Ciekawe, czy odnajdą moje ciało. Inni trzymali się za ręce, wyznawali miłość.

Dzwon bił na trwogę, ściana wody okryła wyspę cieniem. Potem już zapadło głuche milczenie.

Wiatr zrywał dachy, ścinał drzewa, gałęzie kąsały jak włócznie. Fala porwała wielu wyspiarzy do oceanu. Sponiewierała budynki i łodzie, topiła zwierzęta, dzikie i hodowlane. Koń, który pasł się na poletku Nelsonów, został znaleziony martwy po drugiej stronie wyspy z kopytem w pysku.

A Pitcairneńczycy przeżyli wszyscy.

Radość cudownego ocalenia ustąpiła szybko. Nauczyciel i kronikarz Roy Clark wspominał: „Takiego kataklizmu nie pamiętają najstarsi mieszkańcy. Potrzeba lat, by odbudować wyspę”. Zrodził się gniew, potęgowany przez głód. Żywioł zniszczył uprawy i drzewa owocowe. Wyspiarze wracali do ruin domów, palili truchła zwierząt. Tygodniami rozglądali się wokoło – za szczątkami krzeseł, łóżek i komód. Matka Elsy płakała nad pojedynczym butem, trochę ze szczęścia, trochę z bezsilności. Pozostałe kobiety usypały stos ze znalezionych rondli, sztućców i świeczników. Dzieliły sprawiedliwie. Naczynia kuchenne były niemal jednakowe i nie sposób ustalić, co do kogo należy. Z ubrań, książek, fotografii nie zostało wiele. Poginęły pieniądze i biżuteria.

– Mężczyźni popadli w depresję. Nawet nie chciało im się kochać. A zawsze, kiedy było źle, zaciągali kobiety do łóżek – wspomina Elsa. – Odremontowali kilka chałup, potem już snuli się bez celu, sikali do morza.

Mijały tygodnie, statki akurat omijały wyspę. Nędza, nawet domy z głodu rozdziawiły drzwi na oścież. Ludzie żyli o bananach, których zgniliznę próbowali zabić w ogniu. Pleśń niszczyła płuca, szalała szkarlatyna.

– Pamiętam, jak mamusia posadziła mnie na kolanach, taka ucieszona – opowiada Elsa. – Mówi, że przyszła wiadomość. Mamy brać się do roboty, stawiać domy, oczyszczać drogi, same, skoro mężczyźni nie chcą. Bo jutro przypłynie królowa z pomocą. Jej okręt jak arka Noego: pod pokładem zwierzęta, bydło, konie, kury, kozy. I sadzonki drzew. Że gdy tylko dowiedziała się o naszym nieszczęściu, od razu, bez namysłu, wiedziona matczynym instynktem kazała wieźć się na Pitcairn. Zabrałyśmy się do pracy. Wszystkie kobiety. Mamusia, ciotki, kuzynki. Nie wiedziałam, że mamusia blefuje. Był ciepły, słoneczny dzień, wrzesień 1939 roku.

* * *

Jest poniedziałek 6 czerwca 2011 roku – świętują Dzień Urodzin Królowej.

Mieli palić ognisko, ale leje od samego rana. Nawet próbowali. Ogień zamienił się w popiół, a popiół w błoto. Jak relacje Pitcairn z Koroną Brytyjską.

Kiedyś świętowali cały dzień. Na Górze Adamsa rozgrywali mecz w krykieta, wersja pitcairneńska: dziesięcioro graczy – kobiety, mężczyźni i dzieci – nie sposób złożyć dwóch pełnych drużyn. Potem śpiewy i toasty do późnego wieczora. Wszystko na cześć królowej.

Dziś tylko wspólny obiad na placu Głównym i superprodukcja *Jak zostać królem*. Norma Watkins przywiozła DVD z Mangarevy.

– Tylko idiota nie zauważy naszych starań. – Sześćdziesięcioparoletnia kobieta jest siostrą burmistrza Edwarda „Ciasteczka” Watkinsa. W przeciwieństwie do większości mieszkańców wyspy opowiada się za zacieśnianiem relacji z Wielką Brytanią.

– Trzeba zapomnieć o tym, co było. Wyspa nie przetrwa bez pieniędzy z Londynu.

Czy da się zapomnieć? Stoły ustawione w podkowę – Gang siedzi po lewej stronie, Przechrzty i Obcy po prawej. Rodzina Bucka zbojkotowała przyjęcie.

Wyspiarka:

– Do żywego nienawidzą Brytyjczyków. A najbardziej Buck. On wciąż uważa się za przywódcę. Po procesach odwołał święta Bożego Narodzenia. Powiedział, że nie usiądzie do jednego stołu z Judaszami.

Wyspiarz:

– Buck poczuł się zdradzony. Jak trzeba było budować drogi albo leczyć zęby, to wszyscy szli do Bucka. A potem ten proces… Przypłynęli Brytyjczycy, wdeptali nas w ziemię i odpłynęli. Proces podzielił wyspę, rozbił małżeństwa, nawet matki odwracały wzrok od córek. Buck obarczył winą Brytyjczyków. Zawsze opowiadał się za niepodległością. W sądzie zeznał, że Pitcairn nigdy nie należała do Wielkiej Brytanii. Adwokaci przygotowali linię obrony na podstawie jego zeznania. Skoro wyspa nie podlega królowej, nie obowiązuje na niej angielskie prawo. Żeby skazać mężczyzn, prokuratorzy musieli udowodnić, że Pitcairn jest terytorium podległym Wielkiej Brytanii.

Dziennik portowy, 6 sierpnia 1937 roku:

„Brytyjski lekki krążownik Leander pod dowództwem kapitana Riversa-Carnaca dopłynął na Pitcairn. Kapitan wbił w ziemię brytyjską flagę i odczytał akt: »Ta wyspa należy do króla Jerzego VI«”.

Dziennik portowy, grudzień 1940 roku:

Michael Lacy, trzeci oficer na statku Corinthia, relacjonuje: „nasz statek zakotwiczył nieopodal wyspy Henderson. Zeszliśmy na ląd, wbiliśmy flagę Union Jack. Pozostawiliśmy też wiadomość: »Wyspa należy do Korony Brytyjskiej«. Kilka miesięcy później znów przypłynęliśmy na Henderson. Flagi brytyjskiej nie było. Zamiast niej – flaga z nazistowską swastyką i notatka: »Z przeprosinami dla króla Jerzego VI. Od teraz wyspa należy do Wielkiej Rzeszy Niemieckiej«”.

Głos większości:

– Londyn bezprawnie zagarnął wyspę. Wziął nas jak bezdomnego psa, który nie może wyrazić sprzeciwu. Tymczasem Buck powołał się na przodka, Fletchera, który spalił brytyjski okręt Bounty na znak zerwania więzi z Koroną. Do dziś co roku palimy łódź, by upamiętnić to wydarzenie i zamanifestować naszą suwerenność.

W bibliotece w Auckland przeglądam brytyjskie i nowozelandzkie gazety:

„18 kwietnia 2004 roku Sąd Najwyższy (w którego skład weszli sędziowie z Nowej Zelandii, zatwierdzeni przez brytyjski rząd) odrzucił wersję Pitcairneńczyków, jakoby wyspa nie była terytorium zamorskim Wielkiej Brytanii. Werdykt został podtrzymany w sądzie apelacyjnym w sierpniu 2004 roku”.

W proteście sześć wyspiarek podpisało list do premiera Tony’ego Blaira i premier Nowej Zelandii Helen Clark: „Pozwólcie nam sądzić naszych Chłopców”.

Potem wystosowały oświadczenie:

„My, kobiety na Pitcairn (a także mieszkające poza wyspą), jesteśmy głęboko przekonane o nieuczciwości procesu. Chcemy udowodnić niewinność naszych mężczyzn. Oni nie są gwałcicielami dzieci.

Doradzono nam, by sprawę przekazać Tajnej Radzie w Londynie. Teraz znalazłyśmy się w trudnej sytuacji, musimy prosić o pomoc, choć godzi to w nasze poczucie niezależności i samowystarczalności.

Piszemy to oświadczenie, ponieważ oskarżonych o ciężkie przestępstwa mężczyzn pozbawiono prawa do wyboru obrońcy. Publiczny obrońca i jego zastępca zostali mianowani przez gubernatora Pitcairn w Nowej Zelandii, a więc podmiot, który tuż przed procesem narzucił nam angielskie prawo karne.

[…]

Nasi mężczyźni stracili zaufanie do reprezentujących ich obrońców publicznych. Wybrali prawników bardziej doświadczonych, ponieważ wyspa Pitcairn znalazła się w skrajnym niebezpieczeństwie.

[…]

Prosimy o pomoc w pozyskaniu funduszy, które pomogłyby nam ocalić wyspę. Żyje tu mniej niż czterdzieścioro Pitcairneńczyków. Miesięczne zarobki wahają się od pięćdziesięciu do trzystu pięćdziesięciu dolarów nowozelandzkich, co oznacza, że nie stać nas na opłacenie wykwalifikowanych prawników.

Jeden z nich pracuje wprawdzie dla nas za darmo, drugi za minimalną stawkę. Niemniej wciąż brakuje nam stu tysięcy dolarów nowozelandzkich, które przeznaczymy na postępowanie przed Tajną Radą w Londynie. Jest to oczywiście astronomiczna suma, jednak tylko dysponując nią, będziemy w stanie dalej walczyć o sprawiedliwość.

Oto uchybienia, które w naszym odczuciu czynią dotychczasowy proces nielegalnym:

1. Brak ławy przysięgłych. Ponadto oskarżeni nie byli sądzeni przez swoich krajan, ale przez sędziów z Nowej Zelandii.

2. Zostali skazani na mocy prawa angielskiego, które nigdy nie obowiązywało na wyspie.
3. Policja obiecywała wynagrodzenie kilku Pitcairnenkom w zamian za obciążające mężczyzn zeznania. Przedstawiliśmy ten zarzut w sądzie. Sąd zarzutu nie rozpatrzył.
4. Media relacjonowały proces w sposób stronniczy.
5. System sądowniczy został wprowadzony na Pitcairn dopiero po sformułowaniu zarzutów wobec mężczyzn.
6. Prowadzący śledztwo przyznał, że chciał upić wyspiarza, zanim go przesłuchał.
7. Zeznania są nieprawdziwe, niektóre łatwo podważyć. Jeden z mężczyzn miał gwałcić dziewczynkę na Pitcairn, a tymczasem przebywał wtedy w Nowej Zelandii.

Jeśli chcesz, by sprawiedliwość triumfowała, wnieś wkład do naszej sprawy. Dziękujemy za wszelką pomoc w godzinie wielkiej próby. Wierzymy w zwycięstwo”.

List podpisało dwadzieścia jeden kobiet. Tajna Rada Jej Królewskiej Mości zbadała konstytucyjność procesu i ostatecznie podtrzymała orzeczenie sądów niższych instancji.

– Ten werdykt to był gwałt na naszej społeczności. Londyn nigdy oficjalnie nie zgłosił roszczeń do wyspy. Nowozelandzki sąd na Pitcairn przesłuchał jeszcze Carla i jego żonę Annis. Oboje zeznali, że odkąd pamiętają, wyspa należała do Wielkiej Brytanii. Podpisali na nas wyrok. Niektórzy mieszkańcy zaczęli się mścić na Carlu i Obcych.

– Dasz Obcym grunt i nim się obejrzysz, zaczną się odgradzać. A żądania mają jak koty, które żyją pod twoim progiem – mówi młody mężczyzna, poplecznik Bucka, głowa wciśnięta w barczyste ramiona. – Są wrogami naszej wspólnoty.

Wspólnota – dziś to tylko nieufne twarze, smutni ludzie gryzący orzeszki w Dniu Urodzin Królowej. Wszystko to poplątane i powikłane – problem wydaje się niemożliwy do rozwiązania. Wyspa nie przetrwa bez Obcych, tak jak nie przetrwa bez skazanych mężczyzn. Ścierają się dwie opinie: jedni uważają, że nie należy szukać pomocy na zewnątrz. Mówią, że czas zagoi rany, więc trzeba czekać. Na co czekać? Ile czekać? – pytają inni. Oni chcą działać, resocjalizować, już teraz. Mówią, że bez brytyjskich policjan-

tów i terapeutów wyspie grozi powtórny koszmar. Jedni i drudzy są zdania, że przeszłość należy oddzielić grubą kreską. Zgwałcone kobiety, które zbiegły do Nowej Zelandii i które wciąż boją się wrócić na wyspę, to efekt uboczny, to ofiary grubej kreski. Obcy i Judasze, którzy pozostali na wyspie, także płacą wysoką cenę – teraz każda rozmowa jest jak budowanie strategii, nieczysta polityka: Poprę cię w sprawie przywłaszczenia ziemi, a ty daj słowo, że zostawisz mnie w spokoju. Albo: Wiem, jestem Obcy, ale czy zajrzysz do mnie na obiad? Gang zobaczy, że chcę się z wami ułożyć.

Tyle tu zaszczucia i nieufności. Każdy jest z kimś przeciw komuś. Nikt już wprawdzie nie biega z maczetą, nie gwałci, ale wojna nie polega tylko na gwałtach i walce. To także widoczna gotowość, wyczekiwanie ataku, kiedy nie ma pewności. W takim stanie człowiek nie myśli o pracy, o budowaniu, bo owoc pracy jest niepewny. Wyspiarze już nie chodzą tak często na ryby, nie hodują kóz. Zupełnie inaczej to wygląda na fotografiach, którymi dzielą się ze światem, z każdym, kto chce wiedzieć, jak jest na Pitcairn.

Pierwsza: Harvey naprawia łódź. Obok sześcioletnia córka Harveya, Abigail. Szura brzuchem po ziemi, patrzy z ufnością na ojca: „Ukochaj mnie, tato”. Wygląda na to, że Harvey spojrzy opiekuńczo spod krzaczastych brwi.

Druga fotografia: Elsa, najstarsza wyspiarka, prowadzi za rękę najmłodszą – Abigail: „Jestem, żebyś nie upadła”.

Kolejna: trzy pokolenia uśmiechniętych Watkinsów; rodzeństwo w mundurkach; rodziców wywiało, ale stoją dumni dziadkowie i prababka. Podpis: „Watkinsowie najbardziej cenią czas spędzony w gronie najbliższych”.

Wertuję dziesiątki fotografii – na każdej uśmiechnięte dziecko lub zatroskany opiekun, jakby prowadzili kampanię przytułku dla sierot.

Okładka książki wydawnictwa Oxford: majestat Pitcairn, uśpiony ocean, palmy, błękit nieba – opatrzone tytułem: *Sprawiedliwość, prawowitość, rządy prawa* (tytuł umieszczony wysoko w chmurach).

– Po procesach wyspiarze musieli od nowa budować wizerunek wyspy. Wiedzieli, że gwałty mogą spłoszyć turystów – tłumaczy antropolożka, która spędziła na Pitcairn dwa lata. – Ale to coś więcej. To życzeniowość.

Niektóre zmiany rzeczywiście nie są fasadowe. Teraz każdy może zdobyć uprawnienia sternika i operatora koparki. Skończyła się praktyka „fuchy dla Chłopców”, a procedura zatrudnienia jest przejrzysta. Czternaścioro

wyspiarzy zgłosiło się na kurs żeglarski, w tym Obcy i Judasze. William Hastings został radnym. Lu – głównym księgowym.

Zaraz po tym, jak Buck trafił do więzienia, wróciła jedna z ofiar. Kobieta zna się na medycynie alternatywnej i akupunkturze. Otworzyła gabinet odnowy biologicznej. Czasem jeszcze ktoś ją wyzwie, część mieszkańców wciąż omija szerokim łukiem.

Wyspa rozrosła się z czterdziestu do sześćdziesięciu ośmiu osób. Żyje tu piętnaścioro emigrantów: dwoje pracowników socjalnych, pastor, lekarz, ich postępowe żony, nauczycielka z mężem, brytyjsko-amerykańskie małżeństwo, pracownica banku i księgowy. Policjantem jest emerytowany funkcjonariusz z Nowej Zelandii Ricky Stern.

Spotkania rządowe na linii Pitcairn – Nowa Zelandia odbywają się raz w miesiącu za pośrednictwem łącza satelitarnego. W 2006 roku rząd brytyjski dał pieniądze na nową szkołę. Pitcairneńczycy mają też dostęp do internetu, odbierają CNN. Zbudowali nawet falochron, dzięki czemu mniejsze łodzie mogą cumować wokół wyspy. Koszt inwestycji przekroczył trzynaście milionów dolarów nowozelandzkich. Kolejne pięć milionów przeznaczono na przystosowanie drogi do jazdy po Wzgórzu Mozołu. Sprowadzono też buldożer i skałołamacz – półtora miliona dolarów.

– Dostaliśmy drogie prezenty od Brytyjczyków. W zamian chcieli, byśmy wybrali Edwarda „Ciasteczko” Watkinsa na burmistrza – tłumaczy Wyspiarz.

Patrzę na cyfry – rząd w Londynie pompuje w Pitcairn około półtora miliona funtów rocznie. Tyle pieniędzy dla pięćdziesięciorga osadników? Żadne społeczeństwo na świecie nie dostaje takich funduszy. Odkąd świat dowiedział się o gwałtach, Wielka Brytania nie ma jednak wyboru. Musi zadbać o bezpieczeństwo na wyspie. Pitcairneńczykom przyglądają się brytyjscy dyplomaci i organizacje pozarządowe.

Dlatego wyspa stroi się dla nich i dla turystów: zainwestowano w muzeum i ekoszlak, można obserwować rzadkie odmiany roślin, niektóre nie mają jeszcze nazw. Pitcairneńczycy oferują wycieczki na bezludne wyspy Henderson i Oeno, dzięki niskoprocentowym pożyczkom brytyjskiego rządu budują domy gościnne.

Ruszył eksport. Pitcairneński miód trafia do Nowej Zelandii, Japonii i Europy, w tym na Queen’s Grocery w Londynie i do Polski. Lu mówi

o trzykrotnym wzroście produkcji, a będzie jeszcze lepiej, jeśli Pitcairneńczycy zainwestują w prom. Pomóc miałaby Unia Europejska.

– Z całą pewnością nie powstanie lotnisko. Zbyt drogie, a w dalszej perspektywie nierentowne – tłumaczy Donna. – Przy silnym wietrze samoloty z Mangarevy nie mogłyby tankować po drodze. Inna sprawa, że nie przewoziłyby tylu towarów co statek.

Problem gwałtów trochę przycichł. Ruszyła machina propagandy, która działa skutecznie. Gwałty coraz częściej nazywa się zakorzenioną w polinezyjskiej kulturze rozwiązłością albo swobodą seksualną. Brytyjskie i nowozelandzkie gazety znów piszą o legendarnych potomkach buntowników z Bounty. I o tym, że nastało nowe. Bo w zachodnim sposobie myślenia ważne jest nowe. Człowiek bombardowany jest przekazem, że nowe jest lepsze. Ogląda wiadomości, czyta depesze: powołano nowy rząd, nowy przywódca szansą na ład. Ten, kto wprowadza nowe, zyskuje czas. Krytyczny umysł tępieje, człowiek nie wierzy w wyższość nowego, ale nie może z nim dyskutować, podważyć go. Więc czeka, aż nowe zawiedzie.

– Wizyty komisji rządowych, panele dyskusyjne o prawach człowieka to mydlenie oczu opinii publicznej, kosztowne wakacje dla brytyjskich urzędników, którzy po cichu przyznają, że nic się nie zmieni – tłumaczy antropolożka, która przez dwa lata przyglądała się życiu Pitcairneńczyków. – Rząd nie pytał zgwałconych kobiet o ich potrzeby. Odmówił wypłaty odszkodowań. Ludzie zostali pozostawieni sami sobie. Drugi raz nie zaufają światu, nie opowiedzą o swoich krzywdach.

Antropolożka nazywa brytyjską politykę wobec Pitcairn obłudną i skorumpowaną:

– Mieli sto lat, żeby zaprowadzić porządek na wyspie. Dlaczego nie zrobili tego wcześniej?

* * *

15 października 1940 roku:

„Pitcairneńskie Biuro Pocztowe rozpoczęło działalność, a Roy Clark został wybrany na poczmistrza. Fred i Myrtle Ward przygotowali specjalnie udekorowaną serię znaczków, która zostanie wysłana królowej Elżbiecie i księżniczce Małgorzacie. Pierwsza seria sprzedała się na pniu. Kiedy

skończył się zapas papieru, wyprodukowaliśmy nowy, z drzewa kokosowego”.

11 listopada 1940 roku:

„Zacumował statek Rimutaka III. Na pokładzie pięciuset pasażerów – obywatele brytyjscy, ewakuowani z bombardowanego Londynu. Wśród nich dziesięcioletni John Mawhood. Młodzieniec wyznał, że fascynują go losy buntowników i kapitana Bligha”.

Tylko w ostatnich dwudziestu latach na wyspę zawinęło ponad sto statków i okrętów. Każdy mógł być okiem świata. Nikt niczego nie dostrzegł. Dlaczego?

* * *

Dzienniki portowe odnotowują też dramaty:

Angielski nauczyciel Walter Petsch przypłynął na wyspę w 1903 roku za żoną Pitcairnenką. Po dwóch latach Maude Padgett niespodziewanie zmarła. Siostry Padgett mówiły, że przyłapała swojego Waltera na stosunku z uczennicą i pękło jej serce. Petsch nakarmił żonę potłuczonym szkłem, a następnie otruł. Od pochówku nie minęło pięć tygodni, a ożenił się powtórnie.

„W 1934 roku, w dzień poprzedzający Wigilię, mąż pobił żonę do nieprzytomności” – zanotował Harry Shapiro, amerykański antropolog, który przebywał w tym czasie na wyspie.

Była jeszcze Myrtle Watkins, pierwsza żona Alwyna. Zmarła z czarną, posiniaczoną szyją.

– Mężczyźni, którzy bili żony, czasem szli na noc do więzienia, by ochłonąć. Czasem sąsiedzi udzielali im reprymendy – opowiada Wyspiarz. – Kobiety wyrzucały ich za drzwi, ale wracali.

Potem już nic, harmonia. Raptem jedna aborcja w 1940 roku, jeden rozwód osiemnaście lat później i próba włamania na początku lat siedemdziesiątych.

Dlaczego Brytyjczycy uwierzyli w idyllę na wyspie?

Najstarszy brat Bucka Fletcher – nazwany na cześć przywódcy buntowników – do samej śmierci nie przyznał się do zarzutów. Miał obezwładnić dwie sześcioletnie dziewczynki i zgwałcić.

Syn burmistrza Pervisa Daryl Padgett przytrzymywał Kelly, kiedy obmacywali ją Buck i Brayden. Nie został skazany, bo w chwili napaści miał jedenaście lat. Wszyscy trzej zaprzeczyli, że brali udział w zdarzeniu.

Według Braydena co najmniej dwóch mężczyzn wykorzystało seksualnie czterech chłopców. Winy nie udowodniono.

Nowozelandka Karen Vaughan zapytała wyspiarkę, która sprzeciwiała się procesom:

– Urodziłaś dziecko w wieku dwunastu lat. Naprawdę mogłaś już uprawiać seks?

– Nie przygotowałaś się do rozmowy, co? To moje drugie dziecko. Pierwsze zmarło.

Ze śledztwa wynika, że dziewczynki były gwałcone przez braci, wujków i dziadków, ale nigdy przez ojców. To ostatnia granica. Pięciolatki utożsamiały gwałt ze słowem „podejdź”. Ktoś mówił: „Podejdź”, a one w płacz. Inicjacja seksualna następowała bardzo wcześnie i obejmowała wielu partnerów. Dzieci z romansów były akceptowane i przyjmowały nazwisko męża swej matki. Jeden Pitcairneńczyk opowiada, że pewna bezpłodna para otrzymała dziecko w prezencie ślubnym.

Od zawsze istniało przyzwolenie na niekonwencjonalne łączenie się w pary, mówi kto inny. Mężczyzna koło czterdziestki miał romans z ciotką. Kolejny usynowił chłopca, którego spłodził syn jego siostry.

W latach pięćdziesiątych jedna z wyspiarek za zgodą swojego męża odbywała regularne stosunki z wdowcem. Wdowiec jadał z nimi obiady.

To był czas, kiedy seks nie był jeszcze tematem tabu, a dzieciom pozwalano podpatrywać życie intymne rodziców. Jednej nocy do mamy przychodził tata, innym razem zjawiał się stryj. Pięciolatki naśladowały ich zachowania: rozbierały się i dotykały nawzajem. Kathy Marks podaje, że siedmioletnia dziewczynka bawiła się ciałem rówieśnika. Następnego dnia zainteresował ją kolejny chłopiec.

Zdaniem psychologów dziewczęta zostały nauczone zachowań perwersyjnych. Dwunaste urodziny były w ich świadomości granicą utraty dziewictwa.

Ta dojrzała kobieta, która przeklinała oskarżyciela publicznego Moore’a na czym świat stoi, została wykorzystana przez dużo starszego mężczyznę zaraz po ósmych urodzinach. Kilka lat później ponownie. To był bolesny gwałt, ciało goiło się tygodniami. Za miesiąc gwałt się powtórzył. Tym ra-

zem nie opierała się, a śledczym wyznała nawet, że sprawiło jej to przyjemność.

Wyspiarz mówi:

– Nie wiem kiedy, ale uwierzyliśmy, że wolno nam wszystko.

* * *

Alta zaśmiewała bezradność. Mąż bił równo, po kilkunastu uderzeniach kijem przestawała słyszeć i czuć. Czasem uciekała do aresztu, błagała policjanta, by ją zamknął na kilka godzin albo dzień. Odmawiał, więc Alta w śmiech. Próbowała wydostać się z Pitcairn, ale Rada Wyspy zakazała wyjazdu. Mężczyźni pilnowali, by nie przekradła się na pokład. W końcu zbiegła do Nowej Zelandii. Tam zrobiła badanie lekarskie. Diagnoza: tętniak, za późno – sześć miesięcy życia. Więc Alta w śmiech.

Vanda była drobna, smukła. Miała piętnaście lat, kiedy poroniła. Dziecko nie mieściło się w ciele matki. Po pięciu dniach zmarła.

Zaciągnął ją kuzyn Clive, przezwisko – „Rozpłodowiec”. Trzy miesiące więzienia.

Floyd Thomson był pierwszym policjantem na wyspie. Uczciwy, sumienny, może dlatego znienawidzony. Kiedy złamał nogę, odwiedzał go jedynie pastor. Thomson bał się „przypadkowej” śmierci. Zmarł w 1963 roku. Jego następca Vernon Padgett patrolował wieczorami ulice. Zaglądał do okien i sprawdzał, czy mężczyźni wrócili do domów. Miało to sprzyjać życiu rodzinnemu. Z notatek policyjnych wynika, że wracali.

Lata trzydzieste. Jedenastoletnia Lisa została zgwałcona po tym, jak wyszła z sobotniego nabożeństwa i spotkała Aliego. Po wszystkim pobiegła do pastora i jego żony. Pastorowa obmyła ją z krwi i powiedziała:

– To twoja wina. Przyszłaś do kościoła w kusej sukience.

Sześć lat później Lisa uciekła do Nowej Zelandii. Wyszła za mąż, ale nie miała dzieci. W osiemdziesiąte urodziny opowiedziała historię bratu.

– Mąż nie wiedział. Domyślał się, ale nie odważyłam się, by i jemu wyznać prawdę – zwierzyła się na kilka miesięcy przed śmiercią dziennikarce Kathy Marks.

Lata siedemdziesiąte. Żona australijskiego pastora prasowała koszule męża. Co rusz spoglądała na sześcioletnią córkę i jej kolegę. Udawali stosunek.

Nowozelandka, która wyszła za Pitcairneńczyka, sporządziła listę nazwisk mężczyzn, z którymi nie wolno zostawiać dzieci. Linijka pod linijką, prawie wszyscy dorośli mężczyźni na wyspie.

Inna Nowozelandka przypłynęła na Pitcairn w 1996 roku razem z mężem, który otrzymał posadę nauczyciela. Odesłali córkę tam, skąd przyjechali. Bali się.

Albert R., nauczyciel i doradca brytyjski, sadysta. Przypłynął na wyspę w 1954 roku z żoną i synem. Pani R. dostawała torsji, kiedy Albert podnosił rękę, żeby podrapać się po głowie. Pod pretekstem korepetycji odwiedził trzynastoletnią uczennicę w jej domu i ją zgwałcił. Rok później powtórzył to na tyłach szkoły. Rada Wyspy deportowała go dopiero w 1969 roku, kiedy dał się nakryć z kilkunastoletnim chłopcem.

Nowozelandzcy nauczyciele i pastorowie byli szkoleni przed przyjazdem na Pitcairn, jak rozpoznać ofiary gwałtu. Żony pastorów były wykwalifikowanymi pielęgniarkami. A mimo to Kościół Adwentystów Dnia Siódmego w Sydney jeszcze w 2010 roku utrzymywał: „Nie docierały do nas żadne niepokojące sygnały. Wskazywaliśmy Pitcairn jako przykład chrześcijaństwa”.

* * *

Amerykański socjolog Harry Shapiro dotarł do dokumentów, z których wynika, że w 1927 roku pasażer statku Rotorua poinformował burmistrza Richarda Nelsona o napaści seksualnej na Pitcairn, a gdy ten zignorował doniesienie, zgłosił sprawę władzom Fidżi. Śledztwo umorzono. W 1942 roku pastor Frederick Ward, który przez kilka tygodni wizytował wyspę, powiadomił po powrocie Kościół w Sydney, a także władze brytyjskie o serii gwałtów na kilkunastoletnich dziewczynkach. Prokuratorzy nie zareagowali na zawiadomienie o aborcjach, którym poddawały się dziewczynki poniżej trzynastego roku życia. Miały prostytuować się na statkach (Pitcairneńczycy zaprzeczają). Z gazet wynika, że dla Brytyjczyków palącą kwestię stanowił wówczas nielegalny wywóz drzewa kokosowego z Pitcairn.

Richard Fell, niegdyś brytyjski wysoki komisarz w Nowej Zelandii, gubernator Pitcairn w latach 2001–2006: „Wydawali się zdrową społecznością, z Kościołem, z nauczycielami”.

Dziennikarz „Australasian Record” Olivier Stimpson napisał w 1980 roku artykuł z podróży na Pitcairn. Zaczął go od słów: „Jesteś zmęczony wiadomościami o gwałtach i napadach? A gdybyś mógł żyć w miejscu bez zamków w drzwiach. Bez przestępstw i więzień? Tak jest na Pitcairn”.

Pastor Neville Tosen zapytał Lestera Hawkesa i Rexa Cobbina, gubernatorów Pitcairn w latach pięćdziesiątych:

– Dlaczego nie zrobiliście nic z tym problemem?

– Nie mieliśmy dowodów. – Wzruszali ramionami.

Tony Washington, nauczyciel:

– A co ja mogłem zrobić?

Nowozelandka, żona nauczyciela:

– Rozmawialiśmy o tym z mężem, ale uznaliśmy, że interwencja zniszczy komunę.

W 1990 roku wysoki komisarz sir Robin Byatt, który przybył z wizytą na Pitcairn, pogratulował burmistrzowi rządów prawa. Burmistrzem był Brayden.

– Jedni i drudzy to hipokryci – zauważa amerykański antropolog, który spędził na wyspie wiele miesięcy i prosi o anonimowość. – Jedni i drudzy potępiają, gdy ktoś ukradnie owoc z drzewa albo gdy się znęca nad kotem. O gwałtach milczeli.

* * *

Rok 1971. Wyspę odwiedza książę Filip. To pierwsza i jedyna wizyta przedstawiciela rodziny królewskiej na Pitcairn. Panuje atmosfera święta, brytyjskie flagi powiewają przed domami, wyspiarze stawiają w oknach portrety królowej.

Tylko Ali poci się ze strachu. W salonie wisi portret królowej z pomazanymi na czarno zębami. Gość miał odwiedzić inny dom, ale nagle Ali dowiedział się, że wstąpi do niego.

Książę przypatruje się wizerunkowi królowej, rozciąga policzki w uśmiechu i obraca sprawę w żart: „Nie sądziłem, że moja żona ma tak widoczne ubytki”.

Ali rechocze jak nigdy.

Książę jeszcze przez zejściem na ląd otrzymał notatkę o każdym z mieszkańców: „Ali i jego żona Laura to urocza para, która trzyma się z dala od głównego nurtu życia na Pitcairn”.

Laura jest pielęgniarką. Przypłynęła na wyspę w 1946 roku z Wysp Salomona, gdzie odznaczono ją za udział w akcji humanitarnej.

– Ponad wszystko kocham dzieci, Wasza Wysokość – wyznaje Laura podczas krótkiej kurtuazyjnej rozmowy.

– To ważne. Dzieci są przyszłością – odpowiada książę.

Rozmowa trwała zbyt krótko, by poznać się bliżej, wspominała później Laura. Książę Filip odpłynął, a oni wrócili do normalnego życia.

Małżeństwo organizowało podwieczorki dla dziewczynek, pięcio-, sześcio- i siedmioletnich. Laura piekła ciasto marchewkowe, częstowała orzechami. Stała przy zaciągniętej kotarze, kiedy Ali rozpinał im spódniczki. Potem realizowała własną fantazję: prosiła dzieci, by nie odwracały wzroku, jak klęka przed Alim, rozpuszcza włosy i rozpina mu rozporek.

Wyspiarz:

– Cóż to była za suka! Daj mi, Boże, jej zdrowie! Przesiadywała na ganku, przeglądała pornosy. I to z osiemdziesiątką na karku!

* * *

Burmistrz Pervis Padgett przejawiał słabość do kazuistyki: „Diabeł najbardziej chce dobrać się do tych, którzy idą za Chrystusem. Im bardziej chcesz być dobry, tym bardziej stajesz się zły”. Nie przyznał się do stawianych zarzutów. Zmarł przed procesem.

Tak jak Ali i Laura. Kary uniknęli też Clinton Wood, Albert Padgett, Cairn Nelson, wieloletni sekretarz wyspy Andrew Padgett i Oscar Taylor, poczmistrz.

Największe przerażenie budził jednak Richie, ksywa „Psychol”. Każda wyspiarka z połowy XX wieku ma podobno swoją historię z „Psycholem”. Mówią, że gwałcił do końca życia, a żył osiemdziesiąt lat.

– Zapamiętałem obrazek. – Wyspiarz drapie się po nosie. – Richie ściska pod pachą kurę, tak że ta przestaje się szamotać.

Richie był kleptomanem, miewał ataki furii. Wdawał się w bójki, nie do zniesienia dla co wrażliwszych oczu. Miał trafić do szpitala psychiatryczne-

go na Fidżi, ale zaopiekowała się nim najbliższa rodzina – Ali i Laura, małżeństwo od podwieczorków. Czasem pomieszkiwali razem.

– Richie brał mnie, kiedy chciał, bez pytania. Inni też. Do pięćdziesiątego roku życia zostałam wykorzystana przez dwunastu mężczyzn – zeznała przed sądem Kelly. – Doszło do tego, że ukrywałam się za drzewem i czekałam na kolejnego chłopaka, który podejdzie.

Za jej krzywdy skazani zostali tylko Buck i Atkins.

Jeden z wyspiarzy zgwałcił Kelly w ramach zakładu. Po latach, przed śmiercią, szukał odkupienia w nawróceniu i modlitwie. Wysłał jej list z prośbą o wybaczenie, ale podarła go i wrzuciła do ognia. Miała wyszeptać: „Spłoń w piekle”.

Wizerunki mężczyzn, którzy nie zdążyli na proces, wiszą teraz na ścianach, na portretach i fotografiach. Dumni, weseli, pośród swoich bliskich. Co jakiś czas zbiera się na nich kurz, który skwapliwie usuwa ktoś z rodziny.

– Ludzie chcą pamiętać dobro – mówi Wyspiarz.

* * *

George Fergusson, gubernator Pitcairn w latach 2006–2010:

– Chciałbym, żeby w najbliższym czasie liczba mieszkańców wzrosła do siedemdziesięciorga–dziewięćdziesięciorga, z dziesięciorgiem uczniów w szkole.

Tylko tak, zdaniem zagranicznych obserwatorów i organizacji pozarządowych, można na nowo zapewnić wyspiarzom bezpieczeństwo.

Peter George, prowadzący śledztwo na Pitcairn:

– Jeśli wycofamy policję i pracowników socjalnych, sprawa molestowania wróci za pięć–dziesięć lat.

Pracownik socjalny:

– Nie sądzę, by następne przypadki molestowania wyszły na jaw. Dzieci nie powiedzą. Nie po tym, jak zareagowała społeczność.

* * *

Jeśli prześledzimy historię Wielkiej Brytanii w XX wieku, to szybko znajdziemy wytłumaczenie dla znikomego zainteresowania „polinezyjskimi

zwyczajami”. Kolejne rządy w Londynie miały poważniejsze zmartwienia: dwie wojny światowe, przyszłość dominiów brytyjskich (Kanada, Australia, Nowa Zelandia), Falklandy, kryzys ekonomiczny na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, wreszcie Kuwejt czy Irak.

Czym wobec tak palących spraw była „awanturka” na odległej wyspie, o której prawie nikt nie słyszał, na którą prawie nikt nie dotarł?

Ale być może brak zainteresowania Londynu miał jeszcze jedno podłoże.

Jak zauważa Marc Roche, francuski dziennikarz specjalizujący się w dziejach monarchii brytyjskiej, Królowa Matka (która wywarła znaczący wpływ na światopogląd Elżbiety II) miała niechętny stosunek do zatrudniania mniejszości etnicznych w Pałacu. Przez długi czas ukrywała też fakt, który wyszedł na jaw dopiero w latach siedemdziesiątych: jej dwie siostrzenice oddano do szpitala psychiatrycznego, gdzie żyły w zapomnieniu.

Marc Roche o relacji królowej z siostrzenicami: „Ten królewski brak zainteresowania wynikał z wiktoriańskiego zwyczaju ukrywania dzieci niedorozwiniętych”.

* * *

– Brytyjczyk to najeźdźca, okupant, wyzyskiwacz – mówi przez zęby Moe, wyspiarz od „jabłek”. Na co dzień wykonuje drobne prace ogrodowe. Pensję płaci mu rząd w Londynie: dwieście dolarów nowozelandzkich. Tyle też zarabia Pennie w sklepie, Jane w banku i policjantka Donna. Dwa tysiące czterysta dolarów w roku.

Burmistrz Edward „Ciasteczko” dostaje więcej, sześć tysięcy. A nauczycielka, tylko dlatego, że jest Nowozelandką – siedemdziesiąt tysięcy.

Drugi policjant, także Nowozelandczyk, pełni te same obowiązki co Donna – siedemdziesiąt pięć tysięcy.

Val, Pitcairnenka, jest wykwalifikowaną farmaceutką. Jej roczna pensja to około sześciu tysięcy dolarów. Lekarza z Kanady – około dwustu tysięcy.

Moe patrzy daleko w ocean:

– Dymał nas Bligh, dymał Blair, teraz dyma Cameron. – Spoglądamy w martwy horyzont, bez choćby jednego żagla: – Królowa nigdy nie przypłynie.

* * *

Rok 2010. Rzecznik Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego w Sydney, cytowany przez australijską dziennikarkę Kathy Marks: „TO JUŻ NIE JEST WYSPA ADWENTYSTÓW”.

9

Skały – jedne śliskie, wypolerowane, inne pokryte wodorostami i trawą morską. Gdzieniegdzie czarniejące głazy. Z rozpadlin wyfruwa ptactwo: albatrosy i petrele. Ptaki wodne mają długie szpiczaste dzioby, polują na ryby. Upierzenie białe, błyszczące. Inne kołują nad wyspą w poszukiwaniu gekonów. Huk morskich bałwanów rozbijających się o brzeg układa się w rytmiczną melodię. Spienione fale, wodne góry. Siadam w cieniu skały, nad urwiskiem. Może być i pięćdziesiąt metrów w dół. To tu kuśtykający Buck spuścił kamień na oczach wystraszonego człowieka.

Zimowa słota, kozioł znieruchomiał nad groblą. Dokoła gołe wzgórza, nie ma żywego ducha. Nieopodal jest Jaskinia Fletchera – dość wygodny pokój skalny porośnięty suchym mchem. Przywódca buntowników z Bounty nie wychodził z niej przez całe tygodnie. Obserwował morze, ze strachu przed karą i w nadziei na karę. Teraz pielgrzymują tu entuzjaści pirackich sag, a Pitcairneńczycy zdają sobie sprawę, że są częścią romantycznej historii. Żyją z niej.

Markus, sześćdziesiąt pięć lat, profesor matematyki na Uniwersytecie w Zurychu, dwa lata oszczędzał, by wyruszyć na Pitcairn. Teraz zatrzymuje się przed załomkiem skały, przy której posilał się Fletcher.

– To tu. Boże, to tu! – Próbuje znaleźć u mnie porozumiewawcze spojrzenie. Przysiada z wrażenia na zmurszałym pniu, bierze głębszy oddech. – Co on jadł? Tam, w szczelinach, pochowały się kraby, ostrygi lepią się do skał – rozmawia sam ze sobą.

– Nie ciąży ci historia tej wyspy? – pytam.

– Masz na myśli rozrachunki buntowników z Tahitańczykami?

– Mam na myśli gwałty i niepotrzebne śmierci.

– To nie nasza sprawa. Uwarunkowania kulturowe. Tu żyją dobrzy ludzie. Brayden zabrał mnie na przejażdżkę po Wzgórzu Mozołu, pięknie opowiadał o przyrodzie.

* * *

Dziś niewiele się dzieje. Może znów niektórzy pójdą popływać, popalą papierosy na Łysym Polu. Nuda codzienności, jak się od niej uwolnić? U Harveya jest stół bilardowy; dziesiąte zwycięstwo cieszy mniej niż pierwsze. A potem przestają liczyć, myślą, jak wiać. Ta potargana dziewczyna o uśpionym spojrzeniu ma na imię Ginger, dwadzieścia lat. Palimy papierosy na drodze, mówi, że wygrała z Harveyem tysiąc razy.

Bart ma trzynaście lat, ciekawi go cudzoziemiec, od razu mu się zwierza:

– Tylko raz widziałem samolot, dwupłatowiec. Kiedy krążył nad wyspą, nie myślałem o niczym innym. To był najpiękniejszy dzień mojego życia.

Pytam, czy lubi patrzeć w niebo.

Mówi, że częściej patrzy pod nogi, bo wszędzie dziury i śliskie błoto. Można połamać żebra.

Pokazuje swój dom: porośnięty gąszczem, zaniedbany. W ogrodzie hibiskus i pięć drzew bananowca. Część domu zbudował jego dziadek, część tata po ślubie. Od cysterny wychodzi umywalka: można się napić albo ob-

myć stopy z mułu. Tylko szczoteczki do zębów i pędzel do golenia – tu nie ma miejsca na szaleństwo.

Chodzimy po pokojach, śmierdzi działkową pościelą. Łopata do gnoju i kominek, w którym rozpala się starymi numerami „National Geographic". Trochę bambusa. Matka Barta plecie kosz. Mówi, że chce dwadzieścia dolarów, ale sprzeda za pięć.

Trzynastolatek, wyraźnie podniecony tym, że pytam, że się nim interesuję, znika nagle, staje na kalenicy dachu i krzyczy:

– Świat jest mój!

Jego brat Rusty ma szesnaście lat i już wie, że od świata woli uciekać. Rachityczny, przygarbiony, nie zdejmuje słuchawek z uszu. Mówi:

– Buddy Williams jest najlepszym piosenkarzem na świecie.

– Ile masz płyt?

– Dwie.

– A druga?

– Buddy Williams, australijski piosenkarz country.

Innym razem pytam Elsę, która ma osiemdziesiąt dwa lata i nigdy nie opuściła wyspy:

– Nie gnało cię za ocean?

– Nie gnało. Tu jest wszystko.

Na placu Głównym jest biblioteka. Czynna we wtorki i czwartki przez pół godziny. Książki podpisane imionami bądź inicjałami właścicieli, w każdym razie bez nazwisk. Proza marynistyczna, romanse, kult Bounty.

– Kto decyduje o sprowadzanych tytułach? – pytam bibliotekarkę.

– Wszyscy, według potrzeb.

W soboty po osiemnastej jest kino. William Hastings, drugi Anglik, ma pokaźną kolekcję płyt. Jeszcze niedawno filmy trafiały najpierw do kancelarii parafialnej. Pastor decydował, co dorosły Pitcairneńczyk może, a czego nie może oglądać.

– Chodziło o to, by nie pokazywać im treści szkodliwych – tłumaczy pastor, przebiera dłońmi, wyraźnie skrępowany rozmową. – Mam na myśli (tu robi pauzę) seks (znów pauza), goliznę, bijatyki i strzelaniny. Po co im to?

– Czyli *Titanica* nie widzieli? – pytam.

– Widzieli, ale później.

William prycha:

– Potem pastor odpuścił.

William jest hipisem, dobija pięćdziesiątki i „nie wierzy nikomu po trzydziestce”. Bardziej dziwi to, że ma ambicje polityczne – ale na razie tego nie wiem; wiem, że teraz on decyduje o repertuarze:

– Mam poczucie misji.

Sobota, godzina osiemnasta. Wyspiarze gromadzą się w budynku, gdzie dwa razy w tygodniu odbywają się sesje Rady Wyspy i gdzie sądzono Pitcairneńczyków. Tam na ścianie wisiała flaga Union Jack, teraz wisi wielka plazma.

Na sali dorośli i dzieci: razem osiemnaścioro. Każdy przyniósł coś do pochrupania i popicia. Bart lubi mirindę orange, jego ojciec piwo James Squire („Nie używamy alkoholu ani mocnej kawy”).

Gwar powoli milknie, a William aż rwie się do mówienia:

– Kochani, tego filmu nie widzieliście od bodaj pięciu lat, a myślę sobie, że dobrze będzie, jak go sobie, w s z y s c y, przypomnimy. Chciałbym, byście zwrócili uwagę na relację rodzinną ukazaną w filmie. Jak rodzina, na początku nieco skłócona, wspólnym wysiłkiem wychodzi z tarapatów. Chciałbym, byście przemyśleli, jak ważna jest rola ojca w rodzinie, rola matki, lecz także dzieci. I że na ludziach s p o z a r o d z i n y, co bardzo dobrze widać na filmie, także można polegać. Już za minutę wyświetlę disnejowski film pod tytułem *Szwajcarska rodzina Robinsonów*.

Szmery, westchnienia, głosy rozczarowania. Ktoś szepnął: „Co on wie o dzieciach, przecież ich z Marthą nie mają”.

Wszyscy jednak karnie oglądają.

(„Rodzina Robinsonów – napisał producent filmu – wyrusza w rejs jachtem do Nowej Gwinei. Morska podróż zachwyca zwłaszcza dzieci. Wkrótce ich jacht ulega uszkodzeniu. Dryfując po bezkresnym morzu, Robinsonowie cudem ratują życie i lądują na bezludnej wyspie. Czeka ich szkoła przetrwania. Budują domek na drzewie i powoli uczą się, jak żyć w nieprzyjaznej dżungli. Przemierzając dzikie zakamarki wyspy, pewnego dnia natykają się na piratów”).

Po projekcji wyłapuję zdania:

– Piękny film, mądry film. William dobrze wybrał.

– Może ten film umocni nas jako wspólnotę?

– Nie wiedziałam, że lwy żyją w tropikach.

– William mógłby nas poprowadzić.

* * *

Bart miał dziesięć lat, kiedy dostał rower z licznikiem. Przejechał dziesięć tysięcy kilometrów. Wszystkie drogi na wyspie liczą w sumie niewiele ponad cztery kilometry.

Nauczył się zjeżdżać z zamkniętymi oczami. Liczy do jedenastu i skręca w prawo. Potem do czterech i w lewo. Co wprawi go jeszcze w zdziwienie?

Abigail ma sześć lat; naśladuje kłus konia.

– Marzę, żeby zobaczyć konia na żywo.

W połowie lat sześćdziesiątych Christy Watkins sprowadził pierwszy motocykl, dwucylindrową hondę. Maszyna zrobiła furorę – cztery lata później jeździło już trzydzieści hond, wszystkie czerwone, pomarańczowe i żółte. Z czasem wymarły konie.

Spoglądam na fotografię: motocykle zaparkowane na przecięciu dwóch ścieżek. Wyspiarze wymachują pięściami, żartobliwie. Podpis: „Pierwszy korek na Pitcairn”.

– Kiedy przypływał statek, kapitan zostawiał nam gazety. I z tych gazet uczyliśmy się waszego świata – mówi Atkins.

Z biegiem lat motory wymieniono na quady. Dwuślady nie przewracają się na błocie, mniej połamanych nóg, obitych głów. Harvey osiąga na zakręcie i czterdzieści na godzinę. Czasem popije, potem odpali silnik. Nie tylko on – większość Pitcairneńczyków jeździ na rauszu. Jedynym mandatem ukarano Zeldę; sześćdziesiąt dolarów nowozelandzkich. Brytyjska administracja wydała na opłaty sądowe dziesięć tysięcy dolarów.

Obcy, który spędził wiele lat na Pitcairn:

– Najpierw myślisz, że warto zapłacić każdą cenę za sprawiedliwość. Potem się przyglądasz, jak to działa. Po kilku miesiącach wrastasz w ich życie, zaczynasz myśleć jak oni. Zastanawiasz się: „Czym jest sprawiedliwość?”. I jak się ma do pitcairneńskiej sprawiedliwości.

Wyobraź sobie: spadasz z drzewa, łamiesz rękę. Lekarz nastawia, ale popełnia błąd. Ręka źle się zrasta. Co robisz? Skarżysz? Klniesz na niego? Na wyspie nie ma drugiego lekarza.

Pitcairneńczyk przymyka oko.

W połowie drogi między gospodarstwem Bucka a placem Głównym znajduje się jedyny sklep – Spółdzielnia Pitcairn, własność rządu Wielkiej Brytanii. Sklep jest czynny przez godzinę we wtorkowe i piątkowe przed-

południa. Jak zabraknie masła, trzeba prosić Pennie Nelson, żeby otworzyła. Jeśli ma zły humor, czeka się trzy, cztery godziny. Czasem dzień.

Do sklepu przylega taras, na którym wyspiarze dyskutują o cenach. Wartość jest ruchoma, inaczej liczą swoim, inaczej Obcym. Pitcairneńczycy nie mają własnej waluty. Akceptowane są dolary amerykańskie, nowozelandzkie i australijskie, przyjmą też polinezyjskie franki, funty i euro. Pennie przekazuje utarg zaufanemu Pitcairneńczykowi, a ten wymienia go na dolary w Nowej Zelandii. Za proszek do prania można zapłacić po części w dolarach, po części w funtach. Reszta też jest wydawana w kilku walutach. Żeby wyjść na swoje, Kooperatywa dolicza około piętnastu procent do ceny nowozelandzkiej. Tymczasem kompanie handlowe w ramach zapomogi sprzedają im towar bez prowizji. Dwadzieścia lat temu Pitcairneńczycy zostawiali w sklepie (łącznie) około czterystu dolarów amerykańskich rocznie. Teraz ponad tysiąc.

Pennie mówi, że dobrze schodzą makarony, kukurydza, skondensowane mleko i coca-cola.

– Po co jeszcze sięgają ludzie, którzy mają pod bokiem najsłodsze pomarańcze i mandarynki?

– Po brzoskwinie w puszce.

I po wódkę. Przy wejściu stoi regał z alkoholem. Na dziesięć wódek jedno argentyńskie wino. Są jeszcze giny, whisky i bourbon. Kościół Adwentystów wprawdzie zabrania spożywania alkoholu, ale jego głos nie jest tu słuchany. Jeszcze dwadzieścia lat temu tylko Christy Warren trzymał butelkę czerwonego johnnie walkera dla zdrowia. Kiedy pracował w formierni w Nowej Zelandii, zachorował na zapalenie płuc, pluł krwią. Twierdził, że wydobrzał właśnie dzięki whisky.

Teraz piją prawie wszyscy.

– Na trzeźwo stary Christy był jak bezdomny pies – opowiada Moe. – A po butelce otwierał gębę do każdego, jakby zapominał o urazach. Czy ty wiesz, czym jest wykluczenie na Pitcairn? To jest stacja końcowa, gorzej być nie może. Kiedy to sobie uświadomisz, to choćbyś nienawidził wszystkich, chcesz się odezwać, a pomaga ci w tym alkohol. A na marginesie. Co byś zrobił, ile byś przemilczał, żeby zapłacić mniej w sklepie?

* * *

Rozładunek idzie wielką serpentyną, od nabrzeża do Adamstown: worki kartofli i drewniane skrzynie. Ten mięśniak w błyszczącym drelichu zamówił kolekcję kina akcji. Donna czeka na żółty ser, Lu taszczy worek cukru dla pszczół. Każdy dogląda swego, patrzy drugiemu na ręce.

– Córka psa waszą matką jest! Omijacie nas jak trędowatych! – wścieka się na marynarzy mięśniak w drelichu. – Co mi dziś po Tarantino? Obejrzałbym *Niepowstrzymanego*!

– Przez sześć miesięcy rzeczywiście można się rozmyślić, Scott. – Pastor próbuje załagodzić atmosferę. Sam czeka na najświeższe numery miesięcznika misyjnego „Adventist Review”. – Daj szansę Tarantino. Mnie by chyba wciągnął.

– Jak kibel – mówi mięśniak.

Tuż obok Harvey rozmawia z Jane:

– Nie wiem, czy to najlepszy pomysł. Co nam po tosterze, jeśli skończy się zapas pieczywa? Pójdzie do rupieciarni jak ta czapka z szopa?

Kobieta milczy, więc odzywa się William:

– Harvey ma rację. W tym roku marchew była cienka jak palec u dziecięcej ręki. Sporo drzew owocowych pogniło. Jeszcze jeden sezon nieurodzaju i nie będzie czym handlować z marynarzami. My z Marthą zdecydowaliśmy się oszczędzać na zachciankach.

– Idź już, William, pszczoły cię potrzebują – irytuje się kobieta.

– Nie bocz się, znasz mnie, Jane. Nie wtrącam się w wasze małżeńskie sprawy, przyjaźnię się z każdym po równo – łagodzi William.

– Dlatego nic nie mówiłam, kiedy wczoraj korzystałeś z rządowego łącza internetowego w prywatnej sprawie.

– Na każdego coś się znajdzie, Jane.

Łomot. Scott kopie w beczkę z ropą.

– Córka psa wam żreć dawała! Kup tu coś pod wpływem chwili!

Przyglądam się ludziom, wlepiają wzrok w statek. To dojmujące spojrzenie widziałem już w domu starców. Nie wiem, czy oznaczało wolę ucieczki, czy prośbę, by ktoś, kto odjeżdża, został.

Minie doba i Claymore II ruszy dalej, do Auckland albo Panamy. Kto nie zna treści ogłoszeń na tablicy przed sklepem, nie zrozumie tego obrazka: statek wypływa w morze. Dopóki widać go z Przystani, a może trochę dłużej, wyspiarze stoją na brzegu, machają na do widzenia.

Ogłoszenie:

„Claymore II przypłynie już za cztery miesiące. Przygotujcie paczki, które chcecie wysłać rodzinom w Nowej Zelandii. Do końca sierpnia czekamy na wasze listy zakupów”.

Statku już nie ma. Był przez chwilę i znikł. Przez długie tygodnie nikt nie przypłynie na pomoc. A zachoruj na złośliwy nowotwór – śmierć. Złam kręgosłup – śmierć. Morfologię zrób – krew mrozi się w probówce i wysyła do laboratorium na Mangarevie.

– Złapałem jakiegoś syfa. Na wynik czekałem pięć miesięcy – wspomina Wyspiarz.

Zmartwienie Garwooda to przy tym nic. Piec nawalił. Zimna woda przez kwartał.

Komuś zabrakło ropy, komuś padł silnik w quadzie, zastrzyki dla cukrzyków na wyczerpaniu – czekanie na zbawiciela. Może ktoś zboczy z trasy? Może kapitan da się ubłagać?

Cisza na łączach – linie żeglugowe omijają wyspę i gdziekolwiek spojrzysz, tam puste morze.

Wyspiarz mówi:

– Kiedy statek odpływa, robi nam się nieswojo. Myślimy: ja pomogę tobie, ty pomożesz mnie. On to dobry, pożyczył beczkę ropy. My, astmatycy, musimy się trzymać razem. Wdychać z jednego inhalatora. Moja córka jest twoja. Twoja jest moja. Skoro jesteśmy skazani wyłącznie na siebie, tylko my o sobie stanowimy. Nasza ziemia, nasze zasady. Ten zrobił dla wspólnoty najwięcej, zasłużył zatem na szczególne względy. A mężczyzna żyje w napięciu, musi czasem rozpiąć rozporek. Europejczyk nie zrozumie, dopóki nie wsiąknie w życie osady. Europejczyk to wirus, policjant. W najlepszym wypadku bogaty turysta. Wiedzie nudne, wygodne życie, o którym nie da się wiele powiedzieć. Jesteście wy i jesteśmy my; przepaść między nami.

Pitcairneńczycy są ostrożni, więc mówią mało. Patrzą na mnie jak na cyrkową małpę, Europejczyków mają za nic. Bo Europejczycy tylko generują hałas.

Wyspiarze czują się osamotnieni, lecz zarazem nie chcą budować lotniska. Boją się wielkich koncernów wycieczkowych, nazywają je konkwistadorami XXI wieku. Boją się, że zostaną wchłonięci, odarci, że ktoś poprzestawia zegarki i powie: „Odtąd biją dwa razy szybciej”.

Ten bunt i nienawiść do Europejczyków, a zwłaszcza do Brytyjczyków, to walka o własne istnienie. Wyspiarze nie chcą sterylnych ogrodów, gdzie rośliny kwitną za pieniądze.

– Europejczycy to gatunek na wymarciu – uważa Moe. – Zeżrecie się najdalej za dwieście lat, już teraz nie dostrzegacie agonii. Zajęci naprawianiem silników kosiarek do trawy, opróżnianiem naprędce napojów z automatu, spędzający życie na wielopasmowych autostradach. Wasze zwłoki, takie doskonałe, pośród kosztownych bukietów. I wy chcecie nas zmieniać? Przeflancować do Londynu?

10

To było po procesie. Judasz szedł skrótem do sadu mandarynkowego. Na drodze stanął mu Bourne.

– Mam prawo do tej drogi, Bourne – powiedział Judasz.

– Zdechnę, a nie przepuszczę – odpowiedział Bourne.

Minęło pięć lat, a Judasz drży, gdy opowiada o tamtych zdarzeniach. I dziś już nie myśli jak pozostali Judasze.

– Odmiennemu myśleniu towarzyszy wzgarda. Im większa wzgarda, tym potężniejszy lęk – mówi Judasz. Siedzimy na ganku. Widzę, jak pociera nerwowo ręce, oczy mu latają. – Słyszysz: „Wspólnota wszelkie decyzje podejmuje jednomyślnie. Kto nie działa w interesie wspólnoty, nie myśli poprawnie. Tylko wspólnota zapewnia ład moralny. Dlatego nie szukamy pomocy z zewnątrz. Jeśli dzieje się źle, nie wynika to z działań wspólnoty. Obcy chcą nas zniszczyć”.

– Obcy, czyli kto? – pytam.

– Brytole, czyli wrogowie. Z takimi nie chodzi się na układy. Oni łżą, że są twoimi przyjaciółmi, że w razie potrzeby obronią. Nie wolno im wierzyć.

– Kiedyś podobno myślałeś inaczej.

– Byli tacy, co myśleli inaczej. Wspólnota oskarżyła ich, że myślą niepoprawnie. Więc uciekli. Wszyscy bali się krytyki. Być poddanym krytyce to znaczy zostać Judaszem.

* * *

– Znaczyłam tyle, ile mogłam dać siebie innym – opowiada Veronika. – Żyłam po to, by wspólnota miała ze mnie pożytek. Jeszcze nie potrafiłam czytać, a już to wiedziałam („Dzieci otaczane są troską do czwartego roku życia. Wtedy najbardziej kształtuje się ich charakter. Odtąd gotowe są służyć wspólnocie całe życie”).

Mówi o utrwalanej przez lata iluzji jednomyślności i że milczenie innych traktowała jako aprobatę:

– Często ogarniał mnie lęk. Myślałam, że jestem za słaba, nieprzydatna. Że nie spełniam oczekiwań wspólnoty.

– Jak zabijałaś lęk?

– Jeszcze gorliwiej oddawałam się nakazom, zaufałam. Przecież wspólnota musi wiedzieć lepiej.

* * *

Ten chłopak nie ma jeszcze trzydziestki. Pracuje przy grobach – strzyże, kosi, szoruje. Praca cicha, bez pośpiechu, a on potrzebuje spokoju. Mówi mi, że się napatrzył, nasłuchał. I że już nic nie wie. Coraz więcej ludzi nie wie. Nie potrafi nazwać tego, co widzi.

Przez długie lata żył w psychicznym odrętwieniu. Uważa, że przekroczył granicę wytrzymałości.

– Za tą granicą jest obezwładniające przerażenie, a potem człowiek gaśnie.

* * *

Wracają do mnie słowa Wyspiarki:

– Byliśmy zmęczeni ciągłą asekuracją. Na Pitcairn ściany mają uszy, każdy wszystko wie. Kto z kim rozmawia, przeciw komu; gdzie śpi, kto kradnie, z czyich gałęzi zrywa owoce i czy to już jest materiał na szantaż. Giełda intryg i pomówień. Każdy szuka czegoś na każdego. Na przyszłość, na handel, w obronie własnej. Dlatego żyjemy w nieustannym napięciu, w czujności, by obronić się przed intrygą. Ktoś może zagrozić, jutro, za rok, za pięć lat.

– Pitcairneńczyk odpowiada nie tylko za własne przewinienia, lecz także za przewinienia ojców – mówi Wyspiarz. – Łatwo było obciążyć winą: „Jesteś z Judaszów, też będziesz knuć przeciw wspólnocie”. I nieważne, że wszyscy jesteśmy spokrewnieni, że w każdej rodzinie Judasze. Człowiek w takim stanie ulega rezygnacji, dewaluuje pojęcie sprawiedliwości, dryfuje.

Judasz:

– Nachodzą lęki, natarczywe myśli, czy zrobiłem dla Bucka wszystko, czy mogłem więcej. Nie uchwyciłem momentu, kiedy przestałem żyć własnym życiem, a zacząłem w służbie Gangu. Chciałem się wykazać, żeby widzieli, z kim trzymam. Gdybym przestał zbierać dowody obciążające innych, stałbym się słaby, bezbronny. Wuj, kuzyn, brat zaczęliby wymuszać na mnie decyzje. Czasem puchnie mi głowa. Czasem chciałbym nic nie znaczyć.

Kiedy dziewczynki cierpiały, jeden z ojców gorliwiej niż kiedykolwiek wydłubywał zabawki z drewna. Ręka do noża mu się przykleiła. Konie i delfiny – wystrugał dla córek cały zwierzyniec.

W sądzie zeznał: „Bourne miał nasze błogosławieństwo”.

11

– Proszę pani, czy mogę ufać rodzicom?
– Mamie możesz.

* * *

Dziecięce pokoje są przeważnie puste i pozamykane. Dinozaury, wóz strażacki, pościel w misie, karuzela na korbę – wszystko przykryte kotami kurzu (ale nie poszło do śmietnika).

O dzieciach, które dorastają na wyspie, mówi się, że zdążyły na życie. Przed z a m i e s z a n i e m, bo tak nazywają procesy. Teraz długo tu dzieci rodzić się nie będą.

– One nie wiedzą. I niech tak zostanie. Jak najdłużej – tłumaczy Donna. Ale ten ośmioletni w koszulce z Supermanem już się domyśla. Mówi, że będzie miał pięć żon. I że dziewczyny sprawdzają się tylko w sadzie.

A co z dziećmi z gwałtów? Milczenie. A z niedorozwiniętymi? Czy matki spuszczały je do morza? Milczenie. Jak to jest, spoglądać na owoc gwałtu, obserwować, jak dorasta, dzieli los matki? Czy matka próbowała się bronić?

– Kiedy dziewczynka dorastała do jedenastu–dwunastu lat, matka zaczynała się oddalać. Już nie sadzała na kolanach, nie tuliła. Stawała się szorstka, raczej urywała rozmowy o uczuciach. Jakby przygotowywała siebie i córkę na to, co niebawem miało nastąpić – cedzi słowa Wyspiarka. – Nie myśl, że matki nie cierpiały.

Pewna Pitcairnenka opłakiwała córkę, zanim ta się urodziła. W szóstym miesiącu, kiedy poznała płeć na USG w Nowej Zelandii. „Przepraszam, że cię wydaję na świat, córko”. Tak płakała, że dziecko zdjęło z niej ciężar. Kobieta poroniła.

– Kiedy było wiadomo, że urodzi się chłopiec, matki odzyskiwały spokój. W chłopcach pokładało się nadzieję. To oni zbudują domy i drogi – tłumaczy Wyspiarka.

– Albatrosy długo szukają legowiska, wiją staranne gniazda, zanim złożą jaja. Powinniśmy się od nich uczyć – mówi Moe.

Niektóre kobiety, nie ma ich wiele, jeśli decydują się na dziecko, opuszczają wyspę. Do niedawna kobiety musiały prosić o pozwolenie na wyjazd. Decydowali: burmistrz, ojciec i ewentualnie mąż. Zawsze mężczyzna. Jeśli któryś wyraził sprzeciw, musiały zostać. Teraz jest inaczej. Oficjalnie kobiety mogą robić, co chcą, ale to jak próbować wypuścić papugę, która urodziła się w klatce.

– Kiedyś było inaczej. Kiedyś baby rodziły jak nioski – wzdycha Atkins.

Mariah była wnuczką Fletchera z Bounty. Pierwszy raz wyszła za mąż w wieku czternastu lat. Miała trzech mężów i 25 dzieci.

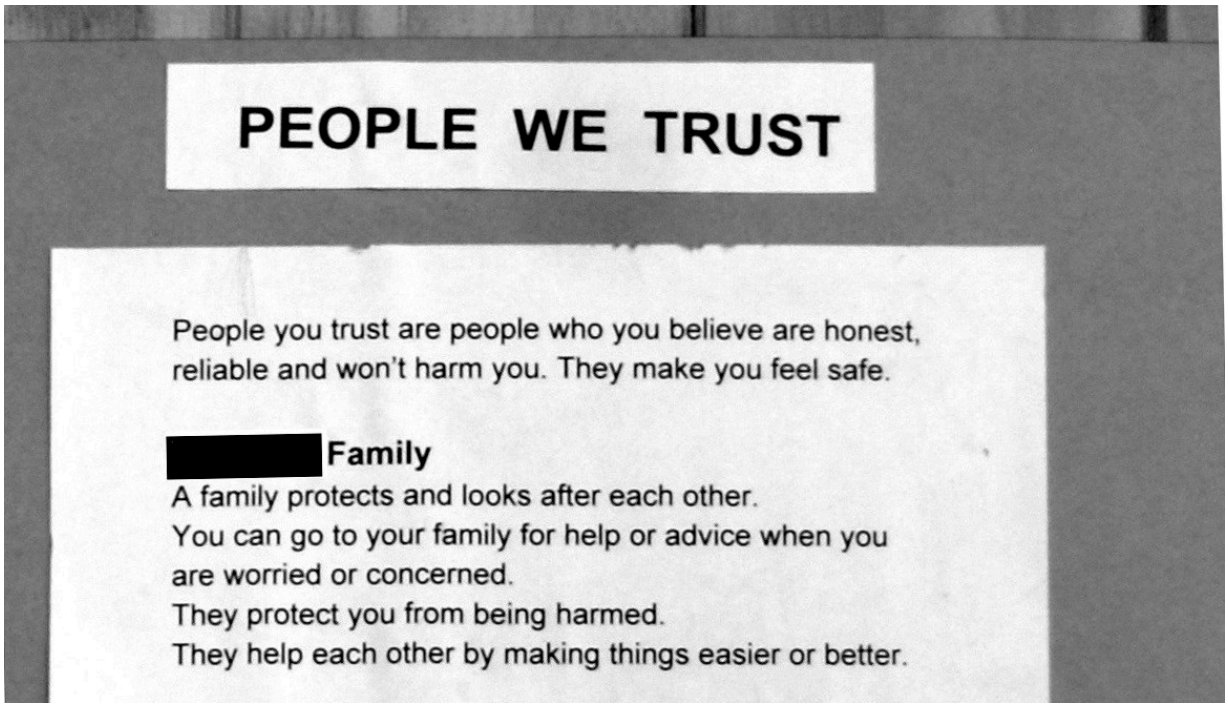
PEOPLE WE TRUST
People you trust are people who you believe are honest, reliable and won't harm you. They make you feel safe.
[redacted] Family
A family protects and looks after each other.
You can go to your family for help or advice when you are worried or concerned.
They protect you from being harmed.
They help each other by making things easier or better.

W latach 1865–1933 przyszło na świat 165 chłopców i 139 dziewczynek. Pierwsze pokolenie matek rodziło ostatnie dziecko, mając średnio czterdzieści pięć lat. Drugie pokolenie – czterdzieści dwa lata.

W 1934 roku na wyspie żyło 27 dziewcząt i 36 chłopców poniżej osiemnastego roku życia. 38 kobiet i 44 mężczyzn znajdowało się w przedziale

wiekowym osiemnaście – czterdzieści cztery lata. Były jeszcze 24 kobiety i 18 mężczyzn. Razem 187 osób.

Potem wyspa kurczyła się jak gnijący melon. W 1936 roku wielu Pitcairneńczyków wyemigrowało w obawie przed głodem. Szczęścia szukali na Norfolk i w Nowej Zelandii, gdzie znaleźli zatrudnienie w odlewni narzędzi rolniczych. Kolejna fala emigracji nastąpiła w 1968 roku. Zostało siedemdziesiąt sześć osób.

„Gdyby wszyscy Pitcairneńczycy z Nowej Zelandii zdecydowali się wrócić, jakoś byśmy się z nimi ułożyli. Ale oni nie są głupi, żeby wracać. Wiedzą, że nie ma do czego" – powiedział jakiś wyspiarz w rozmowie z Ianem Ballem w 1973 roku.

– Tylko powrót naszych krewnych może ocalić wyspę przed wyludnieniem – mówił burmistrz „Ciasteczko" Watkins w 2011 roku.

Tego roku zmarło dwoje wyspiarzy, a żadna kobieta nie urodziła.

Burmistrz „Ciasteczko" Watkins nie ma dzieci. Ale przyznaje, że spadek populacji stawia przyszłość Pitcairn pod znakiem zapytania:

– Wiele wskazuje na to, że za dwadzieścia, trzydzieści lat wyspa znów będzie bezludna. Młodzi uciekają, a my się starzejemy. Za dwadzieścia, trzydzieści lat będziemy potrzebować opieki. Jeśli nic się nie zmieni, wyemigrujemy pewnie do Nowej Zelandii.

Spoglądam na starą fotografię w jego gabinecie: trzy łodzie, mężczyźni dumnie podnoszą wiosła.

– W przeszłości, kiedy trzeba było płynąć na Tahiti, wysyłaliśmy dwie załogi, tak by jedna asekurowała drugą. Czasem płynęły trzy. W każdej ośmiu, dziewięciu mężczyzn – opowiada „Ciasteczko" Watkins. – Odkąd nasze rodziny wyemigrowały, przestaliśmy pływać na Tahiti. To zbyt niebezpieczne.

Jeszcze piętnaście lat temu kobiety rodziły do menopauzy, a do macierzyństwa namawiano już siedemnastoletnie dziewczęta. Dzieci młodych matek wychowywali dziadkowie, a gdy ci umierali, pozostali wyspiarze przejmowali opiekę nad sierotami. Do dziś domy dziedziczone są w pierwszej kolejności przez kobiety. Kiedy para zakłada rodzinę, cała osada buduje dom i nie bierze za to centa. Małżeństwa są monogamiczne, choć, jak wyznał Wyspiarz, istnieje społeczne przyzwolenie na pozamałżeński seks. Ojciec jest głową rodziny, dba o budżet, żyje jednak z dala od spraw domu. Jak marynarze z Bounty.

– Tata jest wspaniały. Ma wielką zamrażarkę z wieprzowiną. – Ośmioletni Joshua zamaszystym gestem rąk pokazuje, jak wielka jest zamrażarka ojca. – Będę strażakiem albo policjantem. Będę najsilniejszym mężczyzną.

Potem czytamy opowiadanie, które napisał dla ojca: „Idziemy z tatą popływać do oceanu. Tata pływa wspaniale, jest bardzo silny i niczego się nie boi. Ja też pływam nieźle, ale gorzej od niego. W pewnym momencie ukazuje nam się gigantyczny rekin. Zauważam go pierwszy i ostrzegam tatę. Rekin płynie w naszą stronę, ja zachowuję spokój. Rzucam się na rekina, ratuję tatę przed śmiercią. Tata jest ze mnie bardzo dumny".

Ostatnią kobietą, która urodziła dziecko i wróciła na Pitcairn, jest Jane. „Dumny tata czeka na powrót ukochanych córki i żony" – czytam w biuletynie „Pitcairn News".

Jane wróciła pierwszym statkiem, sześć miesięcy po porodzie. Nie spuszcza wzroku z dziecka. Ma oczy, których nie spotyka się często, a już na pewno nie u dorosłych. Oczy, które podziwiają każdy rysunek, gest, ufne spojrzenie.

– Musisz być dumna z tak pięknej córki. Czy mogę ci pomóc z tobołami? – pytam pod sklepem.

Jane nieruchomieje w zadziwieniu.

– Wiesz, jak rozmawiać z kobietami.

– Nie chcę, żebyś dźwigała.

– Powiedz mi jeszcze coś miłego.

Nie rozmawiałem więcej z Jane. Zaufana Wyspiarka tłumaczyła:

– Poświęć kobiecie dziesięć minut uwagi, okaż szacunek, posłuchaj, co ma do powiedzenia. Dziesięć minut wystarczy, żeby wzbudzić jej zainteresowanie. Mężczyźni z kim innym się żenią, kogo innego ciągną w Krzaki Przytulania. Defekt. Nie potrafią rozmawiać z dorosłymi kobietami. Nie jest problemem zaproponowanie dwunastolatce wypadu na ryby, ale przy piętnaście lat starszej kobiecie tracą śmiałość, krztuszą się, pocą. Nie pojmują, że dorosłym kobietom też wystarczyłoby zdanie: „Chodź, pójdziemy na ryby". Kobiety nie mają tu większych oczekiwań.

– Jedno zdanie?

– Tutaj my wybieramy mężów. Małżeństwa są pragmatyczne, we dwoje łatwiej utrzymać gospodarstwo. Jest duża różnica wieku. Wybieramy partnerów młodszych o dziesięć–dwadzieścia lat. Łatwiej nad nimi zapanować, nie są tak groźni.

– Wybieracie?

– Raczej decydujemy się na małżeństwo. Jak kobieta ma wybór między dwoma mężczyznami, to już jest luksus.

– Jak jest na pierwszej randce?

– Znamy się i wiemy o sobie wszystko. Kto z kim spał, kto ile łodzi zbudował, czy kradł pomarańcze z cudzych drzew, czy nie. Tu nie ma miejsca na poezję. Dojrzała kobieta daje przyzwolenie młodemu mężczyźnie, ten zabiera ją na spacer na Najwyższe Wzniesienie albo nad zatokę Bounty. „Wiesz, Todd, obserwowałam, jak dorastałeś, myślę, że byłbyś dobrym mężem". „Masz rację, Suzie, razem będzie łatwiej. Nasze rodziny się ucieszą". Po dwóch miesiącach ślub.

– A później życie.

– Nie jest źle. Ty widzisz to inaczej.

* * *

Kobiety golą nogi na błysk. Nieopodatkowanymi żyletkami Gillette. Wcierają kremy: kokos, cynamon z wanilią – zamówione przez internet.

– Ale po co? – głowi się Wyspiarz. Milczymy tak jeszcze przez chwilę, palimy papierosy. Ja rzucam kamień do kałuży, on spluwa na ziemię. Potem mówi: – Lubię pomarzyć o białych smukłych pośladkach. Pośladki naszych kobiet są zużyte, poznaczone bliznami. Uda tłuste, czerwone.

Kobiety są męskie, to od razu rzuca się w oczy. Naśladują zachowania mężów: mocno uderzają w stół, pewnie zarzucają wędkę. Każda bluzga, spluwa, odszczekuje. Jakby chciała zatrzeć różnice między tym, co przynależne każdej z płci, by tylko zyskać złudne poczucie bezpieczeństwa. Męską kobietę pewnie trudniej zgwałcić.

* * *

Chłopcy kopią i politykują. Pierwszy wchodzi z łopatą na wysoki nasyp. Wbija szpicę do ziemi, wybiera żwir. I tak tysiąc razy.

– Trzeba pogadać z marynarzami. Za drogo śpiewają za cukier.

Drugi milczy. Łupie kamień, łamie kilof. Chwyta za następny i rozłupuje. Nic to, że martwieją ręce, pękają pęcherze. Świst łopat i łomot kilofów – tym zdobywa się szacunek kobiet.

– Byki, nasze byki – mówi z podziwem stara Pitcairnenka. Broniła Chłopców przed sądem.

– Dla naszych pań najważniejsze jest, żeby mężczyzna nie bał się pracy – uważa Wyspiarz. – Tak było, odkąd pamiętam. Jak zbudowałem dom i drwa narąbałem, to potem mogłem wszystko.

* * *

Seksualności Pitcairneńczyków przyglądał się w 1934 roku Harry Shapiro. Antropolog uznał, że ich życie intymne jest prymitywne i pozbawione radości. Po powrocie do Stanów podzielił się swoimi spostrzeżeniami ze słynnym Alfredem Kinseyem:

„Rozwój seksualny na Pitcairn jest możliwy, ale nigdy nie nastąpił” – mówi Shapiro.

„Dlaczego pan tak sądzi?” – pyta Kinsey.

„Oni ciężko pracują, może nie mają wolnego czasu?”

„A może pornosów i świerszczyków?”

Wyspiarze chętnie przyjmują filmy porno od żeglarzy. Zaopatrują się w kondomy i gadżety erotyczne. Pierwsza pigułka antykoncepcyjna pojawiła się na wyspie w 1972 roku.

– Moja kobieta nie korzysta. Nie wiem, jak inne, ale chyba też nie. Co tu ukrywać. Nasze żony już nam się znudziły. – Wyspiarz spogląda pod nogi. – Jak wygląda nasz seks? O co ty pytasz?!

Nowozelandka, która spędziła kilka lat na Pitcairn:

– W moim kraju dużo się mówi o seksie. Na Pitcairn jest dużo seksu, ale się o nim nie mówi. To nie jest rozsmakowana perwersja. To zimny seks i ciężki oddech. Oni po prostu chcą wejść, w kogokolwiek. Spójrz, większość wyspiarek nawet się nie różni od siebie: czerwone, zapadnięte twarze, nieforemne bluzy, spodnie zawinięte w harmonijkę. Koślawo rozstawione nogi, pochylone do przodu. Seks jest próbą zabicia czasu. Niczym więcej. Świat, który znają, to świat w agonii. Wypalone serca, niewyleczone rany. Zapytaj którąkolwiek z Pitcairnenek, kiedy ostatni raz usłyszała „kocham”. Już wiesz, dlaczego dzieci się tam nie rodzą?

Jeszcze w 2011 roku na Pitcairn żyły sześćdziesiąt trzy osoby. W 2012 już tylko pięćdziesiąt cztery. Działania kolejnych rządów w Londynie przypominają dokarmianie dogorywającego organizmu. Wspólnota umiera

w najprostszy sposób – wyludnia się. I chyba o to chodzi Brytyjczykom. Bez pośpiechu, bez rozgłosu poczekać, aż umrze ostatni Pitcairneńczyk.

* * *

– Już wiem, po co tu jesteś! – Bart wyskakuje spod ziemi, musiał na mnie dybać.

– Tak?

– Chcesz poznać naszą tajemnicę.

Czuję, jak drży mi lewa powieka. Bart mówi za mnie:

– Chcesz wiedzieć, jak budujemy szybkie łodzie.

– Jesteś bardzo spostrzegawczy.

12

– Czy podglądałeś choć raz człowieka, który myśli, że nikt go nie widzi? – pytam Moe.

– Tu ludzie śledzą każdy twój ruch.

* * *

Pewna Brytyjka, która w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych spędziła sześć miesięcy na wyspie, poczuła pragnienie. Była w sadzie owocowym, pół godziny piechotą od Adamstown. Zerwała pomarańczę, a następnego dnia usłyszała:

– Nie powinnaś sięgać po owoce z cudzych drzew.

– Kogo miałam spytać? Przecież tam nikogo nie było…

* * *

Kiedy się boję, moja krew szybko wypłukuje magnez, a wtedy zaczyna mi drżeć lewa powieka. Mogę bać się w milczeniu, w bezruchu, z kamienną twarzą, ale zdradzi mnie lewa powieka.

Pierwszy raz zadrżała, kiedy siedzieliśmy z Donną przy wieczornej earl grey. Pytałem o genezę nazwy Klifu Skąd Spadł Dan, a ona na to:

– Pytasz nie jak antropolog, ale jak dziennikarz. Gdybyś był dziennikarzem, zabiłabym cię.

Drugi raz zadrżała, kiedy dowiedziałem się, że Donna już wie, po co tu jestem, i że wiedzą wszyscy.

Z każdym dniem drżenie zaczęło się pojawiać przy najprostszych czynnościach: rozmowie, jedzeniu, załatwianiu potrzeb fizjologicznych.

Z każdym kolejnym dniem milczenia Donny i pozostałych wyspiarzy.

* * *

Wyspiarze mówią, że droga, która oplata wyspę, jest jak labirynt albo spacerniak. Kto ją przemierza pierwszy raz, kroki stawia ostrożnie. Kto przeszedł ją sto razy, nierzadko wpada w panikę. Jak więzień z dożywotnim wyrokiem.

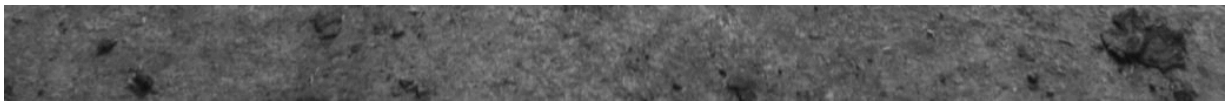

Grifis ma ponad sześćdziesiątkę. W Nowej Zelandii był policjantem, później parkingowym. Na Pitcairn jest tylko mężem nauczycielki, nie znalazł dla siebie miejsca. Od roku błąka się jak dusza, która nie zaznała spokoju. Wysoki, wątły, oczy rozbiegane.

– Muszę wytrzymać jeszcze rok. Potem wrócimy do Nowej Zelandii. Jeszcze rok. Margaret podpisała dwuletni kontrakt – cedzi. – Dlatego ważne jest, żeby zaspać. Zaśpisz trzy godziny i już bliżej końca dnia.

Zabija czas, jak tylko podpowie mu wyobraźnia: codzienny marszobieg wokół wyspy – schodzą dwie godziny. Przed śniadaniem starannie dobiera owoce – maca pięć minut, zanim zerwie dwie mandarynki. Potem przysiady, brzuszki, pompki. O trzynastej kończą się lekcje, Grifis czatuje przed szkołą. Żona mówi: „Tylko nie wracaj za późno”.

– W co dziś gramy, Grifis?! – Dzieci go szturchają, obwieszają mu się na szyi. – Od tygodnia dostajesz baty w „pitcairneńskie naboje”!

– Dziś ogram was w ping-ponga. – Grifis podskakuje przy ośmiolatku jak przy kumplu. Potem podchodzą do stołu zbitego z krzywych desek. Za chwilę:

– Siedem do trzech, zmiana serwu! – zdziera gardło Joshua, osiem lat; zadowolony, bo wygrywa.

– Chyba w twoich snach! Jest sześć do czterech! – żacha się Grifis barytonem. Wygląda, że zaraz się pokłócą na dobre albo Grifis, jak podczas „pitcairneńskich naboi”, obrazi się i odwróci na pięcie.

– Graj, niech będzie sześć do czterech. – Joshua macha ręką.

Stoimy z Grifisem na Drodze Głównej, bez celu, przy trakcji elektrycznej. Ptaki na drutach jak nuty na pięciolinii, słupy sterczą w nawale światła. Grifis spogląda przez lekko przymknięte powieki. Mówi, że za siedemnaście minut na tym słupie po lewej będzie cień.

– Niby wariuję, dziecinnieję? Przesada. Nie powiem, lubię poodbijać piłeczkę, bo nuda i co tu innego robić. „Pitcairneńskie naboje” to taka gra, że rysujemy kredką, najlepiej żółtą albo białą, cztery kwadraty na betonie i rzucamy do siebie z chłopakami. Do zmroku. Jak jestem głodny, wracam do domu. Na kolację.

* * *

Noc jak smoła, nawet nie błyska Pacyfik. Idę na oślep, macam drzewa. Jak spotkam kozę, to ustąpię. O dwudziestej drugiej wyłączyli prąd, nie widzę własnej ręki. Duszno, zimny pot – choroba pitcairneńska, żeglarze ostrzegali. Psychofizyczny lęk przed więzieniem, potrzeba skulenia.

Cisza, tylko oddech, krótki, urywany. Dwadzieścia kroków, szelest gałęzi. Robię przysiad, instynktownie. To jeden z Chłopców.

– Ciemna noc – mówię.

– Ciemniejsza, niż można się było spodziewać po tak pogodnym dniu – odpowiada.

– Gdzie cię niesie? – pytam.

– Spierdalaj do domu.

– Dobrze.

* * *

Czy gwałciciele to bestie, psychopaci, czy ludzie poddani silnej presji społecznej?

– Każdy starał się przetrwać, każdy robił to, jak potrafił – tłumaczył podczas procesu jeden z podejrzanych.

Odsetek ludzi poważnie zaburzonych wynosi na świecie jeden procent. Na Pitcairn około trzydziestu. To tylko dane szacunkowe, nie przeprowadzono badań. Kilka niezależnych opinii, zawsze anonimowych – lekarza, psychologa, pracownika socjalnego.

Każdy był inny, mówią Judasze. Buck gwałcił, bo uważał, że mu się należy.

– Seks był jak jedzenie na stole. Podnosiłem ze stołu, kiedy byłem głodny – zeznał przed sądem.

Todd ukrywał nieśmiałość do kobiet.

Brayden w gwałtach szukał wyrównania rachunków. Ktoś powiedział, że w młodości sam został skrzywdzony.

Nico szedł za przykładem innych. Podobnie jak Sigga, który podpatrywał starszego brata.

Atkins to inna epoka. W jego czasach kobiety rodziły po siedmioro dzieci, brzuchy dźwigały już dwunastolatki.

Wyspiarka:

– Brayden był młody i popędliwy. Tak naprawdę dał się lubić.

Wyspiarz:

– Już za szczeniaka baliśmy się Bourne’a. Za każdym razem, kiedy przychodził, wybuchała awantura. Miał cały ryj w pryszczach. Gdyby nawet był przystojny, nikt by tego nie zauważył. Nieszczęśliwy człowiek, nie znalazł miłości.

Wyspiarka:

– Buck od małego musiał spełniać oczekiwania starszyzny. Ojciec widział w nim swojego następcę, przywódcę. Pamiętam, jak przypłynął statek z urzędnikami z Sydney.

Kilkoro Pitcairneńczyków otrzymało w prezencie żółte kamizelki z wytłoczonym napisem „Własność rządu Australii”. Biegali w nich dumnie długie tygodnie. Tylko Buck rzucił swoją w kąt. Powiedział, że nie jest własnością. Był podziwiany, najsilniejszy. Taki człowiek jest odniesieniem sam dla siebie. Nie znajduje siły, która mogłaby go zatrzymać przed czymkolwiek.

Wyspiarz:

– Brał z życia całymi garściami; metodyczny, nastawiony na skuteczność. Lubił porządek i za wszelką cenę go egzekwował. Nie wiem, kiedy prośby zamieniły się w rozkazy, kiedy zaczął nadużywać siły. Może zrozumiał, że to droga na skróty? Po co prosić, po co chodzić za czymś, skoro można brać? On wierzył, że należy mu się wszystko, bo sam też dawał z siebie wszystko. Żył pod presją. Wspólnota oczekiwała od niego niemożliwego. To on budował drogi, domy i łodzie, leczył zęby i ratował ludzi. Kobiety chowały się za jego plecami, kiedy na wyspę podpływały szemrane załogi. To my oddaliśmy mu całą władzę, a im większa władza, tym trudniej z niej zrezygnować. Buck był odurzony swoim rządzeniem. To wpędziło go w osamotnienie. Żal musiał znaleźć ujście. Myślę, że to wspólnota, że to my wszyscy zrobiliśmy z niego tyrana.

– I trupa – mówi Wyspiarka. – Buck rozsypuje się na naszych oczach. On już nawet nie podnosi głowy. A przecież kiedyś żądał uwagi. Po swoich doświadczeniach ma tak smutny stosunek do życia i śmierci, że nie potrafi o tym opowiedzieć. Więc milczy. Nico też milczy.

* * *

Długo krzyczał na matkę. Żeby nie umierała. Odeszła taktownie, po cichu. Jakby w podziękowaniu za ostatnie cztery lata, za te kroplówki, zastrzyki. Obok łóżka stał dzwonek. A za dzwonkiem Nico. Nie odstępował matki na dłużej niż godzinę, zasypiał przytulony do jej stóp.

Były chwile, kiedy matce się poprawiało. Nie mogła wprawdzie wstać do toalety, samodzielnie jeść ani rozczesać włosów, ale mogła mówić. Uczyła go, jak dusić kurę na mleku, radziła rozejrzeć się za żoną.

Wyspiarka opowiada:

– Pamiętam, jak Nico siedział na stołku przed jej łóżkiem, a ona mówiła: „Jesteś wyjątkowym mężczyzną, Nico, i nie daj sobie wmówić, że jest inaczej. Kocham twoje dobre serce, podziel się teraz nim z inną kobietą. Bądź opiekuńczy, kobiety mają trudniej, potrzebują twojej czułości. Nie dotykaj, dopóki nie dostaniesz przyzwolenia”.

Zrobił, jak prosiła. Więcej nie dotknął kobiety. Jeszcze wyremontował dom, który został po matce, jeszcze załatał dach ciotki. Co sobotę piekł kurę, potem odwiedzał grób matki.

Tamtego dnia poszedł do sadu po mandarynki. Prawą ręką naginał gałęzie, lewą zrywał owoce. W lewej poczuł mrowienie, potem stracił czucie.

Ktoś go znalazł, zawołał na pomoc, przenieśli go do doktora.

Leżał dwa tygodnie, rurki w ciele, tlen się kończył. Doktor już wiedział, to kwestia godzin, może dnia. Nico żył na resztkach zapasów z ambulatorium, a ważył za dwóch dorosłych mężczyzn. Taki organizm potrzebuje dużo tlenu.

Claymore II zboczył z trasy, w końcu dopłynął. Przenieśli Nico na pokład. Nawet nie wyłączali silników, pędzili od razu do Mangarevy.

To się stało w połowie drogi. Była przy nim kuzynka Norma. Spuściła głowę, powiedziała, że już nie ma czego podawać.

Grób wykopali dla niego na cmentarzu w Mangarevie, bo Claymore II nie mógł transportować zwłok. Nico pogodził się z ziemią osiemset kilometrów od domu. Przed śmiercią powiedział kuzynce: „Tak bardzo chciałem żyć przyzwoicie”.

Ludzie mówili między sobą:

– Nico, kochany Nico. Był ostatni do gier umysłowych, ale miał dobre serce. Siał i orał za dwóch, a jeszcze przy matce chodził, insulinę podawał. Tyle że serce miał jednakowe dla wszystkich, także dla Chłopców. Powie-

dzieliby mu: „Wypij truciznę”, toby wypił. „Kop grób”, toby kopał. Nie pomyślałby spytać dlaczego. Dla kogo. Mówili: „Bierz dziewczynę”, to brał.

III

Niekiedy dłuższe trwanie dobra powoduje nudę lub niesmak, podczas gdy trwanie zła zmniejsza smutek. Wreszcie z myśli o dobru minionym rodzi się żal, który jest rodzajem smutku, a z myśli o złu minionym uciecha, która jest rodzajem radości.

René Descartes, przeł. Ludwik Chmaj

13

Norma Watkins wróciła od kur, obmyła ręce, a teraz wciera maść w napięte skronie. Zaraz zasiądzie do organów, ale zanim to nastąpi, zajrzy jeszcze w piszczałki i zetrze drobiny kurzu z klawiatury. Jej twarz skrywa emocje, tak że ktoś pośpieszny w ocenie mógłby pomyśleć, że to twarz bez wyrazu, twarz w trumnie.

Norma jest siostrą burmistrza Edwarda „Ciasteczka" Watkinsa, jedyną kobietą, do której on decyduje się mówić. Gdyby tylko zechciała wyjawić, jak wielka to odpowiedzialność.

Teraz układa majestatycznie palce do C-dur, choć nietrudno ulec wrażeniu, że jej sytuację trafniej oddaje a-moll. Ćwiczy Psalm 32, który wykona podczas szabatu:

„Póki milczałem, schły kości moje, wśród codziennych mych jęków. Bo dniem i nocą ciążyła nade mną Twa ręka, język mój ustawał jak w letnich upałach"[8].

Wspólnota jest zdania, że Edward Watkins został „Ciasteczkiem" trochę przez wychowanie, a trochę przez geny.

Kiedy miał dziesięć lat, jego rówieśnicy cięli deski do budowy łodzi, a chorowity Edward wciąż nie schodził z konia na biegunach.

„Ciasteczko" w języku Pitcairneńczyków znaczy „kruchy" albo „zniewieściały".

W ostatnich latach jego przydomek zyskał nowe znaczenie, ale o tym Edward nie lubi mówić. Mówienie przychodzi mu zresztą z trudem i aż dziw bierze, że człowiek z taką niechęcią do wypowiadania się został burmistrzem Pitcairn, ba, diakonem w Kościele Adwentystów Dnia Siódmego.

Jąka się, krzywi, dusi. Moe twierdzi, że tak jąka się człowiek, który stracił zaufanie do ludzi, a w końcu do siebie.

Moe nie zdradził, że za plecami Edwarda toczy się gra, której stawką jest posada burmistrza i w którą zamieszana jest połowa mieszkańców wyspy.

Złośliwi mówią o swoim zarządcy, że kiedy spaceruje, to nawet kozy przestają beczeć z litości. Edward udaje, że o tym, co mówią, nie wie, że niczego nie słyszy.

Grę wymyślił William, hipis, który trafił na wyspę przed dwunastoma laty. Sprawia wrażenie lekkoducha, ale na wyspie nie ma człowieka, który przykładałby większą wagę do pozorów. Dziś, dajmy na to, biega w ciężkich traperach za kostkę, które działają w tropikach na stopy jak mikrofalówka na mięso.

– Skóra nie schodzi w takich butach?

– Na co dzień ich nie noszę, ale dziś przypływa jacht z Wysp Wielkanocnych. Na taki moment zakładam też mundur. Ktoś, kto stempluje paszporty, musi budzić respekt.

William pochodzi z hrabstwa Yorkshire. Nie miał pomysłu na życie, więc trafił do RAF-u. Po dziewięciu latach zrezygnował ze służby i przysiągł, że już nigdy nie zetnie włosów.

Od dwunastu lat układa włosy i strategię.

Kiedy osiedlili się na Pitcairn z żoną Marthą, od razu zmienił nazwisko z Hastings na Padgett. William lubi mówić, że to na cześć buntownika z Bounty, ale ja bym raczej wierzył słowom Veroniki: „Kiedy hipis zaczyna mieć ambicje polityczne, to przewrót jest już blisko”.

Pięć lat później został radnym. Nie minęły kolejne trzy lata i był już przewodniczącym Rady Wyspy.

Z czasem zasugerował żonie, żeby zrezygnowała z pracy w sklepie, choć Martha uwielbiała chwile za ladą, ploteczki o życiu intymnym wspólnoty i przekomarzania o cenę towarów. Na Pitcairn podawanie kukurydzy w puszce jest równie ważne jak obowiązki ministra gospodarki największego mocarstwa.

– Czym teraz zajmuje się twoja żona?

– Niczym. Jest gospodynią domową – odpowiada William, chrząka i wyprostowuje się. – To znaczy, w wolnych chwilach szyje pacynki.

– Martha przez te lata jakby zdziczała – szepcze Wyspiarz. – Nie twierdzę, że kiedykolwiek była piękna, ale kiedyś zarażała nas radością, wnosiła dobre emocje do wspólnoty.

Kiedy spacerują, Martha stawia kroki za Williamem jak niewidoma. Wzrok ma zresztą błędny, przeraźliwy. Tak że przestajesz zauważać posklejane włosy, podarte wełniane rajstopy i suknię ze skrawków szmat.

Kiedy widzę ich razem, kiedy spoglądam na nienaturalne, instynktowne ruchy Marthy, nie mogę oprzeć się myśli, że William zabił w żonie życie.

– Czym się zajmujesz? – pytam Marthę.

– Niczym. Jestem gospodynią domową. To znaczy, w wolnych chwilach szyję pacynki.

– Dobrze ci z tym?

– Są ważniejsze rzeczy.

– A co jest ważniejsze?

– Strategia mojego męża.

Ktoś dopowiedział:

– Będzie pierwszym cudzoziemcem na stanowisku burmistrza Pitcairn.

– Przecież to niemożliwe. Burmistrzem może być tylko rdzenny Pitcairneńczyk.

– Jest jeden wyjątek…

* * *

– Drodzy bracia i siostry, umiłowani w Jezusie. Podczas dzisiejszego nabożeństwa porozmawiamy o wyznaniu, którego siła uwalnia od grzechu, wyrywa z ucisku, umacnia spojrzenie – przemawia Edward „Ciasteczko” Watkins podczas cotygodniowego spotkania „Jak ulepszyć Pitcairn”.

W budynku kościoła panuje przyjemny chłód. Mimo to burmistrz co chwilę ściera pot z czoła. Siedzę w trzeciej ławce, stąd widać wszystkich obecnych. Burmistrz ani razu nie spogląda w naszą stronę.

– Domyślacie się, że chcę wam wyznać swoją nieprawość. Żyłem bez rozumu, jak koń i muł, nie dostrzegałem życzliwości w waszych spojrzeniach. Gubiłem się w alkoholu, przemocy i brutalnym seksie. Tak, ja, Edward Watkins, wasz burmistrz. Krzywdziłem i okaleczałem, ale Pan zechciał otoczyć mnie radością ocalenia. Póki milczałem, kości moje schły wśród codziennych mych jęków. A teraz stoję przed wami i proszę, byście ze mną wołali do Pana.

Jeśli dobrze zapamiętałem, zaintonował Psalm 32: „Szczęśliwy ten, komu została odpuszczona nieprawość, którego grzech został puszczony w niepamięć. Szczęśliwy człowiek, któremu Pan nie poczytuje winy, w którego duszy nie kryje się podstęp”.

Wyznaniu Edwarda przysłuchiwało się czworo wiernych: pastor Meyers, jego żona Margaret, siostra Edwarda – Norma, a także Hank – milioner, który przeczytał wszystkie książki z biblioteki.

Słuchaliśmy zniszczonego człowieka, który, jak to mówią wyspiarze, skomle o akceptację i robi, co może, by odzyskać spokój. Niektórzy zachodzą w głowę, czy jego głos przypomina bardziej pianie koguta, czy beczenie kozła. Watkins opowiada tę historię co tydzień, od dwóch lat.

* * *

Lu jest nie tylko pszczelarzem królowej, lecz także sumiennym księgowym. W każdym razie cieszył się taką opinią, kiedy odkrywał kolejne szwindle Edwarda „Ciasteczka" Watkinsa. Nelsonowie, z których pochodzi żona Lu Donna, rywalizowali o kobiety, urodzajną ziemię i prymat na wyspie. Raz burmistrzem zostawał Nelson, raz Watkins. Nierzadko decydował jeden głos, więc kiedy przed wyborami Lu wykazał, że „Ciasteczko" wyremontował dom za pięćdziesiąt tysięcy dolarów z funduszu publicznego, Nelsonowie poklepywali go po ramieniu i komplementowali: „Jak dobrze, że wspólnota może polegać na twojej uczciwości".

Lu grał w młodości w rugby i czasem opisuje życie przy użyciu metafor sportowych. Uśmiechał się do Nelsonów, jak uśmiecha się naturalizowany napastnik, który zdobył ważne przyłożenie, a któremu jeszcze niedawno pluto z trybun w twarz.

Mija pięć lat, odkąd Nelsonowie grozili mu śmiercią.

Ktoś powiedział, że wydarzenia minionych lat nauczyły Donnę życia w ciągłym rozdarciu i być może dlatego była najskuteczniejszą w historii wyspy burmistrzynią, jedyną kobietą na tym stanowisku. Kolejne wybory jednak przegrała. Dwunastoma głosami do czternastu.

– Edward Watkins to złodziej i dewiant. Jego rządy ośmieszają wspólnotę – William grzmiał przy Donnie, kiedy ta wstawiała wodę na kawę. – Ty wprowadziłaś reformy, wznowiłaś dialog z Wielką Brytanią. Byłaś wspaniałą gospodynią.

William wypijał od sześciu do ośmiu filiżanek kawy dziennie. Przeważnie poza domem.

Mówią, że Donna przegrała głosami Williama i Marthy, która we wszystkim zgadza się z mężem. Podczas ogłoszenia wyników dostrzegła zalążek

uśmiechu, który dotąd pojawiał się na twarzy Williama podczas kumoterskich zwycięstw w brydża.

– On potrafił poświęcić partnera w kartach, byleby wygrać – tłumaczy Wyspiarz.

Obrazek, który zapamiętał:

Przewodniczący Rady Wyspy William Padgett podchodzi z gratulacjami do Edwarda „Ciasteczka” Watkinsa.

Olśnienie:

– W konstytucji jest zapis, który stanowi, że burmistrzem może zostać przewodniczący Rady Wyspy, o ile burmistrz nie będzie mógł sprawować władzy z przyczyn zdrowotnych bądź jeśli zostanie skazany wyrokiem sądu za ciężkie przestępstwo – wyjaśnia Wyspiarz, który wydawałby gazetę o polityce, gdyby taka miała rację bytu.

– Czy oszustwo finansowe jest ciężkim przestępstwem? – pytam. – Poza tym była amnestia…

– „Ciasteczko” ma większe przewinienia.

Amnestię ogłosili Brytyjczycy: każdy, kto przyzna się do oszustw podatkowych i drobnych kradzieży, uniknie kary. Edward uznał, że to idealny moment na oczyszczenie się z zarzutów, więc wyznał przed wspólnotą przewinienia:

– Przywłaszczyłem pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Wyremontowałem dom, kupiłem quada i komputer.

Kilka tygodni później, kiedy okazało się, że musi zwrócić całą sumę, zmienił wersję:

– Kupiłem tylko komputer.

– Wcześniej niczego nie podpisywał, nikt też nie nagrał jego oświadczenia. Zwrócił zaledwie czterysta dolarów i został objęty amnestią – opowiada jeden z mieszkańców. – Odtąd zaczęliśmy go nienawidzić.

W tym czasie William po okazyjnej cenie odsprzedał Lu dwadzieścia uli i dwa kombinezony pszczelarskie. Lu stał się największym producentem miodu na Pitcairn, a William mógł się skoncentrować wyłącznie na polityce. Ulami Williama był zainteresowany także pastor Meyers, ale robienie interesów z Meyersem było już nieopłacalne. Z każdym miesiącem Meyers mniej znaczył we wspólnocie.

– Po tym, jak pastor wziął w obronę Edwarda Watkinsa, ludzie odwrócili się od Kościoła – tłumaczy William.

Burmistrz zapisuje arialem, szesnastką: „JESTEM NIEWINNY”, ale to na nic. Nikt nie uwierzy w jego oświadczenie. Za miesiąc, za dwa odejdzie. Ludzie mają dość. Już teraz odwracają wzrok albo lekko rozchylają usta, bo wzgardzie towarzyszy delikatny uśmiech. Watkins to dzieciojebca, szepczą. Dał się złapać, zaszkodzi komunie. Musi ponieść karę.

On już prawie nie rozmawia z ludźmi, nie wychodzi z biura; słaby, chwiejny, niepewny siebie. Powieki przymrużone, drżenie warg, często przełyka ślinę. Policja znalazła w komputerze zapis czatów i tysiąc zdjęć z nieletnimi. Wpadł przez pliki *cookies* – ciasteczka.

Rozmawiamy długo. Edward opowiada o wyborach, że wygrywa ten, kto ma większą rodzinę. I że w przyszłym roku chciałby udać się do Kalifornii na spotkanie miłośników Pitcairn. Nie potrafię zadać najtrudniejszych pytań.

* * *

Obcy, kiedyś żył na wyspie:

– Granica między dobrem a złem, wcześniej nieprzekraczalna, zostaje przekroczona. Przeobraża się ludzka natura. Człowiek odkrywa w sobie ciemną stronę. Zmiany zachodzą szybko. Niespodziewanie szybko. Zapominasz, że na innej ziemi kłaniałeś się kobietom. Obserwujesz nową rzeczywistość w zadziwieniu, w bierności. Przechodzisz w stan porównywalny z depresją. Wydaje ci się, że jesteś bezradny, że możesz to jedynie zaakceptować. Jest wspólnota, są Chłopcy, ich zasady. Okazuje się, że to jedyne zasady, jakie dają poczucie bezpieczeństwa. Nie uchwycisz momentu, kiedy bierzesz je za swoje. Tracisz poprzednią tożsamość. Nie oceniaj mnie. Człowiek chce się przede wszystkim przystosować. Ochronić. Nie myśli o kosztach. To pokazuje, jak względne jest to, co nazywamy ucywilizowaniem, i jak łatwo możemy stracić człowieczeństwo.

* * *

Adamstown jest skierowane ku nieco chłodniejszej północy. Wysokie drzewa otulają osadę, chronią przed wiatrem. Południowa część wyspy jest fermą, gajem, w żyznej dolinie uprawia się ogrody. W dzień włączają prąd, ra-

dio gra tylko muzykę. Nocą wędrują jasne plamy latarek; ludzie jak owady pod korą – wydrążyli wgłębienia, uwierzyli, że to miejsce to cały świat.

– Bogactwo ma tu inną miarę – tłumaczy Lu. – Mierzy się pracowitością, umiejętnością łowienia ryb. Bogaty, kto drwa narąbie i mebel zrobi.

Lu mówi, że musiało upłynąć sporo czasu, zanim nauczył się żyć na wyspie. I że choć jest tu już trzynaście lat, to wciąż myśli jak Europejczyk.

– Musiałbym się tu urodzić, żeby ich naprawdę rozumieć.

Kiedy w 2011 roku fala tsunami rozeszła się po Pacyfiku, Europa i Ameryka ostrzegały przed zatopieniem niektórych lądów, w tym Pitcairn. Wyspiarzy zastała tylko niewysoka fala.

* * *

Mobil
Mobil

Piramida gałązek zajęła się ogniem. Wyspiarz spogląda w płomienie. Mówi, że zatęsknić można dopiero, kiedy wszystko się zawali.

Ich komuna, ta, w którą wierzył, w swych początkach była przecież radością. Bogatym ogrodem trzymanym w sekrecie. Stary Adams pogodził ocalałych. Ale komuny, mówi, w dłuższej perspektywie nie działają, ludzie najpiękniej żyją w rozproszeniu. Nawet w komunie ludzie chcą zająć najwygodniejsze miejsca.

– Wszystko za późno. – Wyspiarz patrzy w ogień. – Słowa, gesty, troskliwe spojrzenia.

Opowiada mi rozmowę, którą odbył z jednym z oprawców:

– On mówi: „Tak bardzo chciałbym sobie wybaczyć”. Wcześniej pastor mu powiedział: „Zaufaj Bogu. Z początku odmówisz sobie prawa do wybaczenia, lecz jeśli wytrwasz, odrodzi się nadzieja”. Mówi, że nie wytrwał. Że zabija go poczucie winy. I że nie może tej winy odrzucić. Mówi, że musiałby kłamać przed sobą, wina by się powiększała. On żyje chyba w rozdarciu: czy przyjąć winę, czy ją zagłuszać? Skamieniał. To rozdarcie jest jego agonią.

Historia zatoczyła koło. Znów rozbici, znów w lęku. Czekają na nową, mniej wymagającą religię. Wyzwalającą spowiedź. Już nie dyszą żądzą zemsty. Za to intuicyjnie i niespodziewanie zbliżają się do siebie.

To jest zupełnie zwykły szabat. Pięcioro wyspiarzy uczestniczy w nabożeństwie. Dziewięcioletni Joshua śpiewa wysokim głosem: „Anioł Pana zakłada obóz warowny”. Kobiety w transie wyszeptują modlitwy, jak skazany przed egzekucją, są już gdzie indziej. Ołtarz skromny, nieprzystrojony, przypomina stół bankruta, który już dłużej nie chce udawać.

Pastor opowiada o nadziei. Nikt nie słucha.

Jeszcze nie wiem, że widzę Kościół Adwentystów Dnia Siódmego w jego dniach ostatnich na Pitcairn.

24 maja 2012 roku pastor Meyers opuści wyspę. Adwentyści Dnia Siódmego zrezygnują z posługi duszpasterskiej ze względów finansowych[9].

14

Północny cypel, morze ryczy gniewną piosenkę. Błotnisty, nierówny, kamienisty grunt. Łatwo się poślizgnąć. Co rusz z hukiem spadają na ziemię orzechy kokosa. Uderzam jednym o głaz, ale po kwadransie tracę cierpliwość – osiągnąłem tylko niewielkie wgniecenie. Powłokę zewnętrzną zdjąć łatwo, ale nie sposób przebić łupiny.

– To jak z kobietą – mówi Donna.

Szukamy Pani T., osiemdziesięcioletniej żółwicy giganta, którą Pitcairneńczycy sprowadzili z Galapagos w latach pięćdziesiątych. Tropimy ją po odchodach. Jeśli są zeschnięte, przez dwa dni mogła ujść i kilometr. Jeśli świeże – znak, że jest w promieniu stu kroków.

Pani T. wychodzi na drogę, kiedy słyszy warkot motoru.

Spoglądam na Donnę – karmi żółwicę, z czułością podtykając kolejne owoce. Jakby na chwilę zapomniała o codzienności, polityce, układaniu się ze społecznością. Dziesięć minut quadem od Adamstown, po drugiej stronie wyspy, gdzie poza nami nie ma żywego ducha, Donna pozwala sobie na uśmiech. Ma sposób na Panią T.: żółwica lepiej reaguje na kobiety, wobec mężczyzn bywa nieufna. Oczy ma wyschnięte, milczące. Zmarszczki zdradzają surowe życie. Twarda skorupa. Może to jest najlepsza metafora tutejszych kobiet?

Wracamy. Elsa, najstarsza na wyspie. Osiemdziesiąt dwa lata, okulary jak denka słoików, ale wciąż zgrabnie wsiada na quada. W przeciwieństwie do innych chętnie pozuje do zdjęć, żartuje, jej śmiech brzmi tak, jakby ktoś odpalał motor. W osiemdziesiąte urodziny wyspiarze urządzili jej przyjęcie. Elsa protestowała:

– Jestem damą, nie stępię paznokci, żeby po was sprzątać.

Odwraca się do mnie i mówi:

– Przed śmiercią czuję tylko radość.

– Jak to możliwe, pani Elso?

– Zapominam, co złe. Alzheimer.

* * *

– Chciał żyć inaczej. To się musiało źle skończyć.

Kawiarnia U Carla i Annis różni się od większości budynków – zadbana, piętrowa, otacza ją ogród kwiatowy. Carl spędza w nim całe dnie.

– Ojciec znów uciekł do roślin – wyjaśnia córka, trzydziestoparoletnia kobieta o uśpionym spojrzeniu. Krąży po werandzie między stolikami. Codziennie zmienia ceraty, zapala świeczki, choć wyspiarze omijają kawiarnię od lat.

Veronika wspomina małżeństwo Carla i Annis:

– Lubiłam ich podpatrywać. Ona popijała wodę z domieszką melasy, on gorzką herbatę. Potem ona szła do kóz i na przepierki, a on uprawiał ogród. Z taką samą czułością spoglądał na żonę i magnolie. Od tego, co się działo na wyspie, kwiaty chyba odwracały wzrok. Mieli trzy córki, kochali je. Ona rozczesywała im włosy, szeptała do ucha, a potem wszystkie się śmiały. Pod wieczór, po pracy, siadali w ogrodzie, popijali koktajl z mango. On rozmasowywał żonie stopy, a córki patrzyły na to z przyjemnością.

Kto inny mówi, że Carl przez całe życie pilnował, by jego dni nie gubiły rytmu. Pielęgnował małe rytuały: poranna kąpiel, gorzka herbata, karmienie kotów. Co dzień, dwa dni jeździł na drugi koniec wyspy zrywać cytryny. Za każdym razem zrywał trzy, choć mógł więcej, na cały tydzień.

Moe patrzy mi w oczy.

– Carl i Annis mieszkają tu na dowód, że jesteśmy miłosierni.

Wyspiarz:

– Zanim został Judaszem, zanim nas zdradził, miał szacunek we wspólnocie. Wszyscy powtarzali: Carl to dobry człowiek, może nas poprowadzi. Potem prosili, żeby został ich burmistrzem, ale oparł się pokusie władzy. Mówił, że zna się na roślinach, a nie na ludziach.

Carl nigdy nie zgwałcił. Akta prokuratorskie, relacje kobiet, zeznania mężczyzn, wszystko to dowodzi, że nigdy „nie polował na gekony”.

– Czy potwierdza pan, panie Nelson, że odkąd pamięta, wyspa była objęta jurysdykcją brytyjską? – zapytał prokurator.

– Tak – odpowiedział Carl.

Wyspiarka:

– Jakie to musiało być trudne. Cała wspólnota utrzymywała: Brytyjczycy nigdy nie zgłosili roszczeń. Gdyby nie oświadczenie Carla, Chłopcy najpewniej nie trafiliby do więzienia. W noc przed przesłuchaniem nie mógł spać. Chodził po ogrodzie, pił dużo wody. Wiem, że nie mógł postąpić inaczej.

Jakie to było trudne. Poświęcić jedną rodzinę, by uratować drugą.

Carl ma już swoje lata. Zagaduję, ale mówi, że słabo widzi i słyszy:

– I dobrze mi z tym.

Stoimy w magnoliach, nie rozmawiamy o przeszłości. Mężczyzna nie spuszcza wzroku z kwiatów. Mija chwila, gdy wskazuje na północ.

– Kilometr stąd jest Iglica Nelsona, kiedyś potrafiłem wdrapać się w pół godziny. Tam dalej są Skały Younga i Dziura McCoya. Żeglarz wymościł w niej gniazdko, teraz w takich dziurach palimy śmieci, bo na wyspie nie ma wysypiska. Idąc na południe, zobaczysz góry Pod Bogami. Tahitańczycy zakopali tam rzeźby bożków. Stok O Paskudnym Imieniu nazywał się kiedyś Hilatotara, ale Brytyjczycy nie potrafili wymówić tahitańskich nazw. Często wpatrywałem się w dwie turnie na oceanie, nazywają się Mamusia i Tatuś. Od zawsze razem. Jak ja i Annis. To jest też moja ziemia. To jest też mój dom.

Czasem Pitcairn jest rajskim ogrodem. Dzieci i matki pławią się w zatoce, półnagie, roześmiane. Zatoka wrzyna się w głąb lądu, brzeg okalają palmy. Ciało przyjemnie wgniata się w ciepły piasek, można się odprężyć.

Tam dalej, na falach, kołysze się łupinka. Człowiek zarzuca sieć, za chwilę wyłowi dziesiątki ryb. Podzieli się z najstarszymi wyspiarzami, którym zdrowie nie pozwala wypłynąć na połów.

Wyspiarze nie odsyłają umierających do zakładów opieki w Nowej Zelandii. Pielęgnują ich do końca w domach. Relacja między seniorem a jego rodziną jest najsilniejszą więzią.

Historia ma tu inny wymiar. Jest nieodległa, o pierwszych osadnikach mówi się jak o wuju, którego dawno się nie widziało. Grób Johna Adamsa, o którym napisano dziesiątki książek, został wzniesiony dwieście lat temu, a jest czymś zupełnie zwyczajnym, wtopionym w krajobraz jak znak drogowy.

Zbyt mało ludzi umarło od tamtego czasu. Carl chwyta za mandarynkę, uśmiecha się.

– Człowiek to okrutnie zabawne zwierzę. Zastał sad, zatruł i zatęsknił.

Idę na cmentarz, jest w ruinie. Zapadłe groby przypominają o istnieniu wędrowców, których zabiły włócznie, choroby weneryczne, astma. Życie kończyli tu mnisi, ewangelizatorzy, handlarze, łowcy fok i wielorybnicy. Cała ich różnorodność zamieniła się w jednakowe mogiły.

* * *

Piątkowy Quiz Night w jednym z londyńskich barów.

– Kolejne pytanie. Podaj nazwisko pierwszej kobiety, która została wybrana na burmistrza brytyjskiej kolonii Pitcairn – mówi prowadzący.

– To moja matka! – Debbie zrywa się z krzesła.

– Zła odpowiedź.

– Ależ, nie! To Donna Nelson, moja matka!

* * *

Na poletku przed domem Donny leży tabliczka: „Mandarynki Joshui". Nigdy nie wyrosły, ale Donna podrzuca owoce, tak by się nie zorientował. Joshua jest jej siostrzeńcem, Donna odbiera go ze szkoły, codziennie pomaga mu w lekcjach. Spoglądam, jak pochyla się nad głową chłopca: długie włosy opadają na stół. Kiedyś była piękną kobietą.

– Ciociu, a Abigail „zażydziła" mi kanapkę.

(W języku pitcairneńskim czasownik *to jew* oznacza „kraść").

– Joshua, kochanie. Nie mówi się „zażydziła", co najwyżej „przywłaszczyła", ale lepiej powiedzieć, że „pożyczyła". Musiała być głodna.

– Ja też byłem głodny.

– Następnym razem zaproponuj Abigail pół kanapki, zanim pożyczy. Chyba wiesz, że musimy się dzielić i musimy sobie wybaczać.

Wyspiarka:

– Pitcairn nigdy nie była tak dobrze zarządzana jak przez Donnę. Za jej kadencji zbudowaliśmy najwięcej dróg, na dobre ruszył eksport. Utrzymała się do następnych wyborów. Wyspiarze nie wierzą, że kobieta znów może

być burmistrzem. Ona nie mogła liczyć nawet na matkę. Ta głosowała na syna, Bucka.

Inny głos:

– To nie jest tak, że Donna nie łapie ludzi na kradzieżach. Nikt nie był tak skuteczny jak ona. Tyle że załatwia to po swojemu i ukradziona ropa wraca do kanistrów.

Przed dwoma laty przypłynęły dwa jachty. Sześciu mężczyzn w przewiewnych spodniach i czarnych okularach. Zachowywali się jak turyści. Donna zauważyła, że jedna łódź jest bardziej zanurzona niż druga, choć były identyczne. Mężczyźni płynęli z Kamerunu do Nowej Zelandii. Z kokainą za osiemdziesiąt pięć milionów dolarów.

– Ty nic nie wiesz, nic nie rozumiesz – mówi z pretensją Donna przy earl greyu dzień przed tym, jak się okazało, że muszę opuścić wyspę: – Zmiany zachodzą powoli, a ludzi zmienia się po cichu.

Wieczór. Lu wrócił od pszczół, patrzy na Donnę:

– Jesteś, królowo.

15

Kolumna ludzi zajęła Przystań. W oddali kołysze się Claymore II. Tu wyspiarze o uważnym spojrzeniu, tam bezpieczeństwo.

Gwar milknie. Podchodzi pierwszy Pitcairneńczyk:

– Dziękujemy, że nas odwiedziłeś.

Kobieta:

– Było jakieś przyciąganie między nami.

Następny:

– Jestem zaszczycony, że mogłem cię poznać.

Jeszcze jeden:

– To były wyjątkowe dni. Nie straćmy się z oczu.

* * *

Głos:

– Pigułka to pomoc. Kiedy masz w kieszeni pigułkę, zawsze możesz pomyśleć, że gdy wrócą wspomnienia, pigułka pomoże. Jest jak pielęgniarka przy chorym, przyjaciółka, która gładzi palcami po szyi. Paranoja rodzi się, kiedy pigułka przestaje działać, uodparniasz się na nią. Wtedy jesteś sam. I to popycha cię do myśli samobójczych. Uciekasz od wspomnień, szukasz sposobu. Nucisz piosenkę, szybsze tempo, robisz pompki, dwadzieścia pompek. Myślisz o kimś, kto miał gorzej, o Nataschy Kampusch; sucha śluzówka. W głowie wiruje, w uszach dzwoni, nogi omdlałe, zimno. Dwadzieścia pięć stopni, a tobie zimno. I w ruchu. Pilnujesz, żeby być w ruchu, jak pajac, bo lęk cię dopada, gdy siedzisz, leżysz, próbujesz złapać oddech. Więc zrywasz się, biegniesz przed siebie, szybko, czerwone światło, mogłeś zginąć, pretensja, to dobrze, sygnał, że nie chcesz zginąć. Biegniesz, pocisz się, ucisk w klatce ustąpił. Przestajesz myśleć; osiągnąłeś cel, wymęczony, wciąż na powierzchni, nie przegrałeś (opisujesz emocje językiem walki).

Teraz bez energii, bezmyślnie, leżysz, skulony, zbierasz siły przed następnym napadem. Dlaczego nie łamali rąk? Jest jak alkoholik w rodzinie. Nie wiesz, kiedy wróci, boisz się tych powrotów. Atak paniki. Pięć razy na dobę albo raz w tygodniu. I nie wiesz, co gorsze, napady częstsze czy rzadsze. Pomiędzy nimi jest tytaniczna praca. Żeby nie wróciły. Mobilizacja. Jesteś skoncentrowany i sztywny. Jak człowiek z kurzym jajem na głowie. Atak. I tylko żeby nie wrócił. Sto rzeczy musi zagrać. Katalog wakacyjny – już odbiera spokój. A wpadnij tylko w pułapkę, strać czujność, uciesz się, że lęk odszedł na dobre. Właśnie wraca. I znów trzeba uciekać od wspomnień, wyobrażeń; sucha śluzówka i Kampusch.

* * *

Veronika:

– Podziwiam odwagę Molly. To ta, która powiadomiła policję o gwałtach, która dała odwagę innym. W pierwszej chwili pomyślałam, że jest samobójczynią, że wdepczą ją w ziemię. Podobno była na skraju wytrzymałości. Kierowała nią wściekłość, to musiał być ten graniczny stan, który można pomylić z opanowaniem albo hipnozą. Żadna nie potrafiła się wcześniej zebrać, opowiedzieć. Wszystkie liczyły na to, że zrobi to inna. Kochana Molly. Jakaś siła nakazała jej bunt.

* * *

Veronika lubi pomyśleć, że jakiś idiota-miliarder buduje most. I tym mostem idą wszyscy, którzy nie chcą żyć na wyspie. Idą wolno, z nadzieją. Gdzieś przecież jest inna ziemia.

– Czasem wyobrażam sobie szczęście. Dom ze śpiewającym piecem: płomień szumi dyskretnie, kawałki drewna pękają w ogniu. W kuchni bulgocze mleko, a Fifi chłepce wodę z miski. W piekarniku co wieczór rośnie chleb, jest pulchny, złocisty. Na zewnątrz deszcz, szyby dźwięczą, a ja czuję się bezpieczna. Obok stoi mężczyzna, delikatnie pieści po włosach, potem znajduje wgłębienie w szyi, tam gdzie najlepiej czuć puls, rozmasowuje. Czy można pokładać nadzieję w miłości? Kilka razy nie poszłam na randkę. Umawiałam się, bardzo chciałam, siedziałam przed lustrem, umalowana, ale nie poszłam, wyłam potem z bólu, a drugi raz już nie dzwonili. Potem

był Billy. Spotkaliśmy się w poczekalni dentystycznej. Powiedział: „Z tym smutkiem pani nie do twarzy”, a ja się szczerze roześmiałam. Rozmawialiśmy, poprosił mnie o numer. Potem wydzwaniał. W końcu dałam się zaprosić. Po kilku spotkaniach zaczął się dobierać. Pozwoliłam na pocałunek, myślałam, że wystarczy na jakiś czas. Całował z wyczuciem. Powiedział: „Bardzo mi dobrze, a tobie?”. „Mnie też”, odpowiedziałam, ale kiedy mnie całował, chciałam go udusić. Chyba nie wiem, jak być kobietą. Dlaczego dałam mu szansę? Interesował się mną, wciąż był przy mnie. Pomyślałam, że może się udać. Ale to nie mogło wyjść. Byłam spięta, nie patrzyłam mu w oczy. Chciałam, ale nie potrafiłam. Czułam się splamiona. Przepraszałam Billy’ego za to, co mnie spotkało, że mnie dopadli. I spoglądałam, czy zrozumie. Był wspaniały. Przez dwa lata rozumiał. Inni mu nie dorównywali. Wcześniej, raz czy dwa, weszłam w toksyczną relację. Nie wiem, czułam bliskość, porozumienie dusz, wspólny język, choć ten alfabet poznawaliśmy z dwóch różnych stron. Dziś nie interesują mnie sadyści i źli mężczyźni, ale problem w tym, że ci porządni też są nudni.

Więc czeka. Gładzi się po szyi, niedopieszczona, niekochana. Tuli do piersi psa, w zastępstwie. Mówi, że już czas porządkować. Na przykład ściąć włosy. Tyle razy odrosły, odkąd szarpał. Ściąć ten ostatni raz, symbolicznie. Pamiątki z dzieciństwa: spalić czy zakopać na lepsze czasy?

– Ale dziś jestem bardziej świadoma swoich potrzeb. Myślę o miłości, która będzie prawdziwą miłością, której nie dałoby się pomylić z chwilowym zaspokojeniem samotności, emocjonalnej czy seksualnej. Nie szukam miłości, czekam na miłość. Musiało minąć kilka lat, zanim dotknęłam się pierwszy raz. Czasem przed snem nachodzi mnie marzenie: wieczór, pusta plaża. Wchodzę w wodę. Naga. Pieszczę się. Może uda mi się kogoś pokochać. Najpierw ciało szuka miłości, potem serce, a na końcu rozum.

POSŁOWIE

Jedenaście miesięcy po powrocie do Polski

Pisałem tylko o tym, co znalazło potwierdzenie w dokumentach lub co udało mi się ustalić z przynajmniej dwóch źródeł. Zdaniem śledczych ujawnione przestępstwa to tylko wierzchołek góry lodowej (nie przywiązywałbym do tej opinii szczególnej wagi; praca dziennikarska nauczyła mnie nieufności do władz, instytucji publicznych i organów ścigania).

Wiele tematów pominąłem albo tylko o nich napomknąłem. Bo jak sprawdzić prawdziwość opowieści o człowieku, który przez cztery lata uprawiał seks z kozą, potem zabił ją i zjadł?

Jak potwierdzić los niepełnosprawnych noworodków z czasów, kiedy kobiety nie rodziły jeszcze w Nowej Zelandii?

Po powrocie do Polski dwukrotnie zwróciłem się do władz na Pitcairn (a także do mieszkańców wyspy) z prośbą o ustosunkowanie się do opisanych w książce zdarzeń. Otrzymałem tylko jedną wiadomość odmowną.

W trakcie pisania pojawiały się wątpliwości natury etycznej: Czy nie padłem ofiarą fałszerstwa? Czy mam prawo pisać o ludziach, którzy nie chcą, by o nich pisać? Czy pomagam, czy krzywdzę?

Moje odpowiedzi na te pytania nie mają znaczenia. Z całą pewnością nie doszłoby do publikacji, gdyby nie kilka zdań:

„My się wciąż boimy”.

„Brytyjczycy nie pomogli”.

„Zarabiam dwieście dolarów w miesiącu, nic nie odkładam. Bilet na Claymore II kosztuje pięć tysięcy”.

Niektóre fakty z życia Veroniki zostały zmienione ze względu na jej bezpieczeństwo.

Moi rozmówcy uczciwie ostrzegli, że wyprą się swoich słów, a ja obiecałem im anonimowość.

Jedna z wyspiarek (zasiada w Radzie Wyspy) opublikowała oświadczenie: „W piątek była kolacja pożegnalna, a w sobotę pastor nas zostawił. Kościół uznał, że nie stać go na dalszą misję na Pitcairn. Musiałam przegapić moment, w którym stał się firmą. Zostaliśmy sami. Wiem, że jest nas tylko pięćdziesięcioro dwoje, ale potrzebujemy wsparcia duchowego bardziej niż kiedykolwiek”.

* * *

William wciąż nie został burmistrzem wyspy.

Buck wciąż nie może sprawować funkcji publicznych.

Jedna ze skrzywdzonych kobiet została wybrana do Rady Wyspy.

Veronika zapisała się do Koła Miłośników Psów.

BIBLIOGRAFIA

Ball Ian M., *Children of the Bounty*, Norfolk 1973

Bieńkowska Ewa, Kulesza Cezary, *Europejskie standardy kształtowania sytuacji ofiar przestępstw*, Białystok 1997

Birkett Dea, *Serpent in Paradise*, London 1997

Bligh William, *A Voyage to the South Seas*, London 2000

Cook James, *The Journals*, Cambridge 1955

Czabała Jan Czesław, *Czynniki lecz*ą*ce w psychoterapii*, Warszawa 1997

Dakin William J., *Whaleman Adventures*, Sydney 1934

Descartes René, *Namiętności duszy*, przeł. Ludwik Chmaj, Warszawa 1958

Douglas Oliver, *Two Tahitian Villages*, Utah 1981

Ford Herbert, *Pitcairn – Port of Call*, Jefferson 1996

Gauguin Paul, *Noa Noa*, przeł. Wacław Rogowicz, Kraków 1959

Holthouse Hector, *Ships in the Coral*, Melbourne 1976

Kępiński Antoni, *Psychopatie*, Warszawa 1977

Lévi-Strauss Claude, *Smutek tropików*, przeł. Aniela Steinsberg, Warszawa 2012

Marks Kathy, *Pitcairn: Paradise Lost*, Sydney 2008

Ochrona dzieci przed seksualnym i niegodziwym traktowaniem w celach seksualnych, red. Ewa Januszewicz, Warszawa 2010

Pitcairn Island Administration. Guide to Pitcairn, oprac. zbiorowe, Auckland 1970, 1976, 1982, 1999

Pospiszyl Irena, *Ofiary chroniczne*, Warszawa 2003

Psychoterapia. Praktyka, red. Lidia Grzesiuk, Warszawa 2006

Rousseau Jan Jakub, *Trzy rozprawy z filozofii społecznej*, przeł. Henryk Elzenberg, Warszawa 1956

Salter Anna, *Pokonywanie traumy: Jak zrozumieć i leczyć dorosłe ofiary wykorzystywania seksualnego w dzieciństwie*, przeł. Wojtek Sułecki, Poznań 2003

Shapiro Harry L., *The Heritage of the Bounty*, New York 1936

Silverman David, *Pitcairn Island*, Cleveland 1967

Spavens William, *The Seamen's Narrative*, London 1796

The Pitcairn Island Register Book, oprac. zbiorowe, Auckland 1977

Tipett Alan R., *People Movements in Southern Polynesia*, Auckland 1976

Wolanowski Lucjan, *Buntownicy Mórz Południowych*, Warszawa 1986

Weiner Jonathan, *Czas, miłość, pamięć*, przeł. Zofia Łomnicka, Warszawa 2006

Verne Juliusz, *Buntownicy z Bounty*, przeł. Krzysztof Czubaszek, Agnieszka Zydorczak, Andrzej Zydorczak, Ruda Śląska 2004
Zimbardo Philip, *Efekt Lucyfera*, przeł. Anna Cebulko i in., Warszawa 2008
Zimbardo Philip, *Psychologia i życie*, przeł. Józef Radzicki i in., Warszawa 1999

Korzystałem także z publikacji w: „The Independent”, „The Guardian”, „The New Zealand Herald”, „The Listener”, „The NZ Listener”, „Otago Daily Times”, „The Dominion”, „Journal of Pacific History”, „New Zealand Yearbook” i „New Zealand Law Journal”.

1 Lucjan Wolanowski, *Buntownicy Mórz Południowych*, Warszawa 1986, s. 132.

2 Tamże.

3 Juliusz Verne, *Buntownicy z „Bounty”*, przeł. Krzysztof Czubaszek, Agnieszka Zydorczak, Andrzej Zydorczak, Ruda Śląska 2004, s. 8.

4 Tamże.

5 Tamże, s. 15.

6 Tamże, s. 22.

7 Antoni Kępiński, *Psychopatie*, Warszawa 1977, s. 123.

8 Cytaty biblijne wg wydania: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Poznań–Warszawa 1990.

9 Kościół Adwentystów Dnia Siódmego nie wydał oficjalnego oświadczenia w tej sprawie. O decyzji Kościoła i jej finansowej motywacji powiadomiła na portalu społecznościowym urzędniczka zasiadająca w Radzie Wyspy. Potem informacja o tym, że pastor opuścił wyspę, pojawiła się na oficjalnej stronie Pitcairn.

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.
www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
e-mail: mateusz@czarne.com.pl,
tomasz@czarne.com.pl, dominik@czarne.com.pl,
honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
tel. +48 18 351 00 70
e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl,
dorota@czarne.com.pl, zofia@czarne.com.pl

Dział marketingu: katarzyna@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: irek.gradkowski@czarne.com.pl
tel. 504 564 092, 605 955 550
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl

Audiobooki i ebooki: Izabela Rególska, iza@czarne.com.pl

Wołowiec 2013
Wydanie I